

*Zarzycka Irena*

*Miłość przez duże M*

*Pałac wśród gór*



*Szkole, która mnie wychowała,  
poświęcam.*

Autorka

## ROZDZIAŁ I

Szanowna i Droga Pani!

Czy się zdziwiłem, przeczytawszy list Pani? Owszem, trochę, ale jednocześnie postaram się na życzenie Pani „wejść w Jej położenie” jako matki.

Niestety, nigdy matką nie byłem i rozpatrzenie sprawy z tego punktu widzenia było dla mnie dość trudne. Bezsprzecznie mam dla Szanownej Pani dużo sympatii i szacunku i może ta okoliczność ułatwi mi wyjście z tej dość kłopotliwej sytuacji, w jakiej postawiła mnie prośba Drogiej Pani.

A więc panna Lula zakochała się w profesorze Martynie „bez pamięci, do szaleństwa, na śmierć i życie” itd. Powiedziała Pani, że musi Go mieć, musi Go mieć, bo jest wspaniały, piękny i sławny - to raz, a następnie, że nie zwraca na nią żadnej uwagi - to dwa. A teraz dostał ogromny spadek po bracie, który gdzieś tam czymś handlował na Wschodzie - to trzy!

Ale Pani boi się o swą jedynaczkę... Profesor to dziś wąt-

pliwa kariera, i dlatego zasypała mnie Droga Pani setką pytań dotyczących życia mego najserdeczniejszego przyjaciela.

Droga, Miła Pani, czy nie jest to zbyt wielkie żądanie? Czy mam prawo odsłaniać karty jego bytowania, czy będzie to uczciwe i koleżeńskie? Czy wzięłaby Pani na swoje sumienie taką odpowiedzialność?

Pocieszam się tylko jedną okolicznością, że profesor ani na moment nie był nigdy zainteresowany panną Lulą (więc nie była to „gra”, jak Pani sądzi), i że w ogóle nie ma ani czasu, ani ochoty na małżeństwo.

A teraz, jeśli Pani sobie życzy, opowiem Jej dzieje (oczywiście w dużym skrócie) profesora Martyna i jego idei, o której nie ma Pani „zielonego pojęcia”, według Jej własnych słów.

A więc, profesor twierdzi, że źródłem wszelkiego zła na świecie jest zmechanizowany, gorączkowy tryb życia, niezgodny z prawami, które narzuca sama przyroda, sama natura.

Upadek moralności, wykoślawienie etyki, zanik uczuć humanitarnych, niezdrowy rozkwit erotyzmu - oto wszystko skutki przycwilizowania ludzkości.

Jego idea powrotu do natury, popierana całym szeregiem dzieł i odczytów, całym szeregiem artykułów, stała się terenem gwałtownych polemik całego uczonego świata. Ostatecznie jednak wzruszono ramionami i usilnie próbowano dowieść, że Martyn, mimo swej niezaprzeczalnie głębokiej wiedzy i dużych zasług, jest dziwakiem i fanatykiem, a jego idea poetycką mrzonką.

My jednak, jego przyjaciele, wierzymy w zwycięstwo tej idei, nienowej zresztą. Rousseau o niej dużo pisał. Środki materialne? Proszę Pani, gdyby Martyn umiał ze swej idei uczynić źródło dochodu, byłby dziś milionerem i od dawna

mógłby założyć „stację doświadczalną”, o której śni i marzy. Wie Pani, co to jest taka stacja? Oto duża farma, na której będzie wychowywał i kształcił ludzi w myśl swoich zasad, z dala od gorączki wielkich miast.

Bo sierocińce i przytułki nie wychowują ludzi (powtarzam tu jego słowa), nie spełniają tego zadania i wszelkie domy wychowawcze. Niby dają dziecku opiekę i pożywienie, ale to nie wszystko. Takiemu człowiekowi trzeba pokazać Boga, trzeba go przygotować do życia, trzeba nauczyć kochać. A tej zdolności nie wyniesie z murów otaczających dzieciństwo. Tam bowiem, choć w gromadzie, bardziej odczuwa swą bezbronną samotność niż każde inne dziecko, chowane na wolności.

Dziecka nie przekonają słowa, ono musi widzieć fakty. Cóż mu głosić o Miłosierdziu i Wielkości Boga, ono jej nie widzi. A ja właśnie chcę im ukazać dobro Wszechmocnej Dłoni. Chcę im pokazać Świętość Pracy.

Tak. Jego środki materialne są wystarczające, a nawet przekraczają sumę, mogącą zaspokoić potrzeby fizyczne i duchowe jednej osoby, ale cóż, Martyn znalazł sobie źródła poważnych wydatków... Nie, Przyjaciółko Droga, nie płaci alimentów, ale za to zawsze gdzieś sobie wynajdzie jakąś biedotę, którą żywi, ubiera i wysyła na wieś, by choć w najskromniejszy sposób pokazać tym smutnym oczom urodę życia. Robi, biedaczysko, co może, a ponieważ uważa dzieci za kwiaty ziemi, więc chce dostarczyć im słońca i powietrza i marzy, że tak czy owak wychowa i urobi sobie gromadkę, która kiedyś będzie żywym sztandarem jego idei. On sam może byle co zjeść, może tuc się po całym świecie trzecią klasą, a nawet zrywać nogi w uciążliwych marszach, ale jego wybrańcy muszą co rok przez dwa miesiące pić do syta mleka i blasku słonecznego.

Interesuje Panią Gabrysia, interesuje Tomek... Mój Boże, a gdyby nawet Gabrysia była kochanką profesora, a chłopak ich synem, czy to nie jest zupełnie osobistą sprawą, proszę Pani? Czy Martynowi nie wolno mieć słabości i czy to w ogóle można nazwać słabością... I zapewniam Drogą Panią, że córka ogromnie się myli, twierdząc, że „zdoła tych dwoje usunąć z życia profesora, jeśli za niego wyjdzie”. Z życia profesora nigdy nikogo nie można usunąć.

Ale spieszę zapewnić Panią, że ani Gabrysia nie jest kochanką Martyna (gdyby tak było, nie straciłbym ani cienia szacunku i sympatii, jaką do niej żywię), ani Tomek jego synem.

Pozwoli Pani, że pokrótce opowiem jej historię, a wtedy może zrozumiesz, Przyjaciółko, czemu tych dwojga żadna moc z drogi profesora nie usunie.

Kiedy Martyn potrzebował gospodyni do swego zaniedbanego kawalerskiego mieszkania pod Warszawą, Gabrysia weszła pod jego dach z dwuletnim synkiem... ot, taka jedna z wielu biednych, zbyt ufnych i dlatego skrzywdzonych dziewcząt. Szybko, sprawnie i całą duszą przylgnęła do zajęcia, które przynosiło jej względny dobrobyt i upragniony spokój. Z biegiem lat (co było zresztą do przewidzenia) przywiązała się do swego pana gorąco, on zaś uważał ją za panią domu i wobec nielicznych przygodnych gości czy swoich najbliższych przyjaciół traktował i nadal traktuje z szacunkiem i delikatnością, jakie są należne damom z tak zwanego towarzystwa. Dla Gabrysi, rzecz jasna, profesor zawsze był czymś w rodzaju dobrotliwego bóstwa. Kiedy ją czasem pogładził po głowie lub żartobliwie pocałował w policzek, wzlatywała na skrzydłach szczęścia do bram raju.

Może czasem w najtajniejszej głębi Gabrysiniego serca

zadrzało cichutkie i nieśmiałe marzenie o trwałym, ślubnym związku ze swym niekoronowanym władcą, może kiedyś śniła w ciemną noc o miłości „pana” ... ale to są tylko moje literackie przypuszczenia... W każdym razie, zapewniam Panią z całym przekonaniem, że ani jego nie łapie, ani nie jest szanta-żystką, jak dziecinnie twierdzi panna Lula.

Gabrysia jest po prostu szczęśliwa, że może być jego opiekunką, że może go widzieć i słyszeć codziennie, że ona jedna jedyna zna wszystkie troski i radości swego pana.

Kiedyś w mojej obecności przyniosła cały pęk zieleni i ustawiała je w wazonach. Martyn rzekł wtedy:

- Rozjaśniasz mi dom, Gabrysiu!

Zaczerwieniona po białka, spojrzała na niego wzrokiem wiernego psa i z płaczem uciekła. Płakała z radości, Droga Przyjaciółko.

Tyle o Gabrysi... a co do Tomka... Zaznaczyłem już poprzednio, że profesor uwielbia dzieci, cóż więc dziwnego, że pokochał malca gorąco. Zawsze niebywale łatwo zawierał znajomości z bębami najrozmaitszego kalibru i zdobywał ich serca bez wysiłku. Tomek zaś miał tyle wdzięku, takie słodkie, czyste ślepięta i taką cudowną, nie zmanierowaną prostotę, że przyjaciel mój otworzył szeroko podwoje swego złotego serca, a malec ulokował się tam z nonszalancją udzielnego księcia.

Profesor wcale nie czuje się dotknięty plotką, że Tomek jest jego synem. Wychował go, wykształcił, zwiedził z nim, jak to się mówi, pół świata, czyż nie jest więc ojcem, a nawet może czymś jeszcze bliższym?

Drugą kochanką czy utrzymanką Martyna, jak twierdzi panna Lula, ma być Marianka Turówna... Na miły Bóg, czy mój przyjaciel jest Sinobrodym czy też maharadzą, posiadającym harem? I mimo to panna Lula koniecznie chce właśnie tego



barbarzyńcę za męża i mimo to utrzymuje stosunki towarzyskie ze swoją rywalką. Podziwiam fantazję i bohaterstwo panny Luli, jednak wobec okoliczności, że z Marianką Turówną łączą mnie więzy nie tylko przyjaźni, ale i sympatii, muszę i jej historię zamieścić na kartach tego przydługiego trochę listu.

Kilka lat temu, wieczorem, Gabrysia pakowała walizkę swemu panu, który wczesnym rankiem wybierał się odwiedzić swoje pisklęta na wsi. I wtedy to w progu jego pokoju stanęła dziewczynka długonoga, szczupła, bardzo zalekciona i niepewna siebie. Twarzyczkę o subtelnych, delikatnych rysach szpeciła gruba warstwa pudru i różu. Uczernione brwi, jaskrawo wymalowane usta wielkim głosem krzyczały o litość. Przyjaciel mój zwrócił swój ogromny korpus w stronę gościa.

- No, cóż to mamy za interes, dziecko?

- Ja... ja słyszałam... Celinka mówiła, że pan profesor wysyła dzieci na wieś. Ona była już dwa razy... och... ona jest nawet starsza ode mnie... ma szesnaście lat, tylko taka niewyrośnięta. Ja bym też chciała... ja mogę tam pracować, żeby nie być za darmo, moja mama jest ze wsi, gdyby pan mógł, gdyby mi pozwolił. Ja nawet mam pieniądze na kolej - mówiła cicho, często chwytając oddech i mrugając długimi rzęsami.

- Podejdź bliżej. Ogarnął mądrymi oczami te drobną, zabawną figurę. Mój Boże, jakbym czuł teraz ten jego przenikliwy poważny wzrok, przed którym nie zatai się nic, i wyobrażam sobie plastycznie tych dwoje naprzeciw siebie. On potężny, jeżeli nie Jowisz, to Cezar, i ona, mizerna, drobna laleczka, o przypudrowanym serduszku. Ale wracam do opowiadania.

- Siadaj sobie, porozmawiamy, lubisz wieś?

- Tak, tak, nigdy jeszcze na takiej prawdziwej nie byłam, ale mama często opowiada, jak jej było dobrze u rodziców na



gospodarce. Kwiaty rosną tam na łąkach i polach, można się położyć na ziemi i patrzeć w niebo i jechać furą na sianie. W lesie zbierać jagody i grzyby, można widzieć żywego zająca. Proszę pana, niech mi pan pozwoli jechać. Umiem prać, cero-  
wać, trochę gotuję.

- Do szkoły chodzisz?

- Skończyłam siedem oddziałów, a teraz jestem artystką. Czy Pani sobie wyobraża zdumienie mego przyjaciela? Ja doskonale. Kiedy mi opowiadał tę scenę, podskakiwałem na fotelu.

- Czym jesteś?

- Artystką w balecie przy operze, i w chórze też śpiewam.

- Lubisz swój zawód?

- Tak sobie. Chciałabym zostać gwiazdą i zarabiać dużo pieniędzy. Wtedy mama nie byłaby już stróżką, bo ona jest stróżką, proszę pana, kupiłabym jej pałac na wsi, mielibyśmy duży ogród i mogłabym doić swoje krowy.

- Jak ci na imię?

- Brzydkie mam imię, Marianna, ja chciałam, żeby mama wołała na mnie Mary, ale ona nie chce.

(A propos, czy Pani słyszy, z jakim akcentem wypowiedziane było to „Mary”?)

- Ucałuj mamie za to ręce Marianko, piękne masz imię, no i pojedziesz na wieś.

Podskoczyła na krześle. Oczy jej zapłonęły.

- Proszę pana... ach, mój Boże... naprawdę?... proszę pana!

Wciąż dobrotliwie uśmiechnięty, urwał z doniczki półroz-kwitłą różę i podał Mariance. (Czy Gabrysia była zadowolona z tego gestu, nie jestem pewny).

- Podoba ci się ten kwiatek?

- O, bardzo, ja kocham kwiaty, zawsze stoję przed kwiaciarnią i dlatego często się spóźniam na próbę.

A potem... czy Pani wie, co zrobił ten barbarzyńca? Oto jakąś kolorową farbą pocentkował jeden z płatków róży. Marianka patrzyła w osłupieniu, lecz on rzekł:

- Przypatrz się teraz, ładnie wygląda ten kwiatek?

- Nie... nie bardzo, pierw było ładniej.

- Widzę, że masz gust, a teraz przejrzyj się w lusterku i pomyśl, coś powinna zrobić.

Schyliła nisko głowę, a na jej złożone na kolanach ręce spadły dwie czarne kropelki. Profesor położył dłoń na tej biednej, głupiutkiej głowinie.

- No, zgadłaś już?

- Nie... to jest może... może trzeba by się umyć?

- A właśnie, i to jak najprędzej. Gabrysiu, pomóż małej.

Gabrysia z poważną miną naląła ciepłej wody do miednicy, podała mydło, nie mogła sobie jednak odmówić przyjemności zrobienia paru bardzo, moim zdaniem, rzeczowych uwag.

- A pewnie, będzie panienka miała czas na te malatury<sup>1</sup>, to dla starych bab, nawet nie wiem, jak się toto nie wstydzi po ulicy chodzić z gębą jak szyld cyrkowy, i żeby panienka była brzydka, no to się mówi: czego Bóg zapomniał, to można dołożyć, ale tak... no a teraz drugą wodą opłukać, bo się ręcznik przyklei, jeszcze panienka ręce będzie mojemu panu całować.

Kiedy Marianka ponownie stanęła przed profesorem, zawołał:

- No, moja mała, przecież z ciebie śliczna panna. Pod tym paskudztwem nic nie można było dojrzeć. Zmiataj teraz do domu, a jutro raniutko zjawisz się na Dworcu Głównym z

manatkami i będziesz mnie oczekiwać przy „Ruchu”. Wiesz, co masz zabrać?

- Celinka mówiła.

- Dobrze. Ten kwiatek weź i zasusz sobie na pamiątkę. Dygnęła ślicznie, jak na scenie, i otworzyła drzwi, nagle zatrzymała się, popatrzyła chwilę na uśmiechniętego „pana”, zrobiła niezdecydowany półobrót w stronę wyjścia, i nagle jednym skokiem zawróciła, i objąwszy profesora za szyję, pocałowała go w ramię (zapewne wyżej sięgnąć nie mogła). Gdy przerażona swoim wybuchem chciała uciekać, przytrzymał ją i rzekł poważnie:

- Nigdy się nie wstydz się szczerości, Marianko, nigdy się nie lękaj szczerości, jesteś zadowolona, co?

- Och! Nie umiem powiedzieć jak bardzo i w ogóle tu u pana jest tak jakoś inaczej, lepiej niż w domu, niż w teatrze. Tak, jakby ze mnie spadło coś ciężkiego, parszywego. Będę dziś mówiła pacierz za pana, by żył jak najdłużej.

W ten oto sposób między dostojnym profesorem i niedoszlą gwiazdą zostało zawarte serdeczne przymierze. Odwiedzał ją często na kolonii i w sobie tylko właściwy sposób pomagał odnaleźć zagubione na brudnym podwórku i deskach teatru dzieciństwo.

I ja towarzyszyłem mu w tych wycieczkach. Pisywałem nawet potem reportaże z tej maleńkiej kolonii. Raz po podwieczorku siedziałem tam z Martynem pod dużym dębem. Podeszła do nas Marianka i podała profesorowi wędną macierzankę ruchem bezgranicznego zaufania.

- Niech ją pan pocałuje - rzekła cicho - ona umiera!

Pocałował, a Marianka, patrząc na niego oczami koloru mrocznej toni, szeptała:

- Tak, ona umiera, zerwała ją jakaś nieuważna ręka, i nigdy już nie będzie macierzanka pachniała słońcu, nie będzie tańczyć ze swymi siostrami przy pełni księżyca, ale jej lżej umierać, gdy czuje nasz smutek. Ona wie, że i ja jestem jej siostrzyczką, tylko nie wie może o tym, że ja nigdy nie mogłam tańczyć boso po łące przy księżycu i nie całowało mnie od urodzenia słońce i nie słyszałam, jak dzwonki wieczorem i rano dzwonią na modlitwę. Mówię Pani, że tak mi coś wtedy stanęło w gardle, że nie mogłem odetchnąć. Zdawało mi się, że to nie Marianka stoi przed nami, ale jej błękitna duszyczka. Po prostu miałem ochotę „beknąć”, jak mówił Zagłoba.

Ale wtedy profesor odezwał się serdecznie:

- Uśmiechnij się, maleńka, zrobimy co się da, co roku będziesz biegała boso i słuchała dzwoneczków na łące. -Widzisz, Manon - to Manon tak się jakoś pieszczotliwie wymówiło profesorowi, może przypomniał sobie, że ja kiedyś tak ją nazwałem, twierdząc, że twarzyczka dziewczyny dziwnie odpowiada mojemu wyobrażeniu o urodzie Manon Lescaut - i w mieście wstaje słońce, tylko trzeba je umieć dojrzeć, trzeba umieć tęsknić doń, trzeba zawsze rryśleć, że poza ciasnymi murami jest ogromny, wspaniały świat, którego nie rozumiemy, trzeba odczuć jego urodę wspanialszą ponad wszystko, co mogła stworzyć fantazja ludzka. Spójrz, Manon, niebo ma teraz dziesiątki odcieni, ściele kolorowy dywan pod stopy króla nocy, a słońce cichutko i jakby na palcach chowa się poza linię horyzontu. Posłuchaj, bije ci teraz mocno serce, koniec dnia... uroczysta chwila... O czym teraz myślą nasze siostry, te smukłe sosny, królewsko spokojne, jakiej zaczaro-

wanej słuchają muzyki, której nasze uszy, przywykłe do jazgotu przebrzydłych, złośliwych słów, przekleństw, perfumowanych, zatrutych kłamstw, już nie są zdolne ni usłyszeć, ni zrozumieć.

- Kiedy mnie się czasem zdaje, że ja słucham sercem. - Obyś to potrafiła jak najdłużej, Manon.

I ja... i ja tego samego życzyłem dziewczynie z głębi duszy.

Zaprzyjaźniłem się z Marianką bardzo szybko, przyjaźń nasza trwa do tej pory i myślę, że przetrwa lata.

Profesor wychował sobie Mariankę, tak jak wychował Tomka, mimo że ona miała rodziców, ale długie, serdeczne rozmowy z Martynem działały na dziewczynę jak strumień ożywczej wody, zmywając z jej duszy ślady, które musiało zostawić po sobie życie w obrębie podwórka lub aktorskim środowisku.

Mawiał jej często:

- Bądź zawsze szczerą, moja Manon. Nie sprzedawaj łez i uśmiechów za złoto. Złoto, dziewczynko, jest prawie zawsze bardzo brudne... i podły jest ten, co sprzedaje, i ten, co kupuje taki towar. Nie płaszcz się przed nikim, bądź dumna, że jesteś taka, jaka jesteś. Nie zwiędnij, nie spal się, kwiatku, za wcześnie. Nie strać swojej urody i świeżości. Kiedy zaczniesz szukać sławy, wrażeń i sensacji, kiedy ci nie wystarczy radość na widok rozkwitłej róży lub złotego w polu snopa, jesteś skończona, zbrzydniesz, zestarzejesz się, choćbyś miała za sobą niewiele lat...

- O, ja nie chcę, wolę od razu umrzeć.

- A zatem, Manon, słuchaj mnie, precz z tymi rozrywkami, jakich dostarcza ci teraz szalejąca moda, precz z lekturą szmat, które grubymi czcionkami krzyczą o morderstwach, wywlekają na światło dzienne sprawy małżeńskich i niemał-żeńskich sypialni. To jest ohyda, Manon.

Muszę dodać, Droga Przyjaciółko, że i ja ze swej strony starałem się przysłużyć Mariannie. Udzielałem jej lekcji, wprowadziłem do licznego grona znajomych i przyjaciół. Rozwinęła się na naszych oczach w uroczy kwiatek. Prosta, szczerą, impulsywna, pracowita, zawsze pogodna i uśmiechnięta.

Zbliżam się wreszcie ku końcowi listu. Co Pani o nim sądzić będzie, czy panna Lula zrozumie, że nie powinna myśleć o profesorze jako o przyszłym mężu, nie wiem.

Mogę jeszcze nadmienić, że Martyn jest obecnie w Karpatach, gdzie kupił duży obszar ziemi pod swoją wymarzoną farmę. Zawiózł już tam nawet gromadkę bębnow, jakiegoś niedoszęłego samobójcę studenta, jakiegoś urwipołcia znad Wisły, jakiegoś młodocianego bezrobotnego, i ma zamiar wychować ich w obliczu największej Prawdy Świata wobec Natury. Kiedy z ukończeniem dwudziestu dwóch lat pójda o własnych siłach, będą to ludzie fizycznie i moralnie zdrowi, zahartowani do walki z życiem. O takiej szkole marzył, taką stworzył. Niechże mu się wiedzie. Proszę, aby i Pani pomyślała o nim serdecznie.

Zasłużył na to.

Ręce Szanownej Pani całuję.

Gustaw Herman

## ROZDZIAŁ II

Drogi Przyjacielu!

Niestety, o przyjeździe moim, przynajmniej na razie, nie ma mowy. Jestem zapracowany jak wół, a poza tym, jakże mógłbym zostawić moich staruszków na pastwę losu i gadatliwości naszej kucharki.

Wierzę Ci, żeś szczęśliwy. Spełnione zostało marzenie Twego pracowitego życia. Myślę nieraz, jak bardzo przydałby się mnie i moim nerwom taki rozkoszny odpoczynek wśród gór, taki odskok od tysiąca trosk i kłopotów. No, ale znasz moje warunki, cóż Ci o tym pisać?

Tak już jest dziwnie w tej naszej mlekiem i miodem płynącej krainie, że i miód, i mleko spijają handlujący tam Żydzi, my musimy orać, harować, płacić podatki i zerkać pożądliwie w stronę szczęśliwych Żydów i innych cudzoziemskich naleciałości, którym się dzieje aż za dobrze.

Ty dzięki spadkowi mogłeś od tego wszystkiego uciec w cztery ściany pachnącego lasu, pod dach gwiazdami nabijany.

Będiesz sobie hodował kwiatki, krówki, pszczołki i młodych adeptów twojej idei, będziesz mógł oddychać czystym powietrzem, póki tylko zechcesz oddychać w ogóle.

Ja muszę patrzeć na wszystkie świństwa, jakie robią wpływowi ludzie na wpływowych stanowiskach, i sam czynić mogę tylko to, co mi każą, bo inaczej zdechłbym z głodu, a jeszcze przedtem na takie mało przyjemne pożegnanie doczesnych rozkoszy skazał swoich staruszków. Tak, Przyjacielu, człowiek dzisiaj nie może ani myśleć, ani mówić, ani czynić tego, co chce. Trudno. Mam wrażenie, że zaczynam przyzwyczajając się do tej dziwnej sytuacji, że najskromniejszą, najbardziej bezbronną mniejszością w Polsce są właśnie Polacy. Ale przepraszam Cię, zawsze wyłazi ze mnie dziennikarz: zaczynam już rozlewać swą żółć nawet wtedy, gdy nikt mnie do tego nie zmusza. Ale jestem zirytowany i zupełnie co innego kąsa mnie w serce. A więc uważaj. Bomba. Wildowie się rozeszli.

Cztery lata temu brali ślub. Pamiętasz? Byłeś wzruszony i zachwycony wdziękiem Marianki, która z takim czarującym uśmiechem zostawała panią Wilde. I wszyscy wokoło mówili tylko na jeden temat. „Ach, co to za piękna, dobrana, szczęśliwa para. A ty stary drabie, wykrzywiłeś gębę i szepnąłeś mi na ucho:

- Szkoda mojej Manon dla tej lali.

Ha! I oto rozeszli się. Ci wspaniale dobrani, ci piękni, ci zakochani w sobie, rozeszli się. Dlaczego? Ba! Żebym to ja sam wiedział, żeby to w ogóle ktoś wiedział z całego licznego towarzystwa, w którym obracają się oboje.

Manon przez te całe cztery lata nie zdradzała nigdy śladu niezadowolenia ze swego losu. Zawsze była wesoła, dowcipna i w miarę zalotna i... ach... taka bajecznie dziewczęca, taka jakaś polna, taka różna od tych wszystkich dzisiejszych dam



On zaś... no, mój Boże. Znasz przecież Eryka. Porządny chłopak, zdolny literat, świetny, błyskotliwy dziennikarz, bardzo zawsze *correct*, bardzo zrównoważony, cóż więcej?

Jestem zły, rozumiesz? Chodzi mi o naszą Manon, teraz ją wezmą na jęzory, teraz będą szarpać. Gdyby pochodziła z jakiejś dostojnej rodziny, gdyby była jaką historyczną gwiazdą lub literatką, lub sportsmenką, hm... to inna sprawa, ale ona jest przecież biedna i samotna. Żebym tak miał więcej gotówki, a mniej lat, gdybym znalazł w sobie kruszynę odwagi, zaraz bym się jej oświadczył.

Mam do tego kobieciątka zdecydowaną słabość i jestem pewien, że nie ona, nie nasza słodka Manon przyczyniła się do tego skandalu.

Spotkałem dziś Eryka w redakcji. Elegancki, wyświeżony, wypachniony i spokojny. Nie mogłem wytrzymać, chwyciłem go za łokieć.

- Bój się Boga, chłopcze, o co wam poszło, byliście przecież wzorem małżeństwa.

- O nic. Po prostu ja nie jestem dla Marianki, a ona nie jest dla mnie, nasze poziomy intelektualne są tak różne... i wiecie co, kolego? Nie mówmy już na ten temat.

Zamilkłem. I jednego tylko żałuję, że nie ma tu ciebie, stary druhu. Pogadalibyśmy sobie na ten temat. Sama Manon, indagowana przeze mnie, odpowiada uparcie na jeden temat w setnych wariacjach:

- Nie potrafiłam być żoną Eryka, jestem dla niego za głupia. Ale parę razy dostrzegłem w jej oczach łzy. Teraz, stary druhu, przyjmij serdeczny uścisk dłoni i pozdrów panią Gabrysię.

Gustaw

Szanowny Profesorze!

Uchowaj Boże! Żadnego kłopotu Profesor mi nie sprawił, mam teraz dużo czasu z racji urlopu. Posyłam więc żądany katalog i doprawdy, ilekroć będzie Szanowny Pan potrzebował mojej pomocy, proszę mną rozporządzać.

Ciekawy jestem, czy Profesor założył sobie radio, by jaki taki kontakt ze światem utrzymać. Choć właściwie zawsze Profesor tak okropnie psioczył na naszą zgniłą kulturę i marzył o słodkim sam na sam z panią naturą, że przypuszczam, jest pan szczęśliwy. A propos szczęścia...

Młodzi Wildowie się rozeszli. Przypuszczam, że powód musiała dać pani Marianka, on przecież jest taki solidny, taki sympatyczny chłopiec. Nikt o nim złego słowa nie może powiedzieć. Zresztą, Profesorze, Pan także znał Eryka. Ja osobiście nie mam nic do zarzucenia pani Wilde. Wesoła, milutka, pełna wdzięku i temperamentu. Lubiliśmy ją szczerze wszyscy, ale może właśnie była zbyt wesoła, zbyt zalotna. Bóg to raczy wiedzieć. Ostatnio przebywa często w towarzystwie Hermana. Bywają razem w teatrze, w kawiarni, czasem na dancingu. I to także w dość dziwnym świetle stawia panią Mariankę. Gustaw jest przecież o tyle od niej starszy, no i oczywiście pod względem powierzchowności nie można go nawet porównać z Erykiem. Cóż więc łączy tę młodą i uroczą kobietę z naszym kolegą? Chodzą słuchy, że on ją utrzymuje, ponieważ pani Marianka odrzuciła pensję, jaką chciał wypłacić jej Eryk. To dość efektowny gest, prawda? A ponieważ kobieta musi z czegoś żyć, więc wniosek...

Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku i sympatii.

Janusz

Kochany, Miły Wujku!

Halo! To ja, Mimi! Nie pisałam do Ciebie długo, bo nie miałam ciekawego tematu... ale teraz... ojej, Wujku, nastaw uszki:

Twoja pupilka, Twoja „słodka Manon”, którą zawsze stawiałeś mi za wzór wdzięku, prostoty i wszelkich możliwych cnót, mających zdobić kobietę, zrobiła okropne, obrzydliwe głupstwo. Rzuciła tego rozkosznego Eryka i teraz ostrzy sobie pazurki i wiąże siodła na Twego przyjaciela Hermana. (To jest antypatia moja i Luli Anderówny). Afiszuje się z nim w nieprzyzwoity sposób, a zresztą, ona podobno przed wyjściem za Eryka żyła z Hermanem. I ciągle przy tym zgrywa naiwną dziewczeczkę. To jest ananasik... no... Litujemy się nad Erykiem, że tyle czasu tolerował jej flirty i romanse, których zapewne musiała mieć bez liku, zawsze przecież była otoczona. I co za wyrafinowanie, udawała przy tym taką nie zepsutą wiosenkę. Biedny, biedny Eryk, ile musiał przez nią wycierpieć! A jak się zawsze do niego czuliła! Fałszuch! To przecież też była tylko perfidna kokieteria. I takie kokociątko stawiałeś mnie i Luli za przykład. Wstydz się, ty psychologu, ty znawco ludzi.

A jaka nietaktowna!. Kiedyś wpadliśmy do niej koło południa. Eryk wyjechał na trzy dni i miał właśnie wrócić. Pani Manon zajęta była ustawianiem kwiatów w wazonach. Nagle dzwonek i do pokoju wchodzi Eryk. Manon wydała dziki okrzyk i rzuciła mu się na szyję, nie zważając na naszą obecność, na obecność mojego narzeczonego. Mokrymi rękami poplamiała mu jasny garnitur. Trzeba ci było widzieć minę biednego Eryka. Odsunął ją i rzekł tylko:

- Może pozwoliłabyś mi przywitać gości?

Ostatnio znowu na dancingu robiła słodkie oczy do pewnego młodego lotnika. Herman przywdział maskę angielskiej obojętności i paląc papierosy przyglądał się, jak jego bóstwo tangowało z owym młodzianem.

Marianka dzwoniła do mnie któregoś dnia, zapowiadając swoją wizytę, ale powiedziałam, że nie mogę jej przyjąć, gdyż wyjeżdżam. Oczywiście, panie z naszego towarzystwa także zerwały z nią stosunki. Teraz przecież, kiedy nie ma żadnej pozycji w świecie, nie można się z nią kompromitować. Pano-  
wie są mniej wybredni.

Lula powiedziała mi, że jest ona córką stróżki i chórzystką w operze. Przypuszczam, że wkrótce wróci do swego środowiska, bo żaden książę na nią nie poleci. Jest za mało elegancka i co to za uroda...

Pozdrów ode mnie Twego wychowanka. Zapowiadał się interesująco, tylko ten jego śmiech na całe gardło, ten kolosalny apetyt... No i sposób tańczenia ze Smargońskiej Akademii. Był bardzo piękny. Co z niego zrobiły Twoje „specjalne metody”, nie mam pojęcia. Przyjmij buziaka od

Mimi

Te trzy listy profesor Martyn otrzymał jednocześnie, a właściwie w ciągu dwóch tygodni, ale ponieważ w tym czasie przebywał we Lwowie, gdzie musiał załatwić szereg interesów, a poza tym miał parę odczytów, więc Gabrysia dała mu natychmiast po powrocie całą korespondencję jako deser po kolacji. Odczytał je po kolei kilkakrotnie, wreszcie uderzył pięścią w papiery.

- Poszaleli... poszaleli... - szeptał. Nagle zerwał się z fotela.

- Gabrysiu! - krzyknął donośnie.

Zjawiła się trochę wylekniona.

- Co się stało... Chory jesteś, Aluś?

- Nie chory, wściekły. Tomek musi na parę dni jechać do Warszawy. Przygotuj mu walizkę. Jak tylko wróci z lasu, przyślij go do mnie. Jak tam dzieciaki?

- Najadły się i poszły spać. Oj, staruszk, taki trud na stare lata, czy zdążymy toto wychować?

- Zostanie po nas Tomek, Gabrysiu, to dzielny chłopiec. On wie, do czego dążę. Pójdę teraz do malców.

W dużej, czysto wybielonej izbie, przedzielonej drewnianym przepierzeniem na dwie części, stał szereg łóżek z prostego, sosnowego drzewa. Wszystkie, nieliczne zresztą, mebelki i po stronie męskiej, i żeńskiej były własnoręcznej roboty dzieci. I te stoliki przy łóżkach, i dwie szafy, i stoły, i półki, i krzesła, nawet gliniane doniczki na oknach.

Majstrem stolarskim tutaj był młody chłopak Duda. W mieście wałęsał się o głódzie i chłodzie, nie mógł znaleźć ani pracy, ani żadnego oparcia. Miał dopiero dziewiętnaście lat. Tutaj profesor uważał go za swego wychowanka i dał mu pracę, przy której mógł zapomnieć o długich miesiącach niedoli. Będąc uczniem, był jednocześnie profesorem, a dzieciarnia z całym zapalem młodości przejmowała jego wiedzę.

Drugim takim mistrzem był student Grudzki. Temu los nie pozwolił skończyć inżynierii, profesor zjawił się w chwili największej depresji. Przywiózł go na kolonię i dał możliwość praktycznego zastosowania zdobytych wiadomości. Wreszcie Szymek Kowalik, mechanik, zapoznawał dzieciarnię ze swoim rzemiosłem w miarę potrzeby. Starszyzna ta miała pokój na górze. Profesor chodził teraz od łóżka do łóżka i z uśmiechem przyglądał czuprynki smacznie śpiących chłopiąt.

- Staruszk, okropnie skrzypiąte buty, pobudzisz dzieci.

- To nic. Niech przywykną spać nawet przy armatnich strzałach, zdrowy taki sen.

Gabrysia spoglądała na niego niespokojnymi oczami.

- Masz jakieś zmartwienie, Alek. Myślałam, że tu będziesz już szczęśliwy, a tymczasem...

<sup>ot)</sup>ją ją, pogładził po głowie.

- Ty poczciwe stworzenie, jakoś to pójdzie, tylko wiesz... hm... tu pewno do nas przyjedzie Marianka.

- Na długo?

- Może na zawsze!

Gabrysia odsunęła się i spojrzała na profesora z nie ukrywaną trwogą.

- Po co? A ja... a ja? Odprawiasz mnie?

- Oszalałaś chyba, kobieto, po tylu latach miałbym się z tobą rozstać... z tobą, Gabrysiu? Manon będzie tylko naszą dużą córką, rozumiesz?

- A co jej tam brakuje?

- Powietrza, świeżego, nie zasmrodzonego powietrza, i serca, rozumiesz?

Skinęła głową. Rozumiała wprawdzie niewiele, ale wiele lat nauczyło ją cierpliwego milczenia. Czy zresztą profesor nie dał jej wszystkiego, o czym mogła marzyć? Czy nie wychował me wykształcił jej syna? Czy nie miała dachu nad głową i szacunku ludzi, z którymi żył Martyn? Czego jeszcze ma żądać, niewdzięczna?

Profesor delikatnie podniósł jej spracowaną rękę do ust.

- Idź już spać, dziecko, potrzebujesz wypoczynku, a nie zapominaj o tym, że zawsze jesteś moją kochaną, najlepszą Gabrynią.

Odszedł do swojego pokoju, ale pospieszyła za nim.

- Zdejmij te buty, Aluś. Dam Felkowi, żeby je wysmaro-

wał... i... i... chciałabym ci powiedzieć, że Olesia, tylko się nie przejmuj... że Olesia jest taka jakaś nie dla nas, daje zły przykład dziewczynkom... i ciągle ten puder i ten róż w kieszeni, i ciągle w lustrze, i tylko za Tomkiem lata, upilnować jej nie mogę, może byś z nią pomówił?

- Dobrze, Gabrysiu - głos miał cień zmęczenia.

- Dobranoc, staruszk!

W jakiś kwadrans potem do profesora zapukał Tomek.

- Dobry wieczór, tatusiu, masz do mnie jakiś interes.

- Tak, chłopcze. Pojedziesz jutro skoro świt do Warszawy. Ja po dwutygodniowej nieobecności muszę tu zostać i zajrzeć w każdy kąt. Przywieziesz do nas Mariankę... nie wiem, czy przypominasz ją sobie. Widzieliście się kilka razy jako brzdące. Ostatnim razem nawet nabiła ci guza.

- Przyjedzie do nas na wakacje?

- Nie, synu, myślę, że na zawsze. Życie ją bardzo boleśnie sparzyło... ha! Wiedziałem, czułem, że tak będzie. Wiesz, za kogo wyszła moja Manon?

- O ile sobie przypominam, to za jakiegoś literata.

- Tak, za perfumowanego eleganta, który zamiast w nocy spać, rozbija się po lokalach, który śmieje się półgębkiem i nigdy w towarzystwie nie powie „psiakrew”, ale opowiada świńskie anegdoty, a dla podwładnych jest skończonym chamem, który nigdy nikomu się nie narazi, bo dla każdego ma inną twarz. Taki błazen wziął moją Mariankę.

- Musisz ją bardzo kochać, tatusiu!

- Pokochałbyś i ty. Zachwygam się nią jak wiosennym porankiem. To jest materiał na żonę i matkę, kobieta. Kobieta, nie lala, rozumiesz?

- Czemu w takim razie wybrała sobie tak nieodpowiedniego człowieka?

Profesor rozłożył ręce.

- Nie wiem, nie wiem... była młodziutka i ufna. AJe czemu nie ostrzegł jej instynkt, na Boga, pojąć nie mogę. Dam ci adres mojego przyjaciela, bo nie wiem, gdzie teraz mieszka Manon, i masz ją tu przywieźć. Znasz Hermana, powiesz mu... powiesz mu, żeby był o nią spokojny.

Przeszedł się kilkakroć po pokoju, Tomek stał bez śladu zdziwienia i tylko wodził za Martynem ciemnymi oczami.

- Jak się sprawują chłopcy? - rzucił pytanie profesor.

- Nie mogli się doczekać twojego przyjazdu. Duda buduje kurnik i twierdzi, że będą w nim mogły, mieszkać nawet rajskie ptaki. Felek szaleje przy ulach. Ale, tatusiu, pomarżyły nam pomidory, matka wczoraj aż płakała, kartofle też będą nieszczerłone, duzo zmarniało, a poza tym Grudzki się upiera na tej małej łączce założyć staw.

- Ależ to jest pastwisko!

- On twierdzi, że tyle krów chodzi po górach, to i nasze mogą. A tatuś załatwił sprawę podatku?

- Chwalić Boga, pomyślnie. Ciężar mi spadł z serca. No i są jeszcze jakie nowiny?

- Owszem, jedna, ale niezbyt przyjemna... Kowalik znowu się urzwał jak nieboskie stworzenie. Halinka mówiła, że to ten Żyd, który wciąż krąży koło nas, go poczęstował. Sądzę, że to taka parszywa dyplomacja. Chce z niego, z tego biednego chłopca uczynić swego odbiorcę, no, a jak się da, to z nas wszystkich.

- Ładna historia. A co reszta?

- W porządku, tatusiu. Wyglądają na bardzo szczęśliwych.

- Lekcje mają?

- Ba! Grudzki się wysila, że boki można zrywać, ale lubią



go wszyscy. Ten niedoszły samobójca jest naprawdę morowy chłop. Zdaje się, że specjalnymi względami otacza Kazię.

- No, mój chłopcze, jej także należy się trochę szczęścia. Tak... dziękuję ci. Możesz teraz odejść, jutro musisz wyjechać koło czwartej, żeby zdążyć na pociąg.

- Dobranoc, tatuś. Przywiozę ci twoją Mariankę, nie smuć się. Pocałował profesora w rękę i wyszedł po cichu, Martyn zaś chwilę jeszcze siedział przy biurku, przeglądając naukowe czasopisma, potem zgasił lampę, wziął okuty kij i wyszedł przed dom. Spuszczone z łańcucha psy, poszczekując radośnie, przypadły do swego pana. Klepał ich mocne, kudłate karki i cichym głosem mówił:

- Nie tak hałaśliwie, panowie, o pół tonu niżej. Cały dom zerwiecie na nogi. No, dosyć tego dobrego, idę się przejść. Co... ze mną? Nie, przyjaciele, tu zostać, domu pilnować.

Wyszedł na dróżkę, która prowadziła w górę. Księżyc oświetlał ją dostatecznie i profesor bez wysiłku wspinał się coraz wyżej, wreszcie przysiadł na jakiejś kłodzie i spojrzał w dół.

Dolinka, srebrna i cicha, zdawała się być przedsionkiem wspaniałego pałacu, w którym wszelkie sny i marzenia muszą znaleźć formę. Potężne zwały zalesionych gór stały dookoła zadumane, wspaniałe, ale wcale niegroźne w tych srebrnych falach poświaty. Uśmiechnięta, letnia noc brzdąkała lekko w złote kastaniety gwiazd, wtórowały jej nieśmiało potoki górskie. Rzeka płynęła rytmicznie w takt owej niebieskiej muzyki, a księżyc rzucał na jej falujące włosy pęki srebrnych róż.

I zdawało się profesorowi, że to nie góry stoją wokół śpiącej dolinki, ale aniołowie, głową niebios sięgający, w ciemnych, zielenią pachnących szatach srebrne dłonie ponad ziemią składają, by żadne zło, żadna krzywda nie miały tu dostępu.

„Żeby to Marianka widziała" - pomyślał profesor i pieszczotliwie dotknął ręką smukłej gencjany, w której cieniu schował się świetlik i udawał spadłą z nieba gwiazdę. Szerokim echem po górach przepłynął żalosnych tonów nabierający okrzyk: ho... hoo!... ho!... To pokrzykiwali od czasu do czasu chłopcy, którzy pilnowali swych pól wśród gór przed wizytami dzików.

Wolno schodził profesor na dół. W jego oczach migotał uśmiech, niby odblask promienistej tarczy, która teraz zasunęła się za górę, ale za to silniej rozbrły latareczki świetlików.

Już Martyn był w młodym lesie otaczającym jego dom i zabudowania gospodarskie, gdy nagle zdało mu się, że z prawej strony, nad małym potoczkiem, usłyszał kasznięcie. Przystanął więc... Woda pluskała w cieniu zarośli, ale czujne ucho profesora uchwyciło teraz na tle dźwięcznego szmeru kropel ludzki zduszony szept. Posunął się więc w tamtą stronę bezgłośnie.

- Przecież ja nie chcę pieniędzy... No, możecie mi przynieść parę jajek, jak już nie chcecie poczęstunku.

- Nie mam jajek.

- Przecież kury u was niosą.

- Tak, ale gospodyni zbiera sama i składa, dużo wychodzi do stołu, trochę się sprzedaje.

- Zawsze można trochę podebrać, co to za przyjemność, i z jakiej racji darmo pracować. No, ale jak nie ma, to nie ma, przyjmujcie poczęstunek. Dobrajódko, panowie taką piją, dobra, co? \

- A dobra! Prawda...<sup>x</sup>

- No to, panie Kowalik, jeszcze jednego... na zdrowie. W tej chwili przed pijącym stanął profesor. Żyd krzyknął i chciał uciekać, ale Martyn silną dłonią chwycił go za kark i huknął:

- Znów się tu kręcisz, zbrodniarzu, łeb ci urwę.  
- Niech pan dobrodziej daruje... ja nie winien... ten pan mnie prosił, żebym przyniósł wódki... przyniosłem... ja panu nic nie wzięłem...

- Zabrałeś rozum temu chłopcu i mój dla niego szacunek - zatrząś Żydem jak wiechciem - zmykaj stąd i jeśli cię jeszcze raz spotkam w obrębie naszej własności, to gnatów nie pozbierasz. Precz stąd! A ty, Kowalik, ze mną.

Żyd zniknął w cieniu. Kowalik szedł z opuszczoną głową. Tyle razy przysięgał sobie, że nie da się skusić, tyle razy... i jakoś nie może wytrzymać. Obiecywał panu Tomkowi i profesorowi... i zawsze ta cholera go skusi. Co teraz będzie, co będzie... Kiedy go profesor przywiózł do kolonii, powiedział:

- Jesteś na swoich własnych śmieciach, Kowalik, pracujesz dla siebie, za tobą jest już wszystko złe, zaczynasz nowe życie. Staraj się, aby było piękne. Razem z tobą jest tu gromadka dzieci wyrwana z najohydniejszych nor dla jaśniejszej przyszłości. Bądź dla nich wiernym, serdecznym przyjacielem, jak ja jestem dla ciebie. Wszystko, co czynimy razem, co tworzymy, jest nasze wspólne, rozumiesz? Musimy nauczyć te dzieci pracy i miłości. Pamiętaj o tym.

I Kowalik był szczęśliwy... tylko ten Jojne! W milczeniu doszli do domu. Teraz dopiero profesor odezwał się.

- Zadzwoń w duży dzwonek.

- Przecie jeszcze za wczas, proszę pana... to noc!

- Zadzwoń, mówię ci.

Drżącymi dłońmi rozkołysał dzwonek na środku dziedzińca stojący. Mieszkańcy domu pozrywali się na równe nogi i biegali w oszołomieniu, a widząc, że profesor stoi na ganku milczący i

surowy, przywdziewali ubrania i grupowali się wokół zaniepokojeni, nie śmiąc o nic pytać. Jakaś groza zawisła

w powietrzu. Księżyc zaglądał z boku na ganek. Zdumione psy stały z podniesionymi uszami. Dzieci tuliły się do zaleknionej Gabrysi. Kowalik, trupioblady i drżący, oparł się o filar ganku i wszystkie oczy w pewnej chwili uderzyły o niego.

- Czy wszyscy są tutaj? - spytał Martyn.

- Wszyscy.

- Zbudziłem was dlatego, że przed chwilą schwytałem tego człowieka na niechlubnym uczynku. Stało się to już nie po raz pierwszy. Nie pierwszy raz sprzedaje Kowalik honor swój i naszego wspólnego domu za kieliszek wódki. To dla mnie straszny cios... I chcę teraz zapytać, czy ten człowiek ma prawo stać ciągle w oczach naszych malców jak widmo strasznej przeszłości, czy ma prawo razem z nami się bawić, razem pracować, ten, który tę pracę chce sprzedać, chce sprzedać nasze uśmiechy, uśmiechy tej kochanej gromadki, chce znowu zapędzić was w brudne, ciasne i cuchnące ulice i nory miasta, w mury przytułków? Nie wiecie, z jakim trudem wywalczyłem sobie prawo założenia zakładu wychowawczego, z jakim trudem zdobyłem ten kawałek ziemi, ile myśli i wysiłku włożyłem w zmontowanie tej maszyny. A ty, Kowalik, okradasz sieroty! Chłopak zakrył twarz dłońmi. Zaległa grobowa cisza. Spojrzenia zgromadzonych jak grad kamieni spadły na pochyloną głowę. Po twarzy Gabrysi spłynęły łzy. Tomek delikatnie i krzepiąco uścisnął jej rękę. Słysząc było nierówne, przyspieszone oddechy zgromadzonych. Profesor nie patrzył na nikogo, jeno wgłąb własnej duszy, i widział tam przyczajony strach. A więc tak, a więc zaczęło się... zwycięża zło i nieszczęście. Co teraz zrobić, jak walczyć? Kto w tej walce zostanie zwyciężony? A jeśli odezwą się dziedziczne nałogi wśród ukochanej gromadki? Szybkim spojrzeniem przemknął po szeregu jasnych i ciemnych głowin podniesionych ku niemu...

I nagle ciszę srebrną, ale ciężką przeciął jak ostrzem siekiery głos Felka Misiaka:

- A szlag by go trafił, niech się wynosi do diabła... I teraz dopiero wybuchła wrzawa.

- Precz z nim... precz z nim... zabierać manatki i won!

- Źle ci tu, łobuzie? Po coś do nas przyszedł? Zdrajca... sprzedawczyk... Judasz!

Z gromadki wysunął się Duda.

- Proszę pana, on musi stąd iść. Nie chcemy takiego. Profesor dotknął ramienia Kowalika.

- Słyszałeś? Jutro Tomek jedzie do Warszawy, zabierze cię z sobą. Dostaniesz pieniądze na drogę i te, które zarobiłeś przez dwa lata, odbierzesz sobie z PKO we Lwowie lub w Warszawie... Kładźcie się spać, dzieci.

Stuknęły drzwi, jedno... drugie... trzecie... Tylko w izbie, gdzie spali mężczyźni, długo z jednego łóżka dobiegał głuchy szloch. Martyn nie kładł się spać, ale i nie zapalał lampy w obawie, że światło zdradzi jego bezsenność przed Gabrysi wiernymi oczami. Noc zresztą spłynęła cała w blasku i jaśni, a gabinet profesora tonął w seledynowosrebrnej sieci delikatnego światła. I w taką noc, gdy ziemia i niebo, i rośliny oddychały szczęściem i spokojem, w taką noc musiał właśnie cierpieć człowiek, który śnił, że opęta serca braci ludzi urokiem dzieł i praw natury. Dał swojej gromadce możność podziwiania cudów, jakimi hojnie matka-ziemia szafuje. Z niedoli i nędzy wywiódł na słońce. W owym cichym zakątku świata, niby w gnieździe wśród gór zawieszonym, mogli czuć się wolnymi ludźmi. I to było fundamentem systemu wychowawczego Martyna.

Ziemia, którą dzieci uprawiały, rodziła owoce, które były

ich własnością. Przez szereg lat każde gromadziło sobie kapitał, z którym szło w świat. Pracowały ucząc się i uczyły pracując. Nie czuły swego sieroctwa, nie wstydziły się takiego lub innego pochodzenia. Były wolne i równe sobie, jak drzewa i ptaki. Uczyły się życia w gromadzie, solidarności i miłości bliźniego.

Do tej pory, po czterech latach pracy zdawało się Martynowi, że zwycięża, że właśnie ten rodzaj zakładów wychowawczych dla sierot i nędzarzy jest najodpowiedniejszy.

Prowadził z pomocą Tomka racjonalne gospodarstwo, oparte na zasadzie jak największej samowystarczalności, i widział, że rozwija się nad podziw dobrze. Młodzi i starsi pracowali ochotnie, żadnych tęsknot do innego życia nie zdradzając.

Zresztą, czuli się tu jak na swoich śmieciach, mieli czas potańczyć i zaśpiewać, i posłuchać muzyki. A ponad wszystko wiedzieli, że praca jest nie tylko celem, ale i radością życia.

Do tej pory, do tej nocy Martyn w przyszłość spoglądał jasnymi oczyma. A nagle dwa ciosy: Marianka i Kowalik. Szroniejąca głowa profesora opadła nisko...

Marianka, Szymek dziś, jutro może Grudzki czy Duda, czy Olesia odejdą i wyśmieją jego opiekuńcze ręce... Cóż, tych wychowała ulica, wziął już starszych, ale czy nie padło ziarno złego siewu w serca tych najmłodszych? W swej głębokiej i bolesnej trosce zatopiony nie spostrzegł nawet, jak i kiedy we mgle roztopił się i księżyc, i gwiazdy, góry zaś wsiąknęły jakby w dal. Świtało.

Przenikliwy dźwięk dzwonka wyrwał człowieka z zadumy. W korytarzu jęły trzaskać drzwi. Życie wkraczało wraz ze słońcem pod dach białego domu.

Na podwórzu koło dwóch basenów z wodą, która wciąż świeża napływała tu rurami z potoku, wszczął się ruch. Dzie-

ciarnia wracała właśnie do jadalni i profesor usłyszał cienki głosik Halinki, najmłodszej kolonistki, sześciolatki:

- Wcale nie miałam brudnych uszu, to było wczorajsze mydło.
- Wszystko jedno, jak wczorajsze to już brud, zapytasz wujka.
- Tak, ale ja jestem najmłodsza... aha!

I te dziecinne głosy starły z twarzy profesora bolesny wyraz. Uśmiechnął się i różnym krokiem pospieszył zjeść śniadanie z wychowawcami.



### ROZDZIAŁ III

Ulubionym zajęciem Felka było pszczelarstwo. Całymi godzinami mógł siedzieć przy ulach i zawsze miał tu coś do roboty.

- Moja harmonia nie gra tak ładnie, jak te moje panienki - mówił.

Już od wczesnej wiosny, kiedy tylko słońce zaczynało silniej przygrzewać, Felek zaczynał oglądać swoje państwo i robić w nim porządki. Troskliwie badał zapasy miodu, aby się przekonać, czy do czasu wylotu małe robotnice nie będą głodować. Nie pozwolił nikomu gotować syty. Sam sterczał przy piecu i palcem próbował gęstość syropu. Wymiatął z pni martwe pszczoły i śmiecie.

- Nie można przecież siedzieć w takim bałaganie, moje panienki. Wyfroteruję wam podłogę, będziecie tańczyć obereczka.

Z zadowoloną i pyszną miną pokazywał dzieciom ramki.

- Patrzcie, jak to królowa zaczerwiła plastry... oj, będą

nam grały, będą grały pszczołeczki. Tylko żeby się nam maleństwa nie pozaziębiały, kruszynki kochane - i chuchał, i owijał na noc ule matami, i sytę podawał do pni, w których było mniej miodu.

Kiedy pszczoły rozpoczęły swój kilkumiesięczny dzień pracy, Felek wciąż kręcił się między pniami.

- Tak krótko żyją moje panienki, trzeba o nie dbać, niech wiedzą, że jest ktoś, kto do nich z sercem idzie... o, one czują... a patrzcie, czy mnie która kiedy ujadła?

Wietrzył i chłodził ule, usuwał ramki miodem zalane, złotym i pachnącym, jakby te maleńkie robotnice słońce kradły i do ula z radosnym śpiewem znosiły. Obok szeregu uli stało poidło z wodą, której nigdy nie zapomniał zmienić.

Czasem bywało, że w pniu zabrakło matki i pszczoły bezradne, zrozpaczone ginęły setkami. Jakże się wtedy martwił Felek, płakał niemal nad każdą pszczółką, którą znajdował na parapecie okna kuchni lub pokoju. Z przedziwną delikatnością brał skulone, sztywne biedactwo i rzucał w ogień.

- Co tam ma gnić w kurzu, po co ma ktoś rozdeptywać moje biedne panienki.

I szukał, i szperał po plastrach, póki nie przekonał się, który to ul stracił matkę, i wtedy przenosił pszczoły do innego ula, pod nowe berło.

Lubił imponować dzieciakom swymi wiadomościami.

- O, patrzcie, to jest młoda pszczółka, zupełnie młoda, ma najwyżej tydzień, jaka zgrabniutka i dziarska. Jej skrzydełka są lśniące i sprężyste... a tamta już stara, niedługo nie będzie mogła dolecieć do ula z zapasem miodu, nie uniosą jej biedne, spracowane, wystrzępione skrzydełka. Upadnie może w połowie drogi, może tuż, tuż przed domem zbraknie jej siły: umrze cichutko. Nikt nie pomyśli, że to biedactwo od chwili urodze-

nia wciąż pracowało i pracowało, bez wypoczynku; my choć mamy niedzielę, mamy godziny wolne od zajęć, nam jest dobrze. Jak ja mogę nie kochać, nie żałować moich panienek. A takie są delikatne, szkodzi im chłód, i deszcz, ani myśleć mogą o obronie. Czasem, kiedy siedzę przy ulach, a one śpiewają koło mnie, to myślę, że mówią do mnie:

- Dobry jesteś, Felek, pamiętasz o nas, dziękujemy ci. Piękne jest życie wśród kwiatów i śmierć piękna. Tylko nie pozwól nam ginać na twardych, drewnianych deskach ludzkiego domu.

A raz zdarzył się przykry wypadek. Któryś z chłopców przyjechał konno z pola, w pośpiechu zarzucił lejce na parkan w pobliżu uli i wpadł do domu.

Pszczoły nie znoszą końskiego zapachu. Ponieważ był upał, konisko machało zawzięcie ogonem, pragnąc odpędzić muchy. To podrażniło krążące opodal pszczoły. Całe dziesiątki rzuciły się na przerażone zwierzę, kęsając je dotkliwie. Rzucił się, szarpnął, zerwał wreszcie uzdę i biegał jak wściekły po dziedzińcu, niepodobna go było złapać. We dworze powstała panika, całe tumany pszczół huczały groźnie na podwórzu, wreszcie przybiegł Tomek i pochwycił konia, który zdążył stratować cztery kaczki i kilka młodych kurcząt.

Halihka szlochała rozpaczliwie, Duda kłął na czym świat stoi i smarował biednego konia mokrą gliną.

- Idź do wszystkich diabłów z twoimi panienkami. Ładne panienki, cholery, nie panienki! - krzyczał do Felka.

A ten znów wpadł na Kazika.

- To ty, ośle jeden, nie wiesz, że konia trzeba trzymać z dala od uli? Jakby ci ktoś pod nos podsuwał śmierdzące jajka, to byś go skopał i zwymyślał, co? Pszczoły nie cierpią końskiego potu, tyle ich naginie, tyle ich naginie teraz...

- Przesuń sobie ule... widzisz go, jaki opiekun.  
- Dla twojej przyjemności może je na strych wyniosę, co? Żeby nie profesor, byliby się trzej zapaleńcy pobili. Pszczoły tymczasem wróciły do uli, do pracy. One nie liczyły swoich strat, nie umiały tego czynić. Te, które zginęły, zginęły w obronie ula, któremu według zapewne ich mniemania groziło niebezpieczeństwo. Trzeba było ratować matkę... ratowały. Za godzinę, za dwie już znowu całe zastępy krążyły od ula ku miodnym łąkom i z powrotem.

Wiele z nich, jak zwykle, jak każdej godziny padało w drodze, wstępując w nową, nieznaną krainę śmierci. Wiele pierwszy raz wylatywało próbować kąpiele słońca i słodkiego zapachu kwiatów, by przez trzy, cztery tygodnie bez ustanku przecinać skrzydełkami fale powietrza, aż do chwili, gdy z pięknych, lśniących, przezroczystych błonek zostaną strzępy. Starość i śmierć.

A któż wie, czy i te małe „panienki” Felka nie mają swoich tęsknot i pragnień, czy nie myślą z lękiem o tej ostatniej chwili? Jedno jest tylko pewne, nie wiedzą, co to zazdrość, co kłamstwo i oszustwo, co niewola. Poprzez słoneczny blask idą ku śmierci, a pieśń ich krótkiego żywota zaklęta w bursztynowe plastry pachnie kwietną przestrzenią i miłością nad śmierć silniejszą. Mała bryłka złotego miodu, a ile w niej dni mozolnego dźwigania zapasów, ile trwogi przed wielką przestrzenią, w której tak łatwo można zabłądzić, ile kwiatów, ile słońca, ile tajemniczych szeptów wiatru kołyszącego delikatne łodyżki. I tylko maleńka bryła złotego miodu.

Kiedy Felek podbierał plastry, pierwszą osobą do poczęstunku była Halinka. Śmiał się zadowolony, widząc, jak mała oblizuje paluszki.

- A co, dobre? He, he... starają się moje panienczki.  
Potem miód zlewać trzeba było do słoików. Część zostawiano na użytek domu, część sprzedawano we Lwowie. Zdarzało się, że zbiór bywał mały, wtedy nic nie szło poza dom, a jeszcze konieczne było kupowanie cukru na sytę, ale wówczas Felek pocieszał:

- No, no... za to na drugi rok będziemy mieli aż za dużo. I pozostawał wierny swoim panienkom.

## ROZDZIAŁ IV

Koło godziny jedenastej w nocy pokojówka obudziła Hermana, zawiadamiając, że ma gościa.

- Ki czort o tej porze, i właśnie dziś, gdy jestem zmęczony jak wół... jak wygląda?

- Młody i przystojny, z walizką.

- Starsza pani śpi?

- Tak i nie daj Boże obudzić, byłaby zła.

- No, wprowadź tego interesującego młodziana tutaj, tylko cicho.

Zą chwilę przed dziennikarzem stanął Tomek.

- Ach, ty drabie, co to znowu za nocne wizyty... Co się stało... siadaj, czekaj... postawże tę walizę. Przepraszam za negliż, ale uważarrwvc za najodpowiedniejszą porę do spania.

- Ja także i dlatego chcę pana prosić o nocleg, bom się cholernie zmęczył drogą, a jutro wszystko solidnie opowiem, dobrze?

- A to bezczelny dryblas... będziesz pewno chrapał w

najlepsze, a ja całą noc oka nie zmrużę, bo się będę głowił, co mi za nowiny przywozisz.

- Krótko i węzłowato: przyjechałem po panią Mariankę.

Po chwilowym milczeniu Herman wyciągnął się na łóżku i nacisnął dzwonek, mówiąc:

- Będiesz spał w moim gabinecie... napijesz się czegoś?

- Ja bym i coś zjadł. Weszła znowu pokojówka.

- Niech Lodzia pościeli panu w gabinecie i przyniesie mu herbaty i jakieś przekąski - a kiedy zniknęła, mruknął: - No to dobranoc, chłopcze. Jutro pogadamy.

I nie czekając, aż Tomek wyjdzie, nasunął kołdrę na uszy. Tak więc... tak się stać musiało... zabiorą mu Manon, ostatnią radość życia. Odrzucił kołdrę i sięgnął po papierosy.

Kiedy rano pokojówka przyniosła mu śniadanie, ze zgrozą ujrzała pełno munsztuków<sup>2</sup> na popielniczce. Wiedziała, że panu nie wolno palić.

- Młody człowiek już wstał?

- O tak, już dawno.

- Poproś go tutaj i zadzwoń także do pani Wilde. Powiedz, że jestem niezdrowy i bardzo proszę, by zechciała wpaść do mnie o jedenastej.

Kiedy zjawił się Tomek, Herman przywitał go serdeczniej, niż pożegnał z wieczora.

- Ojciec kazał mi zapewnić pana, że pani Wilde będzie się czuła u nas dobrze.

- Wcale w to nie wątpię. Niedługo powinna nadejść, zobaczymy, jak rozstrzygnie tę sprawę. No, a co tam u was słyhać?

- Wszystko w porządku. Mieliśmy tylko przeprawę z jednym gościem, który czuł zbyt silny pociąg do butelki. Odwoziłem go

---

<sup>2</sup>munsztuk (niem.) - część zwijki papierosa albo cześć fajki, którą palacz trzyma-w ustach; ustnik. \

do Warszawy, ale we Lwowie mi drapnął, nie mam pojęcia gdzie.

- Aha... więc są tam jednak lekkie zaburzenia atmosferyczne.
- Owszem... lokalne. Myślę, że nie będzie groźnych następstw.
- Amen. A jak stoicie pod względem materialnym?
- Nieźle. Wprawdzie staruszek włożył olbrzymi kapitał w to wszystko. Może, a nawet z całą pewnością, gdyby ten kawał ziemi kupił tutaj, kosztowałoby go trzy razy mniej, ale pan wie, ojczuś pisał, że tam całe olbrzymie przestrzenie są w rękach albo Żydów, albo Niemców, a ci tak łatwo nie wypuszczają ziemi spod swojej kurateli, zwłaszcza że daje im to możliwość trzymania całego legionu swoich ludzi w biurach i urzędach. Proszę sobie wyobrazić, że w dobrach pewnego potentata, od którego zresztą ojczuś „wymordował” swoje posiadłości, na kilkudziesięciu urzędników jest dwóch, dosłownie dwóch Polaków. Reszta to Żydzi, Niemcy i nawet Czesi. Językiem urzędowym jest niemiecki i czeski. Ale pan zna ojczulka, za wszelką cenę chciał być w górach. Zapłacił cenę ogromną, po prostu fantastyczną, no i tak zmordował tego dygnitarza, nasyłał na niego wciąż różne wpływowe osobistości, że tamten, nie chcąc się dostać na języki prasy i opinii publicznej, która coś niecoś o Martynie przecież wie, sprzedał mu żądany kawałek ziemi. Dużo włożyło się w należyte zagospodarowanie, dużo kosztowała pasieka, ale wszystko pcha się pomału naprzód, tak że teraz już można nie naruszać kapitału, a żyć z ziemi, oczywiście skromnie. Mamy wszystko, co potrzeba.



- A ty jesteś zadowolony, chłopcze?
- Jeszcze jak! Widzi pan, ja nie nadaję się do życia w mieście. Ja muszę co dzień popatrzeć na drzewa, popracować fizycznie na świeżym powietrzu, pohukać wśród gór... A tu, w mieście, urwałbym się jak pies z łańcucha. Człowiek jest stworzony do ruchu, nie do siedzenia przy biurku.
- Aha! Rozumiem. Ojczuś się kłaniać kazał.
- Przypuszczam, że tak, skoro mi jednak z tym dobrze?
- Polujesz?
- Nie. Mamy co jeść, a dla rozrywki? Mam inne, szlachetniejsze.
- Ojciec prosił mnie, bym się dowiedział czegoś bliższego o tej Olesi. Prezesowa bowiem dała bardzo mętne informacje. Otóż dowiadywałem się, miałem nawet pisać do Alka, no ale skoro jesteś, zaoszczędzę 30 groszy, że już nie wytykam papieru listowego. Więc ta panna Olesia jest z bardzo wytwornej rodziny, a nie, jak prezesowa twierdziła, ze „zgniłego lochu”. Niestety, panna była wcześniej wprowadzona w świat, marzyła o karierze filmowej, zwała nawet spod rodzicielskiej opieki i pojechała z amantem do Wiednia, skąd ją odstawiono sromotnie do domu. Wtedy znalazła sobie nowego opiekuna i skutkiem tej sielanki był jej krótki pobyt w szpitalu. Ponieważ prezesowa jest przyjaciółką mamy owej wojującej o sławę gwiazdy, która poza tym jest jeszcze erotomanką, więc obie panie postanowiły wykorzystać naiwność profesora. Olesia już była kompromitującą córką. Dla „towarzystwa” puszczono bajeczkę, że małą wysłano do pensjonatu w Szwajcarii... A jak się tam zachowuje nasza bohaterka?
- Zupełnie poprawnie. Jest tylko, według mego zdania, zbyt hałaśliwa i swobodna z mężczyznami. I to tak niesmacznie swobodna. Nie lubię jej zbytnio.
- A inni?

- Ot tak, patrzą pobłaźliwie, zresztą zajęci pracą nie mają czasu zbytnio przejmować się fantazjami panienki. Ojczuś zaś, jak to ojczuś, we wszystkich upatruje tylko dobre strony.

- W każdym razie, Tomek, powtórz mu, co ci o niej powiedziałem. Co robi z tym fantem, nie moja rzecz. Spełniłem polecenie papy.

- Dziękuję w jego imieniu. No, no... ale z tej małej kłamczuch, zupełnie inną historię opowiadała, zbyt romantyczną i właśnie dlatego ojczuś pisał do pana.

Pukanie przerwało rozmowę mężczyzn. Do pokoju wpadła jak wiosenny wiatr Marianka i, nie zwracając uwagi na Tomka, chwyciła Hermana obiema dłońmi za uszy.

- To pan taki brzydki! Pokojówka rozpacza, że jej władca leży na łożu boleści, a pan ogolony, wyelegantowany jak na bal, najspokojniej wybiera się na spacer? Co to za kawały?

- Manon, przebacz mi i puść uszy, na honor, zeszywniały!

- Ojej! Wielka rzecz... pocałuję i już.

- Nim to uczynisz, pozwól sobie przedstawić... Odwróciła głowę, szybkim spojrzeniem obrzuciła Tomka, który cały czas stał w milczeniu, i rzekła:

- Znam tego młodego człowieka, to pan Tomek.

- A wiesz, w jakim celu przyjechał?

- Skądże mogę wiedzieć... Proszę dać papierosa.

- Nie wolno ci palić, Manon.

- Ale ja chcę... no... ja chcę...

- Zrzuńiesz mnie... czekaj, ten lepszy, no... - Tomek przyjechał po ciebie. Co ty na to, Manon?

Podniosła ciemne, cienkie brewki, po twarzy przebiegła bladość jak błysk, a potem, kładąc papierosa na jakimś talerzyku, rzekła wolno:

- No tak, przyjechał po mnie, a pojedzie... beze mnie!

- Dlaczego? - odezwał się dopiero teraz Tomek.

- Nie mam ochoty i nie nadaję się już do sielankowego pasania krówek na łonie natury przy efektownym dźwięku piszczałeczki. Tomek osłupiał. Więc ta kobieta była ukochaną uczennicą profesora. „Dobrze, że nie słyszysz tego, staruszk” - pomyślał. Spojrzał na Hermana, zajętego otwieraniem i zamykaniem srebrnej papierośnicy. Twarz dziennikarza nie zdradzała śladu wzruszenia czy zdziwienia.

- Proszę pani, nie wiem, do czego się pani nadaje, ojciec powiedział mi: „Jedź i przywieź moją Manon, życie ją sparzyło boleśnie”. Zrobiłem, co kazał, a właściwie miałem szczerzy zamiar spełnić jego życzenie, no, ale wobec tego, że... Głośny śmiech Marianki przerwał mu zdanie.

- Życie mnie sparzyło? Fenomenalne! Nie, proszę pana, nie życie, tylko mrzonki pana profesora, tylko fantazje, którymi mnie karmił przez szereg lat. Te bajki... te głupie, głupie bajki! Co mi przyniosły w darze chwile, na które czekałam: gorycz, ból, upokorzenie...

Zerwała się z fotela i stanęła na wprost Tomka.

- Niech pan nie patrzy na mnie jak na wariatkę, bo to nie ja, ale pan, ale wy wszyscy z jego opiekuńczych rąk wychodzicie w świat szaleńcami. I pan może ma złudzenie, że jest szczęśliwy? Kłamstwo! Pan oszukuje sam siebie, pan żyje w szklanym pudełeczku, ale skoro się pan zetknie ze światem... Och! Nienawidzę profesora... zabrał mi szczęście, wsączył mi w krew truciznę. Jestem inna niż moje otoczenie. Jestem inna, nie umiałam kłamać, nie umiałam oszukiwać, nie umiałam kochać, słyszy pan, nie mogłam przełamać natury i dlatego... dlatego... och! Ale teraz! Niechże pan wraca do swojego papy

i powie mu: „Marianka zacznie żyć tak, jak inne, spróbuje wszystkich słodczy, pokosztuje wszystkich zatrutych owoców, jakie jej podsuwa świat...”

Twarz jej płonęła, oczy lśniły jak dwa ognie, usta drżały.

Wydało się Tomkowi, że młoda kobieta cała jest jednym płomieniem, jednym krzykiem buntu.

- Manon, uspokój się, moje dziecko - łagodnie przemówił Herman.

- Już dość długo byłam spokojna, teraz nie chcę, nie chcę, nie mogę. Teraz przysyła po mnie, myśli, że można złamane serce leczyć kompresami z rumianku czy innych kwiatuszków.

Wyjeżdżam! Marianka Turówna, czarująca, głupia Marianka umarła. Proszę mu to powtórzyć! Nie mam serca, mam usta głodne pocałunków, chcę się śmiać, zwyciężać, chcę zdobyć sławę, złoto i kochanków, którzy zadowolą moje kaprysy. To jest więcej warte niż taka wegetacja, jak wasza...

- Manon! Tupnęła nogą.

- Cicho! Wiem, co mówię! Tak! Niech pan wraca, prędko, prędko, chcę, żeby jak najprędzej dowiedział się o wszystkim ten... dobroczyńca ludzkości... ten złodziej, który obrabował mnie z największego szczęścia. Przez niego, tylko przez niego, Eryk przestał mnie kochać. Woli inne... a ja... a mnie... -

podniosła ręce do twarzy i wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

Herman usadowił drżącą kobietę na tapczanie, podsunął jej pod plecy poduszkę i gładząc lekko głowę, mówił półgłosem:

- Dziecinko, będziesz miała czerwone oczy i spuchnięty nos, a w takim wypadku mowy nie ma ani o złocie, ani o sławie,

ani o kochankach... Weź też pod uwagę moich staruszków, pomyślą, że w moim pokoju dzieją się orgie lub że szłocha uwiedziona przeze mnie dziewczica. Wyobraź sobie potem miłe rozmówki z mamcią i papciem. Jakże im się będę tłumaczył, co, kochanie?

- Niech... niech mi się pan... pozwoli wypłakać...
- Z przyjemnością, to jest... właściwie... może chcesz papierosa?
- Owszem.
- No widzisz, ślicznie, a propos sławy... Dałaś Tomkowi wspaniałe widowisko. To było wstrząsające, szczególnie punkt kulminacyjny, w którym twoja buzia przypominała pięknie podaną ćwikłę. No i ten finisz... Jestem cały jednym wielkim uznaniem! Ha!

Podniosła oczy.

- Czemu się pan ze mnie wyśmiewa?
- To jest inteligentne zajęcie, moja mała. Cieszę się, że Tomek zjadł śniadanie przedtem, wątpię, czy teraz miałby apetyt. No, a gdzie to się moja pani wybiera w świat?
- Zaangażował mnie Wałęcki do swego teatrzyku i jedziemy na objazd prowincji.
- A cóż ty tam będziesz robiła?
- Będę śpiewała, tańczyła, zresztą, co mi każą. Niechże się Eryk przekona, że...
- Chciałbym przed wyjazdem powiedzieć pani, że nie wiem, czy odważę się wszystko to, com tu słyszał, powtórzyć ojcu. Na jego biedne serce nie przydadzą się wtedy kompresy z rumianku... a ppza tym jestem zdania, że rozstanie z mężem \* nie jest dla pani krzywdą, ale wielkim szczęściem. Czy mogę już odejść, proszę pana?

Herman skinął głową. Szczęknęły drzwi.

- Idiota - syknęła Marianka.

- Jeśli ty tak uważasz, wypada mi tylko powiedzieć: co za niezwykły dar obserwacyjny! Nie wydymaj ust, bo brzydko ci z tym. A teraz upudruj się, odwieziesz mnie do redakcji, poczekaj chwilę - i wyszedł.

Marianka spojrzała w lustro. Czuła teraz głęboki wstyd i niesmak po scenie, którą zrobiła chłopcu. Szybko podeszła do drzwi i uchyliwszy je, zawołała:

- Panie Gustawie!

- Co się znowu stało, nie możesz żyć beze mnie?

- Proszę tu poprosić tego Tomka.

- Jestem. Słucham panią.

Duże, czarne oczy spoczęły na twarzy Marianki zupełnie spokojnie.

- Wiem, że pan myśli o mnie jak o czarownicy. To jest mi obojętne. Chcę tylko...

- Nie myślałem o pani w ogóle. Cały czas tylko i wyłącznie o ojcu.

Zmieszała się, uczuła przykrość.

- W każdym razie przepraszam pana, nie byłam grzeczna ani taktowna - podała mu rękę ze słodkim, dzieciennym uśmiechem, który w jednej chwili zmienił jej twarzyczkę. To była znowu Manon profesora, ale Tomek ze spokojną obojętnością uścisnął rękę i chciał odejść. Przytrzymała go.

- Pan się gniewa?

- Na panią? Nie! Na tamtego durnia Wildego.

- Proszę pana! - krzyknęła ostro.

- Sama pani mnie sprowokowała. Mówię to, co myślę. Trudno. Żegnaj panią. Gdyby pani było kiedyś gorzej niż teraz, czekamy.

Kiedy Tomek zajechał na podwórze kolonii, pierwszą osobą, na którą się natknął, był Kowalik.

- Kowalik, a wy tu skąd?

- Ze Lwowa, wróciłem piechotą. Pan profesor mnie przyjął, a ja Żydowi gnaty połamię.

- Jak będziesz to robił, zawołaj i mnie. Przyjemna zabawa.

Gdzie pan profesor?

- Poszedł z dziećmi na maliny.

- Moja matula w domu?

- Tak, pranie robi z dziewczętami, a obiad gotował Felek z małą Halusią.

Tomek był zadowolony, że nie zastał ojca w domu. Wolał najpierw porozmawiać z matką o sprawie Marianki. Skierował się do pralni, ale Gabrysia zobaczyła go przez okno i biegła już przez długą sień.

- Tomuś, synku!

- Matula kochana! Cieszę się, że jestem już z wami, chciałbym coś mamusi powiedzieć, masz czas?

- Nie bardzo. Dziewczęta trzeba pilnować, bo jak tylko mnie nie ma, to Olesia zaraz plecie głupstwa i odrywa te sroki od pracy, ale pół godzinki dla synusia znajdę.

Góry płonęły. Zieleń oblewała się rozżarzonym złotem. Płonęło niebo. W dolinę spływał srebrny, szary i fioletowy cień, ale szczyty i wyżej położone połoniny patrzyły jeszcze słońcu w twarz. Wesoło pobrzękiwały dzwoneczkami krowy. Tu i tam w gęstych zaroślach pasterki wyciągały żalosne piosenki, ni to westchnienia, ni pokrzyki długie, monotonne.

Pod górę, kamienistą drożynką zdążał profesor. Czerwieniejące niebo miał nad głową, w dole u stóp sfałdowane morze zieleni, a wokół przestrzeń, wypełnioną potężnymi falami,

które jakaś Wszechmocna Dłoń rzuciła między ziemię i niebo, i tak zawisły, zastygły większe i mniejsze, łagodnie pochylone, i te, co jakby rozedrzyć chciały niebieski strop - góry!

Wysoko na tle różowego obłoku krążyła, płynęła kania, kołyssem lekkim spadała to niżej, to wyżej. Pod nią zaś, całe w złocie i fiolecie, śmigwały jaskółki, jakby w płomieniach wirujące płatki czarnych róż.

A człowiek szedł wciąż wyżej, samotny i ponury. Wiatr rozwiewał mu włosy i osuszał pot występujący dużymi kroplami na czole. Dosięgnął wreszcie połoniny i oparł się plecami o sosnę. Był teraz sam i nikt nie mógł zdjąć ciężaru z jego serca, był sam, zgnieciony, upokorzony, pełen rozpacz. Wokoło niego królowała cisza, siedząca na tronie chmur, rozplatała długie włosy, otulając nimi drzewa, trawy i kwiaty, tylko biednego serca ludzkiego ukoić nie mogła.

Z ciemnych korytarzy lasu, ze wszystkich szczelin jęła wypełzać błękitnawa mgła. Martyn oddychał gwałtownie. Wiadomości, które przywiózł Tomek z Warszawy, osłabiły go nie tylko moralnie, ale także i fizycznie. Czuł jakieś dziwne drżenie kolan, aromatyczne, rześkie powietrze dusiło go. Przesunął dłoń po czole. „Starzeję się. Koniec” - pomyślał. Ale nie mógł oderwać oczu od ukrytej w zieleni dolinki, gdzie stał jego pałac. Nie wejdzie tam uśmiechnięta mała Manon! Nie chce... Zabrał mu ją świat!

Na doliny, na góry spływał szary sen kłębamii mgieł. I zdało się profesorowi, że z nieskończonych dali, ze wszystkich stron płynie na ten kącik świata morze spokoju, całe w perłowosza-firowych tonach i zalewa... zalewa... zalewa wszystko, a tylko on, Martyn, siedzi sam wysoko i nie widzi nic, prócz swego bólu i wstydu.

Marianka, jego mała córeczka, jego dziewczynka wyśmia-



ła go, wyrzuciła z serca na zawsze. Chciał, by życie obsypało ją samymi kwiatami, uczył kochać, uczył śmiać się tak, jak się do słońca śmieje łąka zielona, wyrwał ją z błota, o... z błota! Bo czyż nie pokazywała swego półrozkwitłego ciała w sztucznych łamańcach rozkapryszonym snobom? - Pocałuj ją... ona umiera! Umarła macierzanka... odeszła Manon, śliczna, promienna dziewczynka o oczach koloru otulonej we mgle gencjany, i nie będzie biegać bosą po łące w promieniach księżyca, ale swój głos dźwięczący majem zedrze w plugawych piosenkach opluwających miłość i małżeństwo, i będzie sprzedawała krasę ust, póki nie zwiędnie, jak tamta macierzanka.

Manon... Manon... i setki takich, którym życie odbiera młodość, ideały i wiarę. I nigdy profesor nie ujrzy tej drobnej, delikatnej twarzyczki i nie poczuje ciepła wiotkich ramion, które tak często oplatały mu szyję.

„Oddałbym wszystko, byleby moja Marianka...” - błyskawica tej nie dokończonej myśli rozdarła ciemności, smagneła serce Martina palącym dotknięciem, zatrzęsła zgarbionym ciałem...

Przetarł oczy. „Kocham ją... Jezus Maria... kocham ją...”

Schodził półprzytomny, dźwigając okrutny ciężar świadomości swego uczucia... i swego wstydu, schodził, chwiejąc głową jak starzec, jakby w tej chwili całe życie rozprysło się niby wątpa skorupka pod ciosem młota, jakby wszystko, co zdobył, co przeżył, straciło wartość, jakby go obsypano szarym, duszącym popiołem zgliszcz wszystkiego, co ukochał...

Po co było walczyć, odmawiać sobie szczęścia, jakie daje, stworzenie rodziny. Należało porwać Mariankę, zamknąć ją w ramionach na całe życie...

Schodził coraz wolniej, coraz ciężiej opierając się na lasce, w mrok i mgły. Ani jedna gwiazda nie rozjaśniała grubych, wilgotnych ciemności. Góry szły zwartym, czarnym murem ku

sobie, jakby zetrzeć chciały na proch człowieka, Olbrzymie i groźnie tajemnicze rosły od ziemi do nieba i od nieba do ziemi, kołysały się i przewalały w tumanach... Kilka kamyków z chrzęstem upadło w dół spod stóp profesora...

- O hej... o hej... - samotny, żaloszny, bezbronny okrzyk przepłynął z wolna i utonął we mgle.

Nagle jakieś szybkie kroki naprzeciw i silna, młoda dłoń chwyciła rękę profesora.

- Ojczulku, szukam cię wszędzie, taki byłem niespokojny, matusia płacze.

Profesor odetchnął głęboko i wytarł chustką spoconą twarz.

- Zasiałem się tam w górze...

- Kowalik także szukał cię po wszystkich kątach. Sw o ją drogą nie przypuszczałem, że wróci. Widzisz, ojczuś, jak prz\ -wiązał się do ciebie...

- Do mnie! Ma tu dach nad głową i pożywienie... do mnie!

- No, no, staruszkule, bez ironii, bez gorzkich żalów, on ciebie kocha i może więcej ma wartości jego proste uczucie niż tam różnych przyjaciół, którzy ci skrwawili serce. Chodź, ojczuś, prędzej, bo w domu wszyscy czekają niespokojni.

- Jakoś nie mogę prędzej, chłopczule... coś z sercem... duszno...

Tomka przebiegł dreszcz. Zląkł się. Po raz pierwszy przemknęło mu przez myśl, że opiekun może odejść na stokroć dalszy i już bezpowrotny spacer i co wtedy?

Czy potrafi prowadzić dzieło profesora z takim zapałem i poświęceniem? Czy nie będzie musiał zadawać gwałtu swojej naturze? Nie, na wychowawcę nie ma specjalnego talentu ani

zamiłowania. Jest przede wszystkim człowiekiem lasu... Las! O, jakże Tomek kocha las i jego tajnie, i ten zapach wolności...

- Czy nie byłoby dobrze, tatusiu, udać się do lekarza?

- Zwariowałeś? Nic mi nie jest... lekkie zmęczenie. Ale Tomek czuł, że to nie tylko fizyczne, ale i moralne

zmęczenie... to te wiadomości z Warszawy. Chciał je zakomunikować ojcu w jak najdelikatniejszej formie, ale profesor od razu przyparł go do muru. A teraz przypomniały mu się słowa Marianki: „Złamanego serca nie można leczyć kompresami z rumianku”.

Dochodzili w milczeniu do dziedzińca. Zacisnął mocniej palce na dłoni profesora.

- A nasi chłopcy podpatrzyli dziś jelenia i okropnie są dumni, że schwytali go na kliszę.

- Co ty powiesz.

- Okrągły tydzień latało to bractwo za mną ze swoim aparatem. Musiałem się włóczyć po najdziwniejszych wertepach, żyć mi nie dali. Felek nawet swoich pszczoł przestał pilnować. No i dziś zaraz po obiedzie na Zeleminie...

- Aż tam zaleźliście?

- Musiałem, tatku... Jak wychodziłem, to chłopcy brali się do wywoływania kliszy. Słyszysz, staruszkule? Nasi śpiewają. Felek używa na harmonii. Wesoło jest tutaj, choć noc ciemna i jutro będzie lało. Wesoło... gwizdnij na Warszawę.

Weszli na ganek.

- Jest profesor... jest pan... nasz pan - rozległy się krzyki.

- Jestem, ale dzieci, to już przecie późno... co, i te żółto-dzióbki nie śpią?

- Halinka się bała, że wujcia niedźwiedź zjadł, ale ja jej powiedziałem, że wujcia żadne zwierzę nie ruszy, bo jest dobry.

- Maleństwa kochane... Ale skoro mnie nikt nie zjadł i skoro nie ma już tej obawy, pójdziemy wszyscy spać.

Chłopcy jednak obokoczyli go z hałasem.

- Mamy jelenia, wujku, klisza doskonała.

- Będziemy ją jutro odbijać.

- Dobrze, dzieci, dobrze, ale teraz marsz spać. Rozeszli się wszyscy. W sali jadalnej została tylko Olesia i udawała zajęta porządkowaniem książek na półkach. Tomek podszedł do niej.

- Czemu pani nie idzie spać?

- Nie wiem, czuję, że nie zasnę, taka dziwna noc...

- Dziwna? Jak zwykle przed deszczem.

- Ale na mnie okropnie źle wpływa. Proszę zobaczyć, jak bije mi serce, szum w uszach, panie Tomku, obawiam się, że zemdleję, niech mnie pan trzyma, niedobrze mi.

Przechyliła głowę na jego ramię, całym ciałem przywarła mu do piersi. Chłopak uczył lekki zamęt i coś, co niby dreszcz przebiegło mu wzdłuż grzbietu. Objął dziewczynę i poderwał z ziemi. Zwiła mu w rękach bezwładnie, ale na półuchylonych jej ustach dojrzał uśmiech, jakby triumfu. Opamiętał się, zaniósł ją na ganek posadził na ławce i podsunął dzbanek z wodą.

- Proszę się napić, to pani dobrze zrobi... spokojnej nocy - i odszedł, a Olesia została, gryząc wargi. „Poczekaj, ja cię złapię, nie teraz, to kiedy indziej” - pomyślała zawzięcie.

Nazajutrz z rana, zaraz po gimnastyce prowadzonej przez Tomka, profesor wezwał go do siebie. Przyszedł rumiany, świeży, w lekkiej, sportowej koszulce, pod którą wyraźnie rysowały się piękne, muskularne kształty, i spytał z uśmiechem:

- Jest coś ważnego, ojczulku?

- Owszem. Ponieważ uważam cię za swego pomocnika, chciałbym omówić z tobą sprawę Olesi.

Tomek zaczerwienił się mocno, na szczęście nie zauważył tego Martyn wpatrzony w szare strumienie deszczu zalewające dziedziniec.

- Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o Olesi, należałoby ją właściwie odesłać do domu. To nie jest dom poprawczy ani klasztor, jeśli jednak mam być szczery, żal mi dziewczyny, może pobyt tutaj wpłynie na nią dodatnio?

- Wątpię, tatusiu, ona już cała przesiąknięta zgoła innymi zasadami, cała jest nastawiona na pożeranie serc, wszystkie jej myśli tylko ku temu zdążają. Ta dziewczyna chce być po prostu narzędziem rozkoszy. Nie mogę patrzeć, jak ją nasi chłopcy poskubują i poklepują. Weź pod uwagę, ojczuś, że chłopak jest tylko chłopakiem, a nie ascetą lub mędrcom... prędzej czy później może nastąpić katastrofa. Wiem, że nic nie masz przeciwko miłości, ale tu o miłości i mowy nie ma. Zmysły i zmysły... wszystko jedno, kto ją będzie pieścił, jej chodzi o sam fakt zwycięstwa. Uważam, że powinno się jak najprędzej usunąć tę żywą pokusę... ze względu na spokój, który tu powinien panować.

Profesor wciąż spoglądał w okno.

- Będę z nią musiał pomówić, ale jestem dziś zupełnie rozbity.

- Zauważyłem. Trzeba wypocząć, ojczuś.

- Nie wolno mi jeszcze. Możesz odejść, Tomku. Deszcz lał bez przerwy i zasnuł świat gęstą siecią, w której ledwo majaczyły kontury gór. Blaspany dach dzwonił uparcie<sup>x</sup> donośnie... Kury, skulone, zbiry się w gromadkę na progu' otwartej stodoły, za to kaczki, pokwakując chórem, pluskały się zawzięcie w kałużach na dziedzińcu. Poprzez chlupot de-

szczu leciało w siną przestrzeń miarowe, donośne wołanie robotników, którzy z pobliskiego zrębu spuszczały oślizgłe kloce w dolinę.

- O hu!... oo hu! - żalony pokrzyk napełniał wszystkie kąty i mieszał się z cieniutkim głosikiem jakiejś pastereczki i kwileniem kani.

Z kuchni zaś biegła roześmiana dziewczęca wrzawa. Tam było święto: smażono soki i konfitury z uzbieranych wczoraj malin. Kiedy profesor przystanął w progu, wnet otoczył go wieniec roześmianych młodych twarzyczek.

Jak dobrze znał wszystkie. Cztery lata już otulał je swymi opiekuńczymi oczyma dzień po dniu. Jedną Olesia stanowiła nowy nabytek, ale reszta... Najstarsza, Kazia, miała lat osiemnaście, Halinka weszła pod ten dach jako dwuletnie mizerniutkie bobo... A teraz?

I gdy tak profesor patrzył na zręczne dziewczęce postacie, serce jego obejmowała cicha, błękitna jak księżycowy promień radość. Te wszystkie młode życia wejdą w świat wesoło, zdrowo i trzeźwo, nie załamają się, nie wypaczy ich żaden trud, żadna niedola, przyzwyczajone są do pracy i niewygód, umieją zdobywać. Są jak młode, silne drzewka, wyrosną, szumieć będą o krasie życia i miłości ziemi. A Marianka?...

Cień przemknął po twarzy Martyna. Mimo woli badawczo spojrzął na Olesię. Zarumieniła się i spuściwszy oczy, wałkowała ciasto. Martyn zaś uczuł ogromny żal, że musi ją z tego zdrowego, wesołego środowiska wyrwać.

„Nie, nie uczynię tak, poczekam jeszcze” - zdecydował i wyszedł na dziedziniec. W szopie kilku malców piłowało zaciekle drzewo. Kowalik w ogrodzie rwał zielsko dla świni i mimo deszczu gwizdał wesoło. Widząc, że profesor idzie w jego stronę, krzyknął:

- Proszę pana, na drzewie wisi płachta, proszę się odziać, pan zmoknie.

- Nic mi nie będzie, chłopcze. No co, żałujesz, żeś wrócił?

- O rany!... z końca świata bym tu przygnał...

- Jak skończysz z tym zielskiem, idź do kuchni, poratujesz ciotkę Gabrysię (Gabrysia dla wszystkich była „ciotką”), maszynka im się zepsuła.

W tej chwili na dziedziniec wszedł Felek z krowami. Mokry, czerwony, uśmiechnięty zbliżył się do profesora.

- Już są grzyby, proszę pana... o! jak cacko! - i wyjął z kieszeni ślicznego borowika. - Pokażę dziewczynom, będą się cieszyć.

Profesor wziął grzyba z ręki chłopca.

- No widzisz, smyku, jaka to śliczna rzecz taki mały grzyb, niech no kto spróbuje zrobić coś podobnego... ta czekoladowa czapeczka, okrągła i zgrabna, dobrze jest znaleźć takiego małego jegomościa, przyjemnie, co?

- Ojej, jeszcze jak, małom krów nie pogubił, bo zaraz szukałem innych. To ciągnie człowieka w las jak na lince. Może tu, a może tam znajdę... ale jakoś nic więcej nie było.

- Będą, będą, pójdziemy nie raz, jak w zeszłym roku.

Po obiedzie zostali wszyscy w jadalni, ponieważ nie czekała żadna pilna robota, a deszcz lał bezustannie. Profesor czytał na głos nowele Prusa. Miał piękny głos i bardzo dobrą dykcję, słuchacze patrzyli w niego jak w tęczę. Jedna Olesia tylko ziewała i przeciągała się ustawicznie. Tomek miał ochotę schwytać ją za kark i wyrzucić przez okno, niestety, nie mógł tego uczynić; Felek natomiast szepnął mu do ucha:

- Jak gwizdnę tę pannę w szczękę, to będzie sobie musiała odrutować gębę.

- Cicho bądź, urwisi!

Po czytance podszedł sam do Olesi w korytarzu.

- Niechże się pani zachowuje przyzwoicie, choćby ze względu na szacunek dla profesora. Nie chciała pani słuchać, to można było wyjść, ale gorszyć wszystkich, wszystkim przeszkadzać... doprawdy brzydko z pani strony.

- Obejdę się bez morałów.

- No, zobaczymy! - a że był już wściekły, więc syknął, odchodząc - Szцениak!

Skoczyła do niego i chwyciwszy za rękę, krzyknęła:

- Co pan sobie myśli... chamidło jakieś!

Chciał ją odepchnąć od siebie, uderzyła go... Zaczęli się szamotać, sprawiało jej to dziką rozkosz. Prowokowała go specjalnie, podniecając do walki. Była silna. Przez rozpiętą bluzkę Tomek ujrzał duże, rozwinięte piersi dziewczyny. Usta jej miał tuż przy swoich... ramiona gładkie i nagie na szyi. Pociemniało mu w oczach, przycisnął dziewczynę do siebie, aż jęknęła, i zaczął całować jej usta, oczy, piersi... raz po raz, nieprzytomnie, zajadle...

Nie myślał w tej chwili o niczym. Obezwładniła mu rozum i wolę rozkosz. Był przecież zupełnie niezepsuty, nie znał słodczych kobiecych pocałunków. Kiedyś, gdy jeszcze studiował, zrobiła na nim wrażenie koleżanka, pocałował ją któregoś wieczoru... jeden jedyny raz... Olesia umiała podniecić mężczyznę. Zanurzyła palce w czuprynie Tomka, przyciskała się doń, gryzła jego młode, czerwone usta.

Gdzieś w korytarzu trzasnęły drzwi. Oprzytomniał, puścił ją i wybiegł na dwór. Olesia poprawiła włosy i bluzkę, przejrzała się w małym lusterku i uśmiechnięta weszła do kuchni. Teraz wiedziała, że jest na drodze do zwycięstwa. Tak... doprowadzi bezwzględnie do małżeństwa, a potem?... O, właśnie,



potem zdobędzie wolność i zostanie lwicą salonową, i setki młodych mężczyzn rzuci sobie do stóp...

Wycierając talerze, nuciła półgłosem, a chora wyobraźnia podsuwała jej rozkoszne obrazy przyszłości. Widziała siebie w pięknych toaletach, w różnych sytuacjach. Ciało jej przebiegały dreszcze... Będzie pożądaną... Och, pożądaną... dziś ten, jutro inny. Pocałunki... uściski... chwile rozkoszy... Co może być wspanialszego nad świadomość, że się jest pożądanym? Będą o niej pisać i mówić jak o „wampire”.

A Tomek biegł las rozgorączkowany, nie czuł ani chłodu, ani wilgoci, palił go wstyd, a jednocześnie dzikie pragnienie: Jeszcze raz... jeszcze raz przeżyć taką ogniową chwilę, jeszcze raz wyczuć pod palcami duże, pulchne piersi. Nagie piersi. Nagie... takie brązowe od słońca. Ugryzła go w usta... Cudowny ból! Wrócił późnym wieczorem, kiedy dom zaległa cisza.

Rano Olesia usłyszała, jak mówił do profesora:

- Pójdę, tatku, w górę, na połoninę. Felek mówił, że widział tam czyjeś krowy. Jak będą nam tak wypasać, jak w zeszłym roku, znowu w zimie zabraknie siana.

Serce jej zabiło mocno... Ukryta za drzewami śledziła znikającą w gąszczu postać chłopaka. Gabrysia tymczasem rozdzielała pracę między dziewczęta. Jedne szły do ogrodu pleć warzywa, inne do kuchni, inne miały zająć się szyciem.

- A gdzie Olesia?

- Jestem... idę...

- Weź, dziecko, koszyk, pobiegiesz do wsi kupić soli, papieru i szarej bawełny. Spytaj także, czy sprowadzili mi te małe słoiki, jeżeli tak, to je przyniesiesz, tylko nie potłucz po drodze.

- Mam iść zaraz?

- A pewnie, póki nie ma upału.

Olesia wzięła koszyk i wyszła szybkim krokiem na drogę. Machnęła ręką dziewczynkom pracującym w ogrodzie. Rozejrzała się potem dookoła i nie dojrzawszy nikogo, przeskoczyła rów i wpadła w las. Szybkim krokiem maszerowała znajomą ścieżynką pod górę i pod górę. Myślała, że może dopędzi Tomka, który nie miał zwyczaju chodzić zbyt szybko. Należało tylko wydostać się na główną drogę wiodącą wprost na połoninę, tu, na wąskiej, miejscami zarośniętej, miejscami błotnistej ścieżynie trudno było rozwinąć potrzebną szybkość. Wreszcie las kończył się i wpadła na drogę, skręcając w lewo pod górę. Oddychając z trudem, szła ostrym krokiem. Po kwadransie ujrzała przed sobą w dość znacznej odległości znajomą postać. Jeszcze kilkadziesiąt pełnych wysiłku kroków i krzyknęła:

- Tomek!

Drgnął... Zatrzymał się i patrzył na bladą z wysiłku dziewczynę... Uczuł, że krew zalewa mu twarz... milczał. Wreszcie podeszła blisko i szepnęła zdyszana:

- Co za podła droga!

- Czemu więc przyszłaś?

- Do ciebie... Było mi tak tęskno, Tomek... Czy jesteś z drzewa czy z lodu, czy nie rozumiesz, nie mogę żyć bez ciebie - patrzyła mu z bliska w oczy. Z rozpiętej bluzki wyłaniała się ciemna, pulsująca, opalona szyja, na którą wystąpiły kropelki potu...

- Olesiu... odejdz...

- Czemu?... Głuptasie, przecież ty mnie kochasz... co w tym złego - wzięła go za rękę i opasała się nią - widzisz, jak to przyjemnie... prawda?

- Olesiu!

- Olesiu i Olesiu... wstrętne imię, nie nazywaj mnie tak.

Dla ciebie chcę być Olą... chodź tu w cień... usiądziemy...

- Nie mam czasu... Olu!

Mimo to poszedł posłusznie; gdy usiedli, przechyliła mu się nagle na kolana i objęła za szyję.

- Kocham cię, Tomek. Żadnego chłopca nie kochałam tak jak ciebie, choć doprawdy szaleli za mną.

Biedny Tomek stracił zupełnie panowanie nad sobą, przewrócił ją na wznak w trawę i całował bez pamięci...

- Zobacz, jak jestem pięknie opalona - szepnęła, zsuwając z ramion bluzkę.

- Ola... Ola... nie mogę... stanie się coś okropnego... będziemy żałować oboje - dyszał ciężko.

- Nie żałuję nigdy niczego... niech się stanie - odparła zaciskając zęby - jedynie to jest coś warte w życiu.

A godziny bieły ponad nimi i hałasowały ptaki. Przesuwały się obłoki po niebie i woda szumiała w potoku.

- Oleńka... wiesz... już pierwsza - przemówił wreszcie Tomek.

- Tak? No to trzeba wracać, ja jeszcze muszę biec do wsi.

Wstała, przeciągnęła się.

- Dobrze mi z tobą... jutro znowu się spotkamy. Milczał. Widać było, że jest zgnębiony. Roześmiała się i szybko jęła zbiegać w dół. Wiedziała, że ma go już w swojej mocy. Kiedy zjawiała się w dworku, było już po obiedzie. Gabriusia jęła narzekać:

- Bój się Boga, Olesiu, cóżeś ty robiła tyle czasu?

- Czekałam. Sklep był zamknięty - odparła śmiało. Ale Tomek, który to słyszał, zaczerwienił się. Przejął go wstyd do bólu podobny. Przecież Olesia jest mu zupełnie obca, zupełnie nie kocha jej... a jednak... czuł, że będzie odtąd tęsknił do jej pieszczoty.

I tak się stało. Nie kochał Olesi, rozumiał, że uczucie, jakie nim owładnęło, na miano miłości nie zasługuje, \* zupełnie stracił głowę dla dziewczyny, nie mógł s,ę pcpro tu bez niej obyć. Uciekali oboje w zaciszne miejsca, zaniedbując swoje obowiązki. Opowiadała mu barwnie awanturnicze swo-e przeżycia i wprowadzała w jakiś dziwny świat szalejących zmysłów. W głębi duszy Tomek litował się stworzeniem, które tyle już przeszło wstrząsów. Olesia potra fiła zawsze postawić się w roli ofiary. Chwńami myślał, że to właśnie litość i współczucie pociąga go do mej tak sUme chwilami znowu musiał przyznać, że' i te opowiadania Olesi punktu widzenia swojej prostej i uczciwej duszy nieodwołalnie Przy tym wierzył, że jest kochany.

- Nauczyłeś mnie prawdziwej miłości, Tomku, dotąd nie umiałam kochać, bawiłam się tylko.

Sprytna, bardzo sprytna była Olesia. A Tomek wierzył, że iego uczucie może wyrwać dziewczynę z błota.

Profesor, pochłonięty swoimi obowiązkami, nie zauważył nic.

Olesia przyczaiła się i była nawet bardzo milutka , uczynna.

Myślał, że przeszłość jej niby zły sen rozplynęła się w talach

-Tylko jedne kochające, wierne Gabry sine oczy z lękiem wpatrywały się w syna/Truła się tym ogromnie a nie chciała porusłać tej sprawy wobec profesora, wobec domowników.

Upływały dni i serce Gabrysi broczyło krwią .Ona jedna przej-rzała Olesię na wylot. Wreszcie nie mogła dłużej. Czuła ze traci swego jedynaka. Pewnego więc popołudnia, kiedy dostrzegła, że chłopak bierze kapelusz i okuty kij, zatrzymała go na ganku.

- Zostań w domu, Tomuś, chcę z tobą porozmawiać.

- Ja za jakieś dwie godzinki wrócę, matusiu. Ale rozgoryczona kobieta wybuchła:

- To ja mam czekać na ciebie, smarkaczu jeden, a pannica nie może? Dostyc tego... chodź ze mną.

Pobladł i bez słowa już szedł z matką do spiżarni. Było tu chłodno, ale jasno i czysto.

- Tu możemy rozmawiać swobodnie - usiadła trochę zdyszana, stanął przed nią.

- O czym mama chce ze mną mówić?

- Pytasz się? Słuchaj, Tomek, ja wszystko widzę, wszystko wiem. Ładnej się doczekałam, pociechy, gdyby ojciec dowiedział się o tym, padłby chyba trupem z żalu. Kogoś to sobie wybrał, co? Komu oddajesz swój czas i moje starania tyloletnie? Na to cię ojciec kształcił, na to chuchałam i dmuchałam, żeby ci zawiązała świat taka dziwka...

- Mamo... nie chcę słuchać. Płasnęła rozwartą dłonią o ławkę.

- Ale ja muszę mówić... ja muszę... ja ci otworzę oczy, głupi dzieciaku. Ta dziewczyna nie ma wstydu, nie ma sumienia, ale chce ciebie złapać. Przespała się już tutaj ze wszystkimi.

- Proszę zmilczeć! - krzyknął, odwrócił się gwałtownie w stronę drzwi, ale Gabrysia już stała tam z rozkrzyżowanymi ramionami.

- Nie wyjdiesz stąd... Tomek, ja mówię prawdę, przez całe życie nie skłamałam. Gdybyś ożenił się z Olesią... Tomek, gdybyś to uczynił, w twoich oczach zabiję się, słyszysz? Zabiję się.

Tomek zdrętwiał. Jak mógł sięgnąć pamięcią, nigdy nie widział podobnego wybuchu u matki. Delikatnie objął jej ramiona i podprowadził do ławki, sam usiadł obok.

- Matusiu, spokojnie... zrozum, że nie mogę postępować jak świnia po tym, co zaszło między nami, muszę ją poślubić. Ona mnie kocha... nie uwierzę nigdy w to, co mówisz... nigdy.

- Żyjesz z nią?

- Tak - rzekł twardym, obcym głosem.

- A ja się położę na progu kościoła w dzień twego ślubu i będę krzyczała kto, kto to jest... a przysięgnie ze mną i Grudzki, i Duda... tak... tak... możesz mi wyłamywać ręce. Ja tyle lat jestem z profesorem i nigdy nie ośmieliłam się wznieść na niego oczu, nigdy nie pomyślałam, że mógłby mnie poślubić, a jestem wierna jak pies... jak pies, a taka dziwka sięga po ciebie i przy tym łasi się do każdego, każdemu daje się obmacywać. Śmieją się z was chłopcy, a ja muszę na to patrzeć... Fuj! - splunęła i wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

- Matusiu, na miłość boską...

- Tomek, przysięgnij mi, przysięgnij, że zerwiesz z nią. Chwil parę upłynęło w milczeniu. Gabrysia tuliła twarz w fartuch. Tomek dmuchał w górę, odganiając kosmyk włosów z czoła, obie dłonie splecione mocno wspierał o ławkę.

- Niech mi mamusia da parę dni czasu, pomyślę, zastanowię się.

- Dobrze, pomyśl, ale i oczy szeroko otwieraj. Tego dnia Olesia próżno czekała na połoninie.

A tymczasem przyszły sianokosy. Z wysoko położonych łąk zwożono z niemałym trudem po stromych drożynach świeżutkie siano. Powietrze przesycone było odurzającą wonią, sianem pachniały izby, sianem pachniała odzież. Świeży, wonny prąd przenikał duszę profesora i jego pupilów. Wszyscy teraz byli zapracowani, ale radośni. Zaczął się czas grzybów.

Zbierano je i suszono całymi koszami. Dojrzewały pomidory i truskawki.

- Tak pachnie wolność, dzieci, swoboda - mawiał profesor, gdy po pracowitym dniu zbierali się wszyscy na ganku w księżycowe wieczory. - W dźwięku dzwoneczków, którymi potrząsają krowy, w wesołym pobrzęku pszczoł, w świergocie jaskółek nad naszym domem krążących, gra nasza wolność, dzieci.

I wszyscy byli radośni, tylko Tomek miał w duszy nieznośny ciężar...

## ROZDZIAŁ V

Wysoko nad lasem, ponad zrębem płynęła śród małych, białych obłoczków kania. Miękko toczyła szare ciało kręgiem, kręgiem... szeroko... szeroko... aż zniknęła nie wiadomo gdzie; czy połknęło ją niebo, czy wplątała skrzydła w pajęczynę drobnych obłoczków? Nagle znowu wypłynęła znikąd. Teraz rysowała skrzydłami małe, coraz mniejsze koła i w pewnej chwili zawisała nieruchomo w przestrzeni. Jakby tam, w niebie, Dobry Bóg trzymał ją na wędce... minuta... dwie...

Jasne jest niebo w dzień wiosenny i jasne, kolorowe łąki śród gór, i jasna cisza. A wtem ciemna, nieruchoma dotąd, zawieszona w przestrzeni chmurka, spada w dół jak kamień, jak kula... I oto znowu po krótkiej niby błysk chwili unosi się w górę, mniejsze i większe zataczając koła. Płynie, kołysze się na błękitnej tafli nieba, ślizga się przepięknie.

Po podwórzu Martynówki chodzi majestatycznie cała chmara drobiu starszego i młodszego. Kury nieustannie wyrzucają w bok nóżki i schylają głowy, kaczki kręcą się tu i tam



z głupimi minami, od czasu do czasu podnoszą wrzask. Indyki drapnęły do ogrodu i nikt o tym nie wie.

Halinka przed chwilą wróciła ze szkoły, siedzi z Andzią na progu szopy w słońcu i obiera kartofle, zerkając spod rzęs w stronę najmniejszych kurcząt. Ma ochotę wziąć wszystkie razem na rękę i całować, ale od czasu, jak dwa maleńkie, jeszcze żółte, zdusiła, pan Tomek zabronił dotykać ptaków.

- Ja cię spróbuję tak pognieść, chcesz?

- Nie bardzo...

- A widzisz!

Mimo to Halusia zawsze ma ochotę popieścić kurczątko... A kania płynęła właśnie od strony, lasu ku białemu domowi.

Miękko, miękko kreśliła koła nad dziedzińcem, jakby sobie w myśli układała granice władzy człowieka. Zawisła w powietrzu... i buch z góry jak nurek do wody.

Przeraźliwy wrzask ptactwa, krzyk Halinki, lament Gabry-si. Brakuje dużej, ładnej kurki. To już tej wiosny piąta z kolei. Przy obiedzie wszyscy są podnieceni... Jutro będzie polowanie.

I nazajutrz od samego rana Tomek z Kazikiem czatują. Jeden siedzi w oknie na strychu, drugi na progu szopy. Ale jastrząb pojawił się dopiero po obiedzie. Pierwszy dojrzał go Kazik. Zbiegł na dół.

- Już kołuje nad zrębem.

- Poczekamy.

Kury nie pamiętały o tragicznym wypadku. Spokojnie kręciły się po dziedzińcu, młode kogutki bez powodu doskakiwały do siebie, to znów cała gromada wyrywała sobie małą, zieloną żabkę.

A na niebie stanęła cicha, szara plama, potem spłynęła niżej w lewo, potem łukiem pięknym w prawo, wtem... trach... spadła za oborę, ale już więcej nie wzniosła się w górę.

- Chciałbym zmajstrować taki aeroplan - mówił Kowalik, oglądając zabitego ptaka - co by szedł tak jak jastrząb, bez motoru i bez strachu.

Zabitego jastrzębia postanowiono wypchać. Ale nie tylko jastrząb kania budzi podziw swoim wspaniałym, płynnym lotem. Ulubieńcami kolonii są jaskółki. Od wczesnego rana kreślą zygzaki na lazurowych toniach nieba, z przeciągłym poświstem zbierają się w bukiet, to znów rozsypują jak ziarenka czarnego dmuchawca. Niezmordowanie krążą koło domu i znoszą... znoszą dziesiątki much swoim małym, żarłocznym pisklętom. I nawet w pochmurny dzień, kiedy drży w powietrzu wesoły poświst jaskółek, wesoło się robi na duszy. Bo te ptaszyny zawsze mają dobry humor. Za to kiedy kilka dni z kolei pada deszcz, dzieciarnia ma kłopot.

- Oj, co będą jadły nasze jaskółeczki?

Ale nad ptaszętami czuwa Bóg. Kiedy zaczynają obsiadać gałęzie rozłożystej topoli, Martynówka wie, że to już niedługo odlot i wszystkie młodsze i starsze serca ściska żal i obawa: może nie wszystkie wrócą tu z dalekiej, przez morze, drogi? I jeszcze serdeczniej patrzą młode oczy na czarny, ruchliwy drobiazg.

A raz... o, jaki był smutny dzień. Janinka znalazła w krzakach jaskółkę. Krwią zroszone były czarne, aksamitne skrzydełka.

- Ona nie będzie żyła, Janinko, lepiej dobić, niech nie cierpi.

Ale Janinka uciekła ze swoją jaskółką w głąb ogrodu. Posypała na dłoń różanych płatków i trzymała delikatnie ptaszynę. Z jej oczu płynęły łzy, duże, jasne, gęste i wilżyły ciemne skrzydełka. Cierpiała razem z ptakiem. Drżała razem z nim. Z bladych ust leciał cichy szept:

*Tak bardzo cię kocham, jaskółko. Róże ci ścielę na ranę, A ty umierasz, jaskółko, Idziesz w krainy nieznane.*

*Nie bój się, mała siostrzyczko, Odchodzić w wieczności tonię,  
Przed wielkim, groźnym Nieznanym Swoim cię sercem zasłonię.  
Swoim cię sercem ot idę, Niestraszna będzie ci droga. Aż się  
obudzisz spokojna, Szczęśliwa już u stóp Boga.*

Cichutko zasnęła jaskółka na posłaniu z róż. Może ukołysało ją łagodnie serce Janinki? Któż to może wiedzieć. A potem w małym pudełeczku zakopała ją duża Andzia pod różanym krzakiem. Ona nie płakała wcale, tylko powiedziała ostro:  
- Tyle dzieci na świecie umiera i nikt z nimi nie robi takich ceregieli.

A Janinka odparła:

- Ja umieram razem z nimi!...

Ale kiedy zdechła świnka, to właśnie Andzia dostała okropnego kataru i wciąż powtarzała:

- Tak za mną latała, jak za matką... jak za matką.

Ale Andzię wszyscy bardzo lubili i wcale się nie wyśmiewali z jej przywiązania do świnki. Andzia była duża, silna, energiczna, czasem burkliwa, ale zawsze na wszystko znalazła radę. Czy na skaleczony palec Kazia, czy na złamaną łapę

Burka, czy na kłopoty Halinki z rachunkami. Ona była prawą ręką Gabryni w sprawach kuchni i spiżarni, a z równą pasją brała się do prania, zaś o każdy brudny kołnierzyk robiła piekło, zdzierając go czym prędzej z szyi ofiary.

Janinka, ostatni nabytek kolonii, bledziutka i cicha, długi czas nie mogła nacieszyć się słońcem i swobodą. Gabrynia otaczała dziecko najczulszą opieką, pragnąc wywołać kolory na przezroczystą buzię.

Janinka umiała opowiadać cudowne bajki i umiała kochać. Na kogo spojrzała wielkimi, czarnymi oczami, budziła wzruszenie i uczucie, jakie powstaje na widok delikatnego, bezbronnego ptaszka. O Janinkę dbali wszyscy i wszyscy jej pomagali, i wszyscy ją uczyli swoich umiejętności. Janinka była dobrą wróżką kolonii, tak jak Halusia pieśczochoą i najmiłszym kochaniem.

## ROZDZIAŁ VI

Moja maleńka Manon, rzuć tego papierosa, weź płaszczyk, pójdziemy daleko na spacer. Słońce jest wprawdzie wysoko, ale wieje przyjemny wietrzyk, będzie ci odgarniał włoski z czoła. Pójdziemy sobie tą kamienistą drożyną. Jest dość szeroka, wiesz, te koleiny wyżłobiły nasze wozy, jeżdżą do góry z trudem, ale gdy wracają, chłopcy muszą hamować -Wszystkie koła, inaczej i wóz, i konie potoczyłyby się w dół na złamanie karku. Stromo jest, prawda, maleńka? Skręcimy sobie teraz tu, na prawo, na zrab. Jaki wspaniały zapach, czujesz Marianko? Jakie wysokie trawy i zioła.

Ostrożnie stąpaj, pełno tu gałęzi i spróchniałych kłód i kamieni, które, potracone, polecą w dół i mogą rozbić nos pastuchom, co niżej pilnują bydła. To jest gencjana, Manon, a to dziewanna, a to rumianki. Prawda, jakie wspaniałe? Jakie wielkie? Chcesz usiąść w słońcu? Dobrze, o tu, pień jak krzeselko dla mojej dziewczynki. Popatrz, góry się śmieją, nie wierzysz? Siedź cichutko i otwieraj szeroko oczy, śmieją się

przecież, są takie jasne, wyciągają ramiona do obłoczków. No, popatrz tylko, ten zabawny, niby śnieżny bałwanek, zaczepił sukienkę o szczyt... rozdarła się - i nie ma już obłoczka. Siedź cichutko. Góry płyną do słońca i my płyniemy skapani w jasności radosnego dnia.

Lubisz głosy dzwonek? To krowy chodzą po zrębie; widzisz, mała, a ty już myślałaś, że to właśnie śmiech gór... A pszczoły jak brzęczą, maleńka, tu mają raj. Czy nie uważasz, że i ten wiatr ma swoją pachnącą melodię? Popatrz teraz w dół, jak zabawnie małe wydają się te świerki, prawda? A są przecież o wiele, wiele większe od ciebie, Manon. A gdzie uderzysz oczami, masz błękitną przestrzeń w piękne haftowaną wzory i jesteś jak ptak, Marianko, możesz biegać i pokrzykiwać wesoło, i wystawiać buzię pocałunkom słońca, i widzisz, jaka jesteś maleńka. I czymże są twoje troski, twoje myśli, twoje radości wobec tej przestrzeni, co cię otacza?

A teraz nie ruszaj się zupełnie, popatrz tam, z boku, w tym młodym lasku jest capek. Zaraz wyjdzie na zrab... och, i sarenka... Widzisz, widzisz, maleńka, już są, w podskokach ukazują swe piękne sylwetki na tle ciemnej ściany lasu, na szarozłotym ścielisku traw. To są dzieci lasu, dzieci wolności. Spójrz na ich nerwowe, smukłe iiózki, na te przepiękne główki...

Marianko! Warto było iść na spacer, prawda? I dobrze przeżyć taką godzinę życiem kwiatów i drzew!

Czy jesteś w domu, Marianko? Godzina dwunasta w nocy. O tej porze ziemia śpi, o tej porze, wy, w mieście, w swoich ciemnych, zatłoczonych, zadymionych mieszkaniach przelewacie potoki pustych, banalnych słów w takt murzyńskiej, po europejsku zniekształconej muzyki, wyginacie anemiczne ciała, a kiedy wszędzie słońce, nie dopuszczają go do waszych

zmęczonych oczu zapuszczone u okien sztory. Wiesz co, Manon? Jeżeli i dziś zechcesz pójść ze mną, zaprowadzę cię do srebrnej krainy bajek. Odnajdziesz tu wróżkę marzeń i księżycowe boginki, zobaczysz pałac z błękitnego kryształu. Czy chcesz? A więc chodźmy... Oto biała droga w dolinie, dzieląca dwa pasma gór. Niebo sączy cichy, przedziwny blask, wszystko dokoła, każde drzewko, każdy kamień jest naświetlony tak, jakby promieniował od wewnątrz. I powoli, powoli ten niewypowiedzianie czarowny blask napełnia twoje małe serduszko i teraz wszystko się zmienia, prawda, Manon?

Ta droga do wsi wiodąca staje przed tobą w innej krasie. To jest srebrny dywan rzucony między dwa szeregi szmaragdowych kolumn. Tam, w górze, cicho i miękko kołysze się rajski ptak. Mała w dali cerkiewka jest teraz chińską pagodą. Po rzece płyną spadłe z nieba gwiazdy. Zajrzyj, Marianko, między te kolumny. Widzisz taki fioletowy cień? Raz wyżej, raz niżej. To właśnie wróżka kwiatowych snów kołysze gencjany, dzwonki i macierzanki. A teraz wejdziemy w cień, Marianko, ale nie bój się, moja dziewczynko. Tu leśne ludki zapalają swoje latarki, pożyczają ognia od świetlików i widzisz tu i tam seledynowy, to srebrny, to błękitny refleks? To właśnie leśne ludki, biegając po zrębie, pilnują spokoju. Jeszcze parę kroków wyżej, jesteśmy na schodkach, wiodących w krainę gwiazd. A w dole spokój... taki spokój i cisza, Marianko.

Znad wierzchołków drzew wypływa lekka smuga, ni to mgła, ni to przejrzysty, seledynowy obłok: to tęsknota, Marianko. Obejmuje twą zadumaną duszę i unosi w gwiazdy, i teraz już z wyżyny, z wyżyny spoglądasz na świat. Piękny jest, jak sen dziecka, ale daleki, bardzo daleki, prawda, Manon? Jesteś wszak ponad nim...

Widzisz teraz połoninki, niby małe zielone jeziora, rzu-

cone w gęstwinę, pola i ogrody, jak hafty na srebrnej szacie nocy. A domki, Marianko? A w tych domkach śpią ludzie... słyszysz? Takie zabawne, małe robaczki, którym się zdaje, że w życiu wszechświata grają ważną rolę. Dopiero tu, z góry, widzisz, jakie to zabawne, prawda, Manon? I widzisz dostojność drzew zielonych, umiejących milczeć wymownie i spełnić do końca rolę, jaką wyznaczyła im Dłoń Wszechmocna, i widzisz powagę tych gór, stojących niby szeregi ciemnych, olbrzymich harfiarzy, grających pieśń o wspaniałości świata, pieśń dali i przestrzeni, o których ludzki rozum nie ma pojęcia. Ale w taką jak dziś noc, po zielonych strunach cicho i nieśmiało pną się wzwyż ludzkie tęsknoty. Czasem jest to wołanie serca ku sercu, czasem modlitwa, czasem pragnienie wolności... absolutnej wolności.

Ale my tu, wysoko, pośród gwiazd, jesteśmy raczej duchami niż ludźmi, jesteśmy spokojni, potrafimy ocenić wartość ludzkiego życia. Czy nie myślisz, Marianko, w tej chwili o tym, że język ludzki nie znajdzie nigdy słów na wypowiedzenie, na określenie czaru ziemi? Gdyby miał taką moc, stałby się językiem aniołów. Czy nie błąka się teraz w twej głowinie cichutka pewność, że właściwie nie ma na świecie zła? Tkwi ono tylko w nas, ludziach, tkwi i rozrasta się. Nie znajdziesz go bowiem poza sobą w dziełach natury. A wiesz, czemu tak jest? Oto człowiek pozazdrościł władzy Bogu, chce panować w ten czy inny sposób. Zamiast czerpać radość z samego faktu istnienia, pręży mózg i mięśnie w celu zdobycia czegoś, czego sam właściwie pojąć nie może. Odbiera życie roślinom i stworzeniom i chce sam, rozpanoszony, władać mocami nie ujarzmionymi. Szuka rozkoszy w dziełach ludzkich i odchodzi w nicość zwyciężony, bo nie umiał ni kochać, ni patrzeć.

Wieki mijają, Marianko, a księżyc zupełnie tak samo bie-



rze w swe kojące ramiona ziemię; krew, łzy, westchnienia, przekleństwa wybuchają i cichną znowu, a światy jednak wirują w przestrzeni. Powiedz, Marianko, czy tu, z góry, patrząc na uśpiony kątek ziemi, nie zaczynasz pojmować istotnej wartości istnienia? Czy nie jest prawdą, że żyjemy, by radować się i kochać, i tęsknić, i owocować?! Więc po co, Marianko, kłamać, mordować, sprzedawać drgnienia duszy, patrzeć na braci jak na wrogów, po co, Marianko?

Kto wie, maleńka, jak tam jest na oceanie śmierci. Czy znajdziemy wysepki, podobne do krain, któreśmy opuścili, czy też w nieskończoność obejmować nas będą melancholijne, szare, bezkresne fale... Jakże więc trzeba korzystać z dni i nocy tutaj, na ziemi, jak bardzo je trzeba kochać i wszystko, co nas otacza, i wszystkim się cieszyć, prawda, Manon?

Módlmy się, moja droga dziewczynko. Księżyc zachodzi, gasną srebrne lampy Aladyna. W cieniach na dole urastają jakieś zamczyska, jakieś kręte wirydarze; lekki dreszcz przebiegł lasy. Muzyka sfer milknie. Módlmy się teraz, Marianko, za wszystkich ludzi, którzy tego nie potrafią, za wszystkie tobie podobne istoty, które zgubiły młodość i jej szczęście w ogniu namiętności; za wszystkie tobie podobne kwiaty, tęskniące do słońca i powietrza.

I wiesz, za wszystkie roślinki, które, stojąc wnętrza salonów, nie mogą zaznać czaru prawdziwej nocy, prawdziwego dnia, więdną, rozsypują płateczki pod nogi ludzkie i konają, wdeptane w pył.

Czy wiesz, Manon, gdzie chcę zaprowadzić ciebie dzisiaj? Po prostu na pole, do naszych dziewcząt. Kopią kartofle. Spójrz. Uśmiechnięte, zginają się rytmicznie. Ziemia pach-

nie i wyrzuca ze swego wnętrza szare i różowe perły. Będzie co jeść przez całą zimę. A gdy na stole zadymią misy pełne kremowych, pulchnych kul, przypominamy sobie poranki i wieczory wiosenne i letnie, kiedy chodziliśmy wzdłuż zielonych zagonów, wyciągających do nas drobne listowie. Daliśmy ziemi nasz pot, teraz nakarmi nas i rozweseli wspomnieniem ubiegłych dni.

Zapalimy sobie tu, na skraju pola, ognisko. Strzelają wesoło suche gałązki, dym leci w górę, wonny niczym kadzidło. Ach, jesteśmy radośni i czujemy swoją wolność, jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek dziećmi ziemi. Przytulamy się do niej i leżymy uśmiechnięci w milczeniu. Ogarnia nas słodycz szarej godziny.

Wokoło, wokoło góry, wokoło czerwonawe obłoki, wokoło rozkopana miękka, ciemna gleba, falująca niby morze.

Marianko, co za rozkosz, czujemy, czujemy po prostu, że jesteśmy.

I zaraz będziemy brać w ręce gorące ziemniaki i zajadać, bez soli nawet. Trzeba trochę dmuchać w palce, ale nawet gdy się oparzysz lekko, to nic. Wybuchasz radosnym śmiechem, pakujesz pół kartofla naraz do buzi i dziwisz się, że taki smaczny.

Marianko! Wstawaliśmy razem ze słońcem i kładliśmy w ziemię cały zapal młodości. Dawaliśmy jej swój wysiłek i uśmiech.

Marianko! Nie ma tu, w naszej ziemi, krzywdy ludzkiej, ni łez, może łzy radości... Dlatego oddała nam, radosna, takie owoce, byśmy się dzielili nimi jak chlebem Bożym.

I pojedziemy sobie teraz wozem do domu, bo już i mrok zapada. Coraz dalej za nami zostaje pole. Kładzie się tam smutek na pustych zagonach, które będą długie dni tęsknić do nas, do ludzi.

W jadalni Gabrysia zapala światło. Radio gra w kąciku.

Zmontowali je nasi chłopcy. Wszyscy siadają do stołu. Popatrz, Manon, na te oczy, na te usta, widzisz? Są szczęśliwi. Są naprawdę szczęśliwi!

A ty, moja ukochana, małeńka Manon?

Mówiłaś mi kiedyś, że lubisz moknąć, Marianko. Dobrze... Dziś bowiem leje jak z cebra i możesz używać do woli. Pójdziemy, oczywiście, w górę. Ze wszystkich stron czyhają na twoje drobne stopki małe i i duże potoczki, lecą w dół zapamiętane, na łeb, na szyję, bulgocząc wesoło. Bo one wcale nie są złe, przeciwnie, śmieją się, próbują smaku ziemi, ślizgają się swawolnie po kamieniach, drobniejsze zabierają z sobą w daleką drogę do rzeki. I te cząstki gór osiadają z cichym westchnieniem na dnie potężnej masy wodnej, i będą chwytać błyski nieba poprzez szklaną tafłę. Deszcz pada, niebo przytula się do ziemi, pieści ją, obejmuje, przenika każdą jej cząsteczkę, szepcze monotonnie o wielkich, gwiazdnych polach, o nieskończonych przestrzeniach.

Widzisz, jak trzeba maszerować odważnie, przeskakiwać z kamienia na kamień, chwytać mokre, drżące gałęzie? Ale za to, Manon, czujesz, jak gra w tobie każda żyłka, jak szumi krew? Jakbyś ty sama była takim z góry spadającym potokiem.

Przystańmy tu, nad rzeką. Potęga, co? W kaskadach tańczy, rozśpiewana, wyrzuca dokoła grube bryzgi niby setki ramion. Jeszcze wczoraj spokojna i zadumana, dziś oszalała z radości. Niebo, niebo ma w objęciach, kołysze je, biegnie z nim jak mała dziewczynka z piłką, rzuca się na głązy, przelatuje po nich zwycięska, zabiera po drodze gałęzie, kłody, kwiaty. Sztandar śnieżnej piany rozwinęła po drodze i wydaje się, jakby wszystko zagarnąć chciała. A góry i chmury splotły się

ramionami w dziwnym uścisku wśród szarej topieli wciąż spadających kropel.

Marianko, jesteśmy jak na falach oceanu. Dokoła nas szaro, szumno i szeroko. Świat się kołysze miarowo. Dobrze ci, Manon?

Tacy jesteśmy oboje maleńcy, doprawdy, aż zabawnie. Ptaki i stworzenia pozaszywały się w gąszcz i tylko my, na tym wysokim zrębie, jak dwa grzybki rozglądamy się wkoło i mamy znowu wrażenie, jakbyśmy gdzieś utknęli na dnie olbrzymiego jeziora wśród szmaragdowych skał, a nad nami i dokoła nas fale, fale bez końca. A może idąc dalej, spotkamy jakąś zaczarowaną grootę?

I oto jest, nieduża budka pełna siana; wejdz, Manon, to zimowy karmnik dla zwierzyny. Dla nas tymczasem może być bursztynową groatą, odpoczniemy chwilę.

No i co, dobrze? Wiesz, tak się czują zapewne ptaszęta w gniazdku. Śmiejesz się, oczy twoje błyszczą, usteczka masz czerwone. Jesteś szczęśliwa, Marianko?

Drogi Gustawjei^

Sporo czasu upłynęło od ostatniego mego listu, prawda? Ale tak mnie absorbują moje dzieciaki, że trudno jest schwytać dla siebie jakąś chwilę. Chcesz wiedzieć coś o moich pupilach? Dobrze.

Otóż najstarszy Grudzki jest zaręczony z Kazią, ale twierdzi uparcie, że nawet gdy się pobiorą, zostanie tutaj w charakterze wychowawcy. Kazia jest „panią od szycia”. Kowalik składa sobie grosze na taksówkę. Pod koniec roku idzie w świat. Moja Halinka ma już osiem lat i chodzi do wsi, do szkoły powszechnej. Jest wyjątkowo zdolna. Będziemy ją kształcić wyżej, tak samo

Jurka i Kazika. Przygotowuję ich, z pomocą Grudzkiego, do egzaminów maturalnych, a potem popchnę wyżej.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pamięć o naszej małej Manon. Dwa lata! Dwa lata upłynęły już od dnia, kiedy Tomek przywiózł mi z Warszawy „miłe” wieści.

Pytasz o Olesię? Ależ to była zawiślana sprawa! Okazało się, że dziewczyna ma apetyt na Tomka, ja osobiście nie bronilibym, ale Gabrynia zaczęła urządzać dramatyczne sceny.

To mnie wprawiło w zdumienie. Zacząłem obserwować, wypytywać, no i wreszcie przejrzałem. Ta dziewczyna deprawowała mi młodzież. Tomek także doszedł do przekonania, że nie są dla siebie. Miałem z Olesią długą rozmowę i oznajmiłem jej, że musi opuścić kolonię. Wpadła w dziką rozpacz i póty błagała i szlochała, że ustąpiłem.

Jakiś czas wszystko było w porządku, a potem... Przyjeżdżał tu do nas często pewien młody urzędnik z okolicy. Zaczęła na nim próbować siły swoich wdzięków i co powiesz? Ożenił się z nią. Mieszkają o kilkanaście kilometrów od nas. Olesia jest już sławna, gromadzi u siebie całą złotą młodzież okolicy. Mam wrażenie, że i Tomek bywa u niej częstym gościem. Nie pytam go jednak ani na ten temat nie rozmawiam.

A teraz prośba, Gutku, tu załączam ci parę listów dla Marianki, przeczytasz jej. Ona sama na pewno nie zechce tego uczynić. I gdy znajdziesz parę wolnych dni, przyjeźdź. Mam kilka ważnych spraw, o których trudno pisać.

Twój Alek

Nie tylko szczęśliwa kolonia, ale cała okolica poruszona była tragicznym wypadkiem, jaki spotkał profesora. Znalezione go na jednej z górskich ścieżek z przestrzelonym płucem.

Żył jeszcze, ale według orzeczenia lekarzy, przybyłych ze Lwowa i Warszawy, dni jego były policzone. Gabrysia wpadła w szal dzikiej rozpacz, nie można się było z nią rozmówić. Młodzież, którą wychowywał profesor, całe dni i noce spędzała pod drzwiami pokoju, w którym konał Martyn. Umilkły śpiewy i śmiechy. Codzienny wesoły gwar, który niby pobrzęk pszczół napełniał izby białego domu, ustąpił miejsca trwożnym, lękliwym szeptom. Na progu czuwała zgroza i, wyciągając chłodne macki, powoli zagarniała wszystkich w swoje potworne objęcia.

Tomek czuwał przy ojcu ze skamieniałą w spokoju twarzą. Nie zastanawiał się teraz nad samym wypadkiem. Wszystkimi nerwami, całą duszą wołał: „nie odchodź, nie odchodź jeszcze”, i zdawało się chłopcu, że wysiłkiem swej młodzieńczej woli zatrzyma profesora przed daleką, nieznaną drogą. Martyn na ogół był przytomny, tylko bardzo, bardzo słaby, i z każdą niemal godziną tracił siły. Na trzeci dzień po wypadku w samo południe kazał otworzyć sobie okno wychodzące na zrab.

- Tomku, piękny jest świat, prawda?

- Tak, ojczulku,

- Jelenie zaczną ryczeć niedługo.

- Tak!

- Pamiętaj, byś nie pozwolił polować na naszych terenach, choćby ci płacili.

- Dobrze.

- Chciałbym zobaczyć Mariankę i Hermana. Dlaczego dzieciaki nie przychodzą mnie odwiedzić?

- Doktor zabronił.

- Aha! Wszystko w porządku, synku?

- Wszystko.

- Pamiętaj, gdy odejdę, trzymać wszystko w garści. Nic

się nie ma zmienić. Jeśli Duda czy Kowalik opuszczą kolonię, czy któraś ze starszych dziewcząt, weźmiesz nowych malców. Gdyby Marianka chciała tu zostać, niech zostanie. Opiekuj się matką.

- Dobrze, ale nie wolno ci tyle mówić.

- Ja chcę mówić, nie mam zbyt wiele czasu... Słuchaj, nie żałuj się chłopcze, śmierć jest rzeczą ludzi i motyli, tak musi być, to jest proces normalny... Tak chciałbym zobaczyć Mariankę.

Tomek nie odpowiedział, czuł, że wzbiera w nim fala nienawiści do tej kobiety, przy której były wszystkie myśli profesora. Z goryczą niemal zawistną pytał samego siebie: „A matka? Jej nic nie zostanie? Nawet złuda, że była potrzebna Martynowi?”

Podszedł do okna. Zrąb tonął w słońcu. Na najwyższym widocznym miejscu majaczyły trzy czerwone plamy. Wyteżył wzrok, tak, to niewątpliwie jeleń i dwie łanie.

I nagle od jednej do drugiej leśnej ściany odbił się i pomknął wśród gór potężny ryk... Jak wytrąbiona na rogu fanfara, głosząca radość zwycięstwa, jak wezwanie rzucone światu: Jestem, żyję! Chcę kochać; wszystko, co widzę, do mnie należy!

Przez żółtą twarz profesora przebiegł rumieniec jak dreszcz, uśmiechnął się!

- Oto krasa życia - szepnął.

A Tomkowi uczyniło się straszno. Za piersi chwycił go szarpiący ból. Tam, w słońcu, grzmią fanfary miłości i wolności, a człowiek, który nauczył go rozumieć mowę ziemi, odchodzi w ciemne, bezmierne otchłanie. Wybiegł z izby, rozepchnął młodzież wartującą za drzwiami i, znalazłszy się na dworze, opadł na ławkę, kryjąc twarz w dłoniach.

Tymczasem przed wieczorem nieoczekiwanie przyjechał

Herman z Marianką. Nikt ich nie witał. Przeszli pusty dziedzi-  
niec. Dopiero w korytarzu natknęli się na Halinkę.

- Państwo do nas? - zapytała cichym głosikiem. Czerwony nosek  
błyszczał mocno w opalonej buzi.

- Tak. Gdzie jest pani gospodyni?

- Ciocia Gabrysia? Zaraz poproszę. Niech państwo wejdą do  
jadalni.

Oddaliła się cichutko na palcach. Herman spojrzał na bladą  
Mariankę.

- Czyśmy się tylko nie spóźnili - szepnął.

W pokoju profesora panowała zupełna cisza. Doktorzy w kącie  
rozmawiali między sobą wzrokiem tylko i wymownymi gestami.  
Tomek siedział na łóżku. Szmer przy drzwiach zwrócił jego  
uwagę, ale i profesor coś dosłyszał.

- Idź, Tomku, jeżeli ktoś do mnie, wpuść.

Ale po chwili chłopak wrócił z dziwnie zmienioną twarzą i  
chwilę szeptał coś z lekarzami.

- Co ty tam knujesz, Tomku, proszę nic nie ukrywać przede  
mną, ja chcę wfedzieć.

- Ojczulku, przyjechał pan Herman. Martyn poruszył się  
gwałtownie.

- Niech wejdzie, prędzej, prędzej.

Gdy ujrzał przyjaciela, roześmiał się chrypliwie.

- Ano! Chwała Bogu. Teraz będę spokojny. Proszę zostawić nas  
samyh.

Po półgodzinnej rozmowie Herman zawołał Mariankę, która  
stała za drzwiami blada i drżąca.

- Wejdź, Manon, nie płacz...

Podeszła do profesora i ująwszy jego ręce, rzekła dźwięcznym  
głosem, hamując wzruszenie.

- Przyjechałam do ciebie, wujku, bardzo jesteś na mnie zły?



- Dobrze zrobiłaś, Manon, jelenie zaczynają ryczeć i w tym roku jest moc grzybów - odparł cicho, ogarniając ją kochającym spojrzeniem zapadłych oczu.

- Zaprowadzisz mnie, wujku, wysoko, wysoko.

- Zaprowadzę, Manon. Gustaw, pamiętaj, com ci powiedział. Jaka jesteś śliczna, Manon. Szkoda, że to już... Ach, dzieci, świat jest piękny! - Zamknął oczy. Powieki zastygły cicho. Profesor nie żył.

Na pogrzeb Martyna zjechało mnóstwo osób. Biały dom zappełnił się tłumem ludzi. Herman i Tomek dzielnie trwali na stanowiskach. Wychowankowie profesora w nawale zajęć nie mieli czasu na rozpacz, ale we wszystkich tych młodych sercach tłuła się trwoga, że śmierć opiekuna jest jednocześnie końcem ich szczęścia. Teraz na pewno pójda w rozsypkę.

Dopiero gdy Martyn spoczął na maleńkiej połonince, gdy goście opuścili dwór, Herman zebrał wszystkich domowników i odczytał im testament profesora, który głosił, że w kolonii absolutnie nic nie może ulec zmianie. Tomek ma prowadzić dalej dzieło ojca, a wychowankowie kolonii traktować go jak swego głównego opiekuna. I to było wszystko.

Teraz dopiero we dworze zawrzało, zwłaszcza że przyjechała komisja śledcza mająca na celu odnalezienie mordercy.

Przypuszczenie, że uczynił to jakiś kłusownik, nie miało racji bytu. Policja szukała, wypytywała, chłopcy snuli tysiączne domysły, ale w końcu ucichło wszystko. Życie, zwłaszcza młode życie, ma swoje prawa. Młodzież wróciła do pracy, Herman, po długiej z Tomkiem rozmowie, odjechał. Marianka została przy ciężko chorej Gabrysi, i tylko jeden Kowalik chodził wciąż ponury jak noc bezgwiezdna, znikał z domu na długie godziny, i nie można zeń było wydobyć, gdzie był i co robił.

Wreszcie Tomek po naradzie z Grudzkim postanowił nie zwracać uwagi na jego dziwne zachowanie.

- Kochał bardzo profesora, może to chwilowa depresja - zaopiniował Grudzki.

- Może być, poczekamy!

Grudzki właśnie, tak jak i Duda, powinien był w tym roku opuścić kolonię, ale jeden i drugi postanowili tutaj zostać.

Grudzki jako wychowawca, Duda jako robotnik.

- Nawet gdy ożenię się z Kazią, zostaniemy tu oboje, wybudujemy domek i będziemy szczęśliwi - mówił student, Duda zaś prosił:

- Jeszcze tylko ten rok, panie Tomku, zbiorę swoje grosze i kupię warsztat stolarski w Skolem, będę mógł do was zaglądać. Tomek, w myśl poleceń opiekuna, nie mógł odmówić. Zresztą, nawet wolał mieć przyjaciół blisko. Tęsknił bardzo do ojca, tylko musiał i tęsknotę, i ból głęboko ukryć w sercu.

Najwięcej czasu poświęcał teraz Janince. Ona była w kolonii stosunkowo niedawno, aje kochała Martyna i boleśnie odczuła jego śmierć. I teraz mówiła:

- Umierałam razem z wujkiem.

Ale życie i młodość mają swoje prawa. Powoli, powoli, obsychały serca z łez i rwały się ku wiosnie.

Kochany, miły Panie Gustawie!

Przepraszam, że nie odpisałam od razu na dobry i troskliwy Pana list, ale całe dni byłam zajęta przy pani Gabrysi. Wstrząs nerwowy, spowodowany śmiercią profesora, zrujnował cały jej organizm. Wygląda okropnie, nic nie chce jeść, a

przy tym co chwila wybucha płaczem. Skąd się bierze tyle łez, zupełnie zrozumieć nie mogę. Przez całe dwa tygodnie, które tu spędziłam, wciąż jestem z nią, bo czuję, że gdyby choć na chwilę zostawić ją samą, odebrałaby sobie życie. Zdaje się, że biedactwo zaczyna mnie lubić i przyznaję, sama staram się o to usilnie. Ach, mój papciu, czy ty sobie wyobrażasz tragedię tej kobiety? Całe życie, wszystkie wysiłki, wszystkie marzenia i sny (która młoda kobieta nie marzy, a ona przecież była kiedyś młoda) rzuciła do stóp profesora, a on przyjął je jak rzecz sobie należną. Był dla niej bardzo dobry, prawda, ale właściwie poświęcił ją swojemu egoizmowi, nie chciał dojrzeć jej serca. O, to musi być okropne, zostać teraz zupełnie z dala od ukochanego człowieka, w bezwzględnej samotności, i nie mieć nawet wspomnień jego kochania. Ja nie umiałam poświęcić Erykowi nic ze swojej duszy. Kochałam i pragnęłam być kochaną tak, jak sobie wymarzyłam, tymczasem... och, mój mandarynie kochany, wazo przepełniona mądrością, i ty dziwiłeś się mojej rozpacz! Wracam do Gabrysi... Wczoraj zmusiłam ją, by opuściła łóżko i poszła ze mną na przechadzkę. Trzymałam ją mocno pod rękę, ledwo powłóczyła nogami. Spotkał nas Tomek. Na widok idącej matki uśmiechnął się tak, jakby ujrzał przed sobą anioła, chcącego podarować mu godność radzy indyjskiego. Zaczął całować pochudłe dłonie Gabrysi i nawet na mnie raczył spojrzeć łaskawiej, bo do tej chwili albo wcale mnie nie widzi, albo patrzy jak na wilka grasującego pośród stada owieczek. I, wie pan, zupełnie mimo woli stanął mi w oczach Eryk. Kiedy przyjechała jego matka, wyszedł z domu, powiedział, że jest „diabelnie nudna”. Na moją biedną mamusię w ogóle nie patrzył, nie pozwolił nawet, by mnie odwiedzała. „Byłaś córką

stróżki, a teraz jesteś żoną literata, a ja nie życzę sobie zbyt serdecznych stosunków między wami", i kiedy mamusia umarła, powiedział „chwała Bogu”.

Ciekawa jestem, czemu Tomek mnie nie lubi. Gdyby nie Gabrysia, już bym się zjawiała w Warszawie, ale nawet wspomnieć o wyjeździe nie mogę.

- Profesor bardzo panią kochał, zawsze o pani wspominał, i mnie jest lżej, gdy na panią patrzę.

A ja nienawidzę Luli, którą lubił Eryk!

Dziś Gabrynia prosiła mnie, by ją zaprowadzić do kuchni. Jak tam czyściutko. Cztery dziewczynki w białych fartuszkach kręcą się z dostojnymi minami. Pomogłam im przygotowywać obiad. Bardzo było przyjemnie.

A kiedy siedzieliśmy wszyscy razem w jadalni, tak się czułam, jak szesnastoletnia dziewczynka w pensjonacie, Po obiedzie ułożyłam Gąbrynię spać i żeby jej nie dać płakać, śpiewałam. A pod okno wlaźła się cała dzieciarnia i nawet ci chłopcy, którzy w tym roku idą na uniwersytet. Jest takich trzech; przed wakacjami zdał matury.

Kiedy Gabrysia usnęła, wyszłam na powietrze. Tu jest cudownie, papciu Gustawie. Powietrze ma taki dziwny, złoto-różowy kolor, a jak patrzeć w górę, to się ma ochotę biegnąć tam, przez gęstwiny, aż na najwyższy szczyt. Czy wie pan, że są tutaj nawet niedźwiedzie, żywe, zupełnie prawdziwe niedźwiedzie? Mówił mi to Felek, taki śmieszny, chudy dryblas, on tutaj gra rolę jakiegoś szambelana dworu, okropnie jest ważny, ale taki miły, że z przyjemnością z nim rozmawiam. No, gdyby to Eryk widział, już sobie mogę narysować jego piękną, szyderczo wykrzywioną twarz, i słyszę: „Och, Maj, jesteś okropna”.

Jestem okropna, tak właśnie, jestem okropna, może teraz

bardziej niż kiedykolwiek, teraz, kiedy moje usta znają smak tysiąca różnych pocałunków. O, kiedy Eryk widział mnie na scenie teatryku, znów jego oczy miały ten blask, co dawniej. Gdyby Gabrysia umiała tak patrzeć, tak się uśmiechać, jak ja teraz, może by zdobyła serce Martyna. A ja teraz spróbuję takiego sportu na Tomku. Zobaczymy!

Kończę list, Gabrysia nie śpi. Trzeba przejrzeć bieliznę z prania i rozdać dziewczynkom do reperacji. Nie śmieję się, papciu, wiesz, to miłe zajęcie.

Twoja Manon

Marianka zakleiła kopertę i pobiegła szukać Felka. Znalazła go przy ulach.

- Panie Felku, proszę mi zanieść list na pocztę. Chciałabym, żeby dziś poszedł.

- Dobrze, proszę panienki.

- A gdzie jest pan Tomek? Felek wykrzywił twarz.

- Gdzie? A pewnie do Oleśki pojechał, ona go tam pociesza; oj, panienko, coś się u nas psuje, niby jest tak na oko jak za życia pana, ale nie ma już tego porządku i składu. Pan Tomek wciąż gania do tej klempy. Żeby choć ciocia Gabrysia była zdrowa. Coś mi się widzi, że to wszystko weźmie w łeb, pan profesor w grobie będzie płakał.

- Tak... No, Feluś, proszę zanieść ten list.

Szurnął nogami i pobiegł, a Marianka wracała zadumana do Gabrysi. Ogarnęła ją złość na Tomka. „Poczciwy synek, nie ma co, już ja mu dam nauczkę”. Bo sama nie wiedziała, - kiedy i jak wsiąknęła w życie kolonii, stała się jej częsteczką. Po drodze zawołała dwie dziewczynki.

- Chodźcie do cioci, będziemy segregować bieliznę.

Spojrzały na nią trochę z ukosa, czemu ta obca pani wydaje rozkazy, ale Marianka, nucąc piosenkę, objęła je przyjacielsko i, uśmiechnięta, zaprowadziła do Gabrysi.

- Widzisz, ciociu, masz aż trzy pomocnice, nie będziesz bardzo zmęczona.

Tomek wrócił bardzo późno, ostrożnie odmykał drzwi korytarza. Nagle wyrosła przed nim postać Marianki.

- Nareszcie, godzina pierwsza... Jak na opiekuna młodzieży, bardzo przykładowy powrót do domu.

- Wypraszam sobie wszystkie uwagi.

- To wcale nie uwagi, to takie luźne spostrzeżenia. Chciałabym z panem pomówić.

- O tej porze?

- Wejdźmy do jadalni - odparła krótko. Szedł za nią milcząc, zdziwiony niezmiernie.

- Proszę, niech pan siada. Chwilę panowała cisza. \

- Chciałam powiedzieć, że postępuje pan nieuczciwie względem ludzi powierzonych pana opiece i wobec pamięci profesora. /

- Ja? Nieuczciwie? Jak to?

- Pan wie najlepiej! Zaniedbuje pan swoje obowiązki, matka nie ma jeszcze siły zastąpić kochanego synka; gdyby mogła, uczyniłaby to, padając na nos ze znużenia. We dworze jest bałagan; rozumie pan, co to jest bałagan? Dzieciaki wałęsają się, bo nie mają zajęcia, bo nie czują na sobie spojrzenia opiekuna. Starsze dziewczęta też nie wiedzą, co robić. Ja tu jestem obca, ja tu się nie wychowałam, a serce mnie boli, że dorobek życia profesora pójdzie do diabła. Pan jest winien ojcu wdzięczność.

- I to pani mówi, pani, która mu przyczyniła tyle bólu?

- Mnie i moje sprawy może pan zostawić w spokoju.
- Z jakiejże więc racji wtrąca się pani do mnie? Czyja nie mam prawa ułożyć sobie życia według mojej woli?

Tupnęła nogą.

- Głupstwa pan plecie. Najpierw się płaci długi, a potem można nawet na uszach chodzić. Jak pan wypuści w świat ostatniego ptaka z tego gniazda, wtedy będzie miał czas myśleć o swoich idiotycznych zachciankach.

- Jak pani do mnie mówi, czy pani oszalała? Pani, wielkoświatowa lalka, która kochanków zmienia zależnie od pory dnia i humoru, która wyśmiewała poglądy i ideały ojca, to jest bezczelność.

- No więc jestem bezczelna, ślicznie, jeszcze jedna zaleta. Po tym oświadczeniu powinnam właściwie zebrać manatki i wyjechać, jednak nie uczynię tego, nie dla pięknych pana oczu, ale dla pana matki, rozumie pan? Jestem teraz jej potrzebna, ona nie ma siły zająć się domem, a widzi dobrze, co się dzieje, i serce jej pęka z bólu. Ona kochała profesora i będzie mu służyć do ostatniego tchnienia. Ja wiem, co to jest kochać, bo i ja kiedyś... - brawurowy dotąd głos Marianki załamał się. - Tak, to wszystko, co chciałam powiedzieć, - a poza tym jutro jest w Stryju jarmark, a Duda zielonego pojęcia nie ma, co będzie wiózł. Radziłabym wstać za godzinę albo w ogóle nie kłaść się spać, tylko zrobić, co do pana należy. Duda i Felek nie śpią.

Dobranoc.

Skinęła głową i wyszła trochę teatralnie. Tomek powiódł za nią szeroko otwartymi oczyma. Potem przesunął dłonią po czole i odetchnął głęboko.

Marianka siedziała na łóżku Gabrysi.

- Niech się ciocia nie maże, zbeształam go od ostatnich, jeśli ma trochę ambicji, to weźmie się w kupę.

- Ach, córuchno, gdybym ja była zdrowa, mój Boże.
- Cioci nic nie jest, to tylko nerwy, nie trzeba im pozwolić hulać zanadto. Jutro od rana weźmiemy się do pracy.
- Bóg mi panią zesłał, a może to mój Alek; o, gdyby on wiedział, jak cierpię.
- Byłby wściekły. Czy my dziś będziemy w ogóle spać, ciociu? Gabrysia spojrzała na jasną twarz młodej kobiety.
- Oj, dziecko, dziecko, nie wiesz, co to jest cierpienie!
- Ja nie wiem? Ha, ha, ha... nie wiem! Całe cztery lata cierpiałam jak wściekły pies, ale teraz gwizdzę na wszystko, wie ciocia, śmieję się i pluję na miłość, mężczyzna zawsze tylko siebie kocha. Oho! Marianka, słodka, słodka Manon nie będzie już nigdy taka głupia, jak była.
- Co też pani plecie, taka młodziutka, nie chcę słuchać.
- Będzie ciocia spała?
- Postaram się.

Już o szastej rano Marianka wyjrzała przez okno. Przy basenach był<sup>uch</sup> i wrzawa, potem gimnastykę prowadził Grudzki. BrakoWało Tomka, Dudy i Felka. Pobiegnęła do kuchni wydać mleko i pieczywo na śniadanie. Kręciła się tu Andzia, która otaczała Mariankę gorącym uwielbieniem.

- Pojechał kto na jarmark, Andziu?
- Tak, panicz Tomek, Duda i Felek. O czwartej wyjechali. Proszę panienki, dziś trzeba dać większe porcje, bo wszyscy oprócz Halinki idą do owsa.

Uplęnęło kilkanaście dni. Gabrysia czuła się coraz lepiej, ale mimo to berło pani domu trzymała właściwie Marianka. Wszędzie zajrzała, wiedziała o wszystkim, wydawała polecenia, odbierała raporty, jakby od najmłodszych lat tutaj się chowała. Dziewczęta zaczęły ją po prostu ubóstwiać. Razem



z Marianką do dworku weszło coś nieokreślonego, jakaś atmosfera, którą potrafi wytworzyć wokół siebie tylko elegancka kobieta. , .

We dworze było jakby jaśniej i przytulniej. Na ścianach pojawiły się kolorowe wycinanki, makatki, szare doniczki zaczęto przystrajać bibułkami. Rozbrzmiewały w krąg wesole, figlarne piosenki. Przy obiedzie i kolacji na stole jeły się ukazywać kwiaty.

Szczęśliwa kolonia nigdy dotychczas nie wiedziała, co to jest ponury nastrój, ale teraz zaczęła rozumieć znaczenie określenia nastrój świąteczny.

Profesor dawał pupilom pracę, wiedzę i uczył kochać naturę, bo z niej, uważał, czerpać należy siłę do życia. Wychowywał ich tak, by byli silni i zdrowi, Gabrynia dbała zawsze o nakarmienie i przyodzianie gromadki.

Oboje zapomnieli jednak, że życie można umilić, wprowadzając w nie trochę piękna, a ta umiejętność leżała w charakterze Marianki, która korzystała z niej teraz w całej pełni. Odkąd zjawiała się we dworze, zawsze starannie ubrana i uczesana, młodzież jeła dbać o swój wygląd zewnętrzny i sprawiało im to przyjemność. Pewnego rodzaju surowość panująca za życia profesora zniknęła gdzieś bezpowrotnie.

Tomek widział zmiany zachodzące w kolonii i sam zaczął jakoś lżej oddychać, jakby mu ktoś zdjął z serca kamień, gniotący go od dnia śmierci profesora. Po prostu zaczął mniej odczuwać jarzmo ciężącej na nim odpowiedzialności. Mimo to trzymał się wciąż od Marianki z daleka. Rozmawiali tylko w obecności Gabrysi czy Grudzkiego, i to zawsze na temat interesów.

Kiedy z daleka czasem obserwował śliczną, smukłą sylwetkę Marianki, budziła się w jego dwudziestośmioletniej duszy

dziwna tęsknota, której określić nie potrafił. Wtedy wsiadał na konia i gnał do Olesi, w gwałtownych pieścizotach i pocałunkach zapominając o chwili słabości. Marianka zaś dziwiła się samej sobie, czemu tak gwałtownie opanowuje ją chęć pokonania tego dziwnego człowieka.

Któregoś dnia Felek powiedział Gabrysi, że Tomek wrócił od Olesi zawiany. Gabrynia oczywiście wypłakała swój żal w ramionach Marianki. Przy najbliższej sposobności sam na sam z Tomkiem Marianka rzekła niby od niechcienia:

- No, już niedługo pozbędzie się pan „miłej” sublokatorki.
- Dlaczego?
- W połowie października muszę być w Warszawie.
- Wraca pani na scenę?
- Tak!
- Szkoda!
- Pan żałuje? Czy jestem panu potrzebna?
- Mnie chyba nie, ale mojej matce i dzieciom.
- Obejdą się bez towarzystwa słodkiej Manon. Przywykną do mojej nieobecności, tak jak przywykli do obecności. Sercami ludzi wciąż chwieją różne wiatry.
- Tak... a poza tym chciałbym... to jest ojciec chciał, bym pani pokazał urodę gór.
- Och... tak jak on to pięknie uczynił w listach do mnie, nie potrafi już nikt na świecie. Profesor mnie kochał...
- Mógłbym panią zaprowadzić na rykowisko, już się kończy.
- Wątpię, czy pan znajdzie czas. Pani Olesia będzie tęsknić. Zaczerwienił się.
- To już moja rzecz. Chce pani iść?
- Owszem.

- W takim razie pójdziemy jutro raniutko.

A kiedy został sam, pomyślał z trwogą, co będzie, gdy Marianka odjedzie.

Świt ponarzucał białe, wilgotne płachty na góry. Wyglądało to tak, jakby kłęby obłoków spadły na ziemię. Dwór, pogrążony w ciszy, opuściło dwoje ludzi.

Przechodzili przez młody las pnący się po zboczu, było tu prawie ciemno, a poruszone gałęzie osypywały obficie srebrne kropelki na schylone głowy idących.

- Oj, mokro - roześmiała się Marianka.

- Ja często tak moknę i, widzi pani, nawet kataru nie mam.

- Phi, śmieszne byłoby, gdyby taki człowiek z lasu kichał.

Schodzili już teraz na dół małą łączką, na której lśniły liczne kałuże.

- Przemoczy sobie pani nogi.

- Trudno, żeby tu wiedzieli, że po tych wertepach będzie chodzić Marianka z „Wesołego Teatrzyku”, przypuszczam, że zbudowałiby co najmniej asfaltowy gościniec. Daleko jeszcze?

- Ze cztery kilometry.

- I ciągle po takich mokradłach?

- Nie, teraz pójdziemy pod górę.

- Ależ ja nie wyliżę tam, stromo i ślisko.

- Czy mam panią dźwigać?

- O nie, bez łaski!

- Proszę za mną wobec tego.

Wąską, błotnistą ścieżynką pieli się pod górę. Mariankę już porządnie bolały nogi, ale było jej tak radośnie, tak się wspaniale czuła, taką rozkosz sprawiało kobiecie pokonywanie trudności, że zaczęła śpiewać. Tomek odwrócił się.

- Niechże pani przestanie, jeleń ma doskonały słuch.

Umilkła, ale nie zepsuło jej to humoru, wyobrażała sobie, że jest poszukiwaczką złota i musi brnąć przez jakieś dzikie góry i lasy nie tknięte ludzką stopą, to znów brała udział w naukowej wyprawie odkrywającej nowe tereny, i tak się świetnie bawiła tymi myślami, że raz i drugi zaśmiała się półgłosem, Tomek znów odwrócił głowę.

- Co panią wprawia w ten podziwu godny humor?

- Zawsze jestem w humorze.

- O ile sobie przypominam nasze spotkanie dwa lata temu, nie była pani zbyt wesoło usposobiona.

- Och, wiele się od tego czasu zmieniło. Szli milcząc dalej.

- A teraz przejdziemy brzegiem lasu na połoninę, tylko proszę o zachowanie ciszy, ostrożnie, żeby nie trzaskały gałęzie.

Tymczasem szarość jęła nabierać rumieńców... Niebo z popielatobłękitnego zmieniało się powoli w czystą, bezchmurną tafłę błękitu.

- Słońce wschodzi - szepnął Tomek.

Marianka milczała, serce jej biło gwałtownie. Na ciemny las, na większe i mniejsze zarośla szła nie wiadomo skąd fala bladżółtego światła. Niebo było wciąż spokojne, błękitne, tylko gdzieś gdzieś pojawiła się na nim jakby różowa, to żółta piana. Mokre od] rosy gałęzie drzew jęły lśnić blaskiem szmaragdów. Nagle Tomek chwycił dłoń Marianki i szepnął skroś zaciśnięte zęby.

- Są! Tam, na prawo!

Spojrzała. Ciało jej przebiegł dreszcz zachwyty. W jasnej smudze światła, tuż na skraju polany, stał wspaniały jeleni.

Pyszną, ukoronowaną rogami głowę podniósł lekko w górę jakby nasłuchiwał, szeroką piersią zwrócony był w stronę Ma-

rianki. Jego czerwonobrazowe, jak z kamienia wykute ciało, rysowało się wspaniale na tle nieba i szmaragdowej ściany zieleni. Stał wciąż bez ruchu. Dostojny, królewski, jak duch lasu. Żywa tajemnica ciemnych gęstw. Spoza niewielkiego kopca siana wysunęły się jedna za drugą trzy łanie. Marianka zacisnęła paluszki na ramieniu Tomka.

- To jest cudne, cudne!

A jeleń postąpił krok naprzód, podniósł głowę wyżej i ryknął przejmująco, donośnie. Zanim ten zew połknęła dal, już gdzieś z głębi lasu odpowiedział mu drugi, potężny głos.

Marianka drżała, jej półuchylone usta i szeroko rozwarte oczy miały wyraz takiego zachwytu i szczęścia, że Tomek wzruszył się. Uśmiechnięty, pogładził jej dłoń i zapytał cicho:

- Ładnie?

- Ach!

Słońce rozkwitło nad szczytami jak żółta chryzantema. Nagle jedna z łań poruszyła się niespokojnie, zwróciła zgrabną główkę w stronę ukrytych za drzewem ludzi i nagle, w przedziwnie zwinnych susach, zginęła wśród drzew. Jeleń poruszył się także, ale odszedł zupełnie spokojnie.

Marianka wstrzymywała oddech. Zgięci niemal we dwoje sunęli brzegiem bardzo gęstego lasu.

- Tu się zatrzymamy i będziemy czekać.

Marianka powiodła oczami dokoła. Wszędzie, gdzie zatrzymała wzrok, były ciemne ściany lasu, w krąg, w krąg. We mgłach poranku zieleń wpadała w szary odcień i tylko poło-ninka jaśniała niby szmaragdowe, sfalowane jeziorko.

Marianka wybuchnęła:

- Och, panie Tomku, bardzo, bardzo dziękuję. Tego dnia nigdy nie zapomnę.

- Ja także!

- Pan?! Przecież pan często widuje takie obrazki.
  - Tak, ale dziś zobaczyłem panią, zobaczyłem taką, jaką kochał mój ojciec.
  - Jestem zawsze jednakowa, tylko oczywiście pan nie zwraca na mnie uwagi.
  - Uwagi? Nie mam tylko zwyczaju grać roli błaznującego trubadura. Zresztą, przyznaję, że czułem do pani antypatię. Nie znoszę aktorek, a w równej mierze lwic salonowych.
  - Dziękuję!
  - Za co?
  - Za szczerość, ale muszę panu powiedzieć, że pan jest okropnie niesprawiedliwy i powierzchowny.
  - Być może.
  - Nie może, tylko tak jest na pewno, a teraz idziemy do domu. W połowie drogi Marianka spytała z uśmiechem:
    - Gdzie mnie pan jutro zaprowadzi?
    - Do schroniska - odparł bez namysłu. Wyciągnęła do niego rękę bardzo serdecznym ruchem.
    - O, dziękuję.
- Przycisnął do ust małą, białą rączkę. Chwilę popatrzyli na siebie i jednocześnie rumieniec oblał dwie twarze.
- Kiedy znaleźli się w domu, było już po śniadaniu, ale Gabrynia powitała ich radosnym uśmiechem.
- Ładny był spacer?
  - Cudowny, ciociu. Pan Tomek wcale nie jest taki groźny, na jakiego wygląda, i myślę, że odtąd będziemy przyjaciółmi!
- Gabrynia klasnęła w ręce.
- Nie, naprawdę, pani jest za dobra, Tomek, podziękuj, rączki ucałuj temu naszemu słoneczku.
- I drugi raz tego dnia Tomek pochylił głowę nad białymi

dłońmi Marianki i nie mógł zaprzeczyć, że sprawiało mu to przyjemność. Nieznacznie wodził oczami za jej zręczną, dziewczęcą postacią, kiedy krążyła po dziedzińcu i ogrodzie, ruchy jej były miękkie i taneczne. Wśród tych wszystkich ludzi pracy ona reprezentowała piękno i harmonię i Tomek myślał, że właśnie tego było mu dotychczas brak.

Nazajutrz projektowany spacer musieli odłożyć, padał silny deszcz; mieszkańcy dworu krzatali się koło domu, roboty zawsze było dosyć. A to szorowanie podłóg, a to znów przygotowywanie konserw i marynat, które Tomek wysyłał do Lwowa, kiszenie ogórków i kapusty, szycie i reperowanie, robiło się także płótno. Dwór w deszczowe dni robił wrażenie fabryki i Marianka czuła się nad podziw dobrze w owym ruchu i gwarze.

Po kolacji podeszła do Tomka.

- Panie dyrektorze, jeżeli się pan nigdzie nie wybiera, to może sobie porozmawiamy?

- Chętnie. Ale o czym może rozmawiać piękna, światowa kobieta z takim prostakiem?

- Może sobie znajdziemy jakiś interesujący temat. Chciałabym na przykład wiedzieć, czy pan jest szczęśliwy?

- O, nie lubię poruszać moich ściśle osobistych spraw.

- Boja mam wrażenie - ciągnęła Marianka, pomijając jego odpowiedź - że pan nosi w sercu chmurę.

Spojrzał badawczo w jej lśniące oczy.

- Może i tak jest - odparł. - Ot, po prostu, duszę się tutaj, nie znoszę tego zawodu, który narzucił mi profesor, chcę być wolny, pani to rozumie? Jestem zdrowy, silny, kocham las i samotność. A muszę opiekować się całą gromadką ludzi i wychowywać ich, wy-cho-wy-wać. Póki żył ojciec, nie odczuwałem tego ciężaru. Teraz... Widzi pani, oni wszyscy

pójdą sobie w świat, ja jestem przywiązany jak pies, nie mogę stworzyć własnej rodziny, własnego domu, bo ten wspólny dom mam na głowie. A zresztą... pani wie, że nie mam nazwiska? Za życia profesora, dzięki jego sławie i stosunkom, nikt nie dochodził mojego pochodzenia. Nazywałem się Królkowski, bo tak nazywa się moja matka, ale teraz, gdybym rzucił tu wszystko, wyobraża sobie pani, jak szarpaliby i mnie, i moją matkę, jak dochodziliby i badali? Profesor poświęcił moją wolę swej idei. Kochał mnie, prawda, ale jednocześnie odebrał mi moje „ja”, a teraz dopiero, gdy odszedł i zostawił mnie samego, otwieram oczy na swoją niedolę - nagle uderzył pięścią w stół. - Nie chcę być tutaj całe życie, chcę budować i tworzyć sam. Marianka impulsywnym ruchem wyciągnęła doń obie ręce.

- Ma pan we mnie oddaną, serdeczną przyjaciółkę, proszę o tym zawsze, zawsze pamiętać. Ilekroć jest panu ciężko, proszę nie zamykać się w sobie...
- O, pani jest naprawdę dobra, nigdy nie przypuszczałem...
- A więc: nos do góry, jakoś to będzie, panie Tomku. Życie samo przyniesie rozwiązanie, czekajmy.
- Czy wolno spytać, na jakie rozwiązanie pani czeka?
- Ja? Czekam na miłość. Jedna już umarła, ale przedtem z radosnej, niewinnej dziewczyny uczyniła... no, co tu dużo gadać: kokotę... Chciałabym zapomnieć o tych dwóch okropnych latach, ale przychodzi mi to z trudnością. Jestem stworzona do miłości, wiem, czuję... Chciałam mieć swój cichy dom i kwitnąć w nim jak róża dla kogoś i mieć dzieci... a tymczasem... Nie wiem, czy znajdę człowieka, któremu odważę się poświęcić swoją wolność, który ją uszanuje - roześmiała



się nagle. - No, nie róbmy tragicznego filmu, trzeba iść spać. Dobranoc, mały. Rację miał profesor: wszystko, co czynimy wbrew naturze, mści się!

- Dobranoc pani, moja mała pocieszycielko.

- Czy nie za dużo razy ucałował pan moje rączki w ostatnich dniach?

- Myślę, że trzeba było zacząć dawniej.

I gdy znowu popatrzyli na siebie, twarz Marianki spąsowiała, Tomek zaś szepnął cicho:

- Niech pani nie odjeżdża!

A Marianka pobiegła do sypialni dziewcząt i gorąco ucałowała Jankę.

Mój kochany, „stary przyjacielu”!

Co to znowu za głupie dowcipy... Ja miałabym ciebie zapomnieć dlatego, żeś „stary”? Brednie! Ty będziesz zawsze młody, mój papciu, bo się nigdy nie wściekasz, nigdy nie jesteś ordynarny i tak doskonale rozumiesz młodość. Dlaczego nie przyjechałam? Och, papciu, chodzę na takie cudowne spacerzy. Daleko, daleko, świat cały leży u moich stóp, jest maleńki i cichy. Spomiędzy zielonych świerków strzelają buki, brzozy i klony jak ognistokolorowe fajerwerki. Nie potrzebuję uśmiechać się do tych, którymi pogardzam, którzy za swoje pieniądze chcą widzieć moje zgrabne, półnagie ciało. Ja darmo mam takie wspaniałe widoki, niebo nad głową, u ramion skrzydła wiatru. Widzę, jak zasypiają wonne macierzanki, dzwonki, rumianki ukołysane monotonnym poszumem jesieni, i widzę spojrzenia ludzi, którzy kochają mnie taką, jaka jestem.

Starsi chłopcy, wiesz, ci maturzyści, pojechali do Lwowa, obaj na politechnikę. Zaczęło się kopanie kartofli, segregowa

nie jarzyn. Jestem w swoim żywiole. Śnię, że to mój dom, że dla siebie i swoich dzieci pracuję. Dobrze mi.

Piszesz, że Eryk dopytuje się o mnie. Teraz? Czy nie za późno przypadkiem? Wolał, gdy jego była żona zbierała laury na scenie, oczywiście, aleja mam dość tego psiego życia. Poza tym znalazłam przyjaciela, jesteśmy w doskonałej zgodzie. Boże, gdzie on mnie nie prowadzi...

Czy znasz, papciu, rozkosz takiej wędrówki w nieznane? Przedzieramy się przez najgęstsze zarośla, włączymy przez niedostępne zbocza na szczyty i patrzymy sobie w krąg i w dół, i pojmujemy, jaki szczęśliwy jest orzeł.

I słowo daję, ubywa mi lat, dziecinnieję. Na każdym z takich spacerów razem z Tomkiem wymyślamy coraz to nowe zabawy. Wczoraj na przykład byliśmy Czerwonoskórymi. Młodszy chłopcy i dziewczynki zwagarowali ze szkoły (ja ich do tego namówiłam, *mea culpa*) i obozowali w schronisku, my z Tomkiem mieliśmy zdobyć ich wigwam. Papciu, przyjeźdź, zostaniesz naszym wodzem. A teraz Marianka opowie ci, jak o mały włos nie dostała w skórę od Tomka i pana Grudzkiego. Tutejsza młodzież nauczyła mnie „polowania z aparatem”. A propos polowania. Czy wyobrażasz sobie, kochany, coś bardziej potwornego, jak polowanie na jelenie podczas rykowiska? Takie wspaniałe zwierzę, wolny syn przestrzeni, stworzenie, które nie krzywdzi nikogo, jest całe krzykiem piękna. Och, czyś widział kiedy, z jakim królewskim majestatem ogarnia mądrymi oczami przestrzeń, która pozornie leży mu u stóp?

A kiedy przyjdzie czas, że pragnie kochać i tworzyć nowe, sobie podobne młodziutki i piękne życie, wtedy przychodzi człowiek - złodziej i morderca. Kres! Koniec w najpięk-, niejszej chwili istnienia.

Ten sam człowiek więzi w ciasnych klatkach setki innych zwierząt i przygląda się im z podziwem i zachwytem. Ten sam człowiek sprowadza skrzyniami egzotyczne owoce dla egzotycznych zwierząt za bajeczne sumy, a setki dzieci nie znają smaku mleka. Ironia!

Ale wracam do mego polowania. Wzięłam aparat, kij w łapę i poszłam, oczywiście sama. Wszyscy byli zajęci. Tomek w mieście na jarmarku. Lazłam przed siebie gęstym lasem wciąż pod górę. Nawet nie wiem, jak się ta miła górka nazywała.

Dokoła mnie ciągle coś trzeszczało i ruszało się w krzakach (przynajmniej tak mi się zdawało). Stromo, aż strach. Trawa i paprocie do kolan, pełno gałęzi i spróchniałych drzew pod stopami. Leżę i leżę, jest mi trochę gorąco i w ogóle nie mam pojęcia, gdzie się znajduję. Przede mną ciemno, gęsto i coraz wyżej, za mną ciemno, gęsto i dół, ładna historia!

Tymczasem słyszę, jakby ktoś z boku mlaskał językiem...

Niedobrze mi się zrobiło, przysiadłam na jakiejś spróchniałej kłodzie, ale nim zdążyłam spojrzeć w stronę, gdzie furt<sup>3</sup> coś mlaskało, kłoda pode mną drgnęła, trzasnęła i... pani Manon, wraz z resztkami zbutwiałego drzewa, poleciała w dół. Zatrzymało mnie jakieś litościwe krzaczysko, a z drugiej strony w głąb lasu uciekał dzik jakby go cała sfora psów goniła.

Zanim wstałam i uporządkowałam trochę ubranie, zaczął padać deszcz (musowo, w Smorzu jarmark - bez deszczu ani rusz, to przecież tradycyjne...). Wypadało wracać, tylko właśnie ani rusz zejść nie mogłam. Stromo, ślisko, nogi się obsuwają, lecą kamienie i patyki, rozpacz! A tu leje coraz więcej, a tu ciemno jak w żołądku u Murzyna po czarnej kawie w nocy.

Papciu! Jak zlazłam, nie wiem, w każdym razie zlazłam,

---

<sup>3</sup>furt (gw.) - ciągle; wciąż, stale.

tylko w tym sęk, że nie wiedziałam, gdzie jestem. Jakiś Hucuł objaśnił mnie, że to jest Hrebenów.

Przyszłam do domu o godzinie ósmej wieczorem. Tomek i Grudzki szykowali właśnie wyprawę ratowniczą, a kiedy mnie zobaczyli... A! Szkoda gadać. Dowiedziałam się, że jestem wariatka, że nie mam serca, że właściwie powinnam dostać lanie itp. Słowo daję, papciu, dawno już nie przeżyłam równie rozkosznej chwili.

Jeżeli się kiedykolwiek zakocham, to tylko w Tomku! On jest prawdziwym mężczyzną. Żebyś wiedział, jak go tu kochają i szanują w kolonii, jak on umie rozkazywać mimo swego młodego wieku. Ma dopiero trzydzieści lat. Ach, tak samo kocha wolność, jak Twoja Manon! Przy tym nie jest wcale zarozumiały i kocha matkę. Byłby bardzo dobrym ojcem, jego stosunek do młodszych naszych pupilów zachwyca mnie. Ja najwięcej kocham małąmówną Janinkę.

Gdybyś zobaczył Eryka, powiedz mu, że jestem kochanką pewnego pięknego chłopca. To mu zaimponuje. Całuję cię serdecznie.

Twoja Manon

PS. Papciu! Eryk nigdy nie był prawdziwym dżentelmenem, teraz to rozumiem. Tomek, to mi dopiero typ. Oj, papciu, coś mi z sercem „niekuniecznie”, ten Tomek... ten Tomek... Ale ja nie chcę już kochać.

## ROZDZIAŁ VII

Mieszkańcy Martynówki przeżyli kilka niezwykłych chwil. Zaczęło się od tego, że Jurek przyszedł któregoś dnia po obiedzie z lasu i powiedział:

- Znowu cały wielki kawał owsa za zrębem koło potoku jest zjedzony. Jeżeli tak dalej pójdzie, to niewiele zbierzemy. Kto na ochotnika pójdzie ze mną w nocy wystraszyć misia?

Ale ochotnikami byli wszyscy chłopcy. Tomek więc rozstrzygnął sprawę:

- Pójdą najstarsi, a więc Duda, Kowalik, Jurek, Kazik i ja.

Każdy z chłopców uzbrojony w kij i kawałek blachy ruszał w drogę z przekonaniem, że będzie to niezwykła wyprawa.

A tymczasem w gęstwinie leśnej, wysoko, wysoko pośród całej masy zwalonych, spróchniałych drzew i gałęzi, w kłębowisku krzewów, traw i kamieni siedział sobie, jak król posepnego zamczyska, duży bury miś.

Nie było dlań trudnej drogi do przebycia. Potężną piersią rozdzierał splątane gąszcza i szukał pożywienia jak każde

żyjące stworzenie. Chciał istnieć, bo to mu sprawiało przyjemność. Lubił wędrować po ciemnych korytarzach lasu, w którym tak miło pachniał cień i mech. Lubił łamać młode drzewka, zastępujące mu drogę, i w cichy wieczór lub noc łapać promienie księżyca, rozsypane gdzieś jak małe i większe srebrne żuczki. Lubił też wyjść w słoneczny blask na połoninę i chwytać nozdrzami wiatr, w którym rozróżniał wiele zapachów. Jedne z nich lubił, inne nie; trudno, każdy nos ma swoje sympatie i antypatie.

Aż raz droga wypadła mu tuż przy skraju lasu, pomiędzy drzewami przebłyskiwała złotawa płaszczyzna, którą lekko kołysał wiatr. Dokoła panowała cisza. Księżyc patrzył przez duże, sine okulary chmur, w powietrzu nic nie pachniało groźnie. Miś wyszedł z lasu i zakosztował owsa. Przypadł mu do smaku, o i to bardzo nawet, więc zjawiał się coraz częściej. Wycieczka z Mąrtynówki cicho przysiadła wśród owsa, rozproszona na cztery strony. Słońce dawno już zaszło, a kłosa ze złotoszarych zmieniły się brunatne, potem takie jak ziemia, potem zupełnie wsiąkły w barwę nocy, i tylko ich wilgotne łodygi, kołysane wiatrem, mówiły chłopcom, że istnieje przecież cały łąn.

Śród ciszy wyraźnie dobiegł do nastawionych czujnie uszu chłopców trzask gałązek. Serca zaczęły bić gwałtowniej. Z której też strony zajdzie? Kto pierwszy podniesie alarm? Ale w mroku trudno było dojrzeć ciemną masę poruszającą się leniwie. Jurek leżał na wschodniej stronie pola, blisko brzegu, na odległość wyciągniętej ręki, z tej strony pole oddzielone było od lasu tylko wąziutką ścieżynką, ale owies rósł nie naruszony. I znów usłyszał trzask gałązek, ale wydało mu się, że tam, na prawo, gdzie czatuje Tomek. Podniósł głowę, wiatr szumiał

między gałęziami i jakiś ptak skrzeknął żałośnie. Z wolna wyprostował ręce i nogi, bo mu zdętwiały, zrobił krok naprzód, gdy nagle od tyłu poczuł czyjaś obecność... skoczył w bok, i utknął nosem w cuchnące, grube kudły. Wrzasnął niehumanym głosem... Biegł po omacku przed siebie i krzyczał...

Ze wszystkich stron teraz zadźwięczały donośnie przeraźliwie blachy, uderzane pałkami, z dwóch stron zabłyśły latarki elektryczne. Miś gnał drogą w dół. Chłopcy dostrzegli go właśnie, gdy chmura spłynęła z księżyca. Zniknął w lesie, a dziki wrzask gonił za nim jak rozwścieczony kundel.

I już więcej owsa nie próbował król gór. Kilka dni wysapywał swoją wściekłość, rozbijając kłody na drobne drzazgi, ale potem... zapomniał.

I tylko długo, długo we dworze śmiano się z Jurka, że jechał na niedźwiedziu.

## ROZDZIAŁ VIII

Spadły śniegi. Maleńki kącik świata, w którym przebywała Marianka, zamienił się w biały, zaczarowany pałac snów. Na srebrne szczyty i połoniny w słoneczne dni lub księżycowe noce przychodziły ludzkie marzenia i tęsknoty, a ująwszy się za ręce, płały po miękkim kobiercu. Młodzież kolonii dużo przebywała na świeżym powietrzu, zajęcia domowe nie zabierały im tyle czasu, co w lecie. Narty stały się ulubioną rozrywką młodszych i starszych.

Tomek uczył gorliwie tej sztuki Mariankę. Sam nie wiedział, kiedy w jego duszy zaszła dziwna przemiana. Zupełnie przestał odczuwać ciężar swego stanowiska. Było mu dobrze i radośnie. Kiedy rano słyszał śpiew Marianki lub jej wesoły głos wydający polecenia, uśmiechał się; oto znowu wstał dzień, będą razem pracować, razem myśleć, razem pokonywać białe przestrzenie... razem!

Wydawało się Tomkowi, że Marianka jest małą, maleńką Manon, o którą trzeba dbać jak o Halinkę lub inne dzieci na



kolonii. Gabrysia kiedyś, patrząc na Mariankę, powiedziała:  
- Marianka jest słoneczkiem naszego domu.

Nie mógł przeczyć. Manon pierwsza zajrzała do jego duszy i w drobne ręce wzięła bolesną tajemnicę, Manon przekonała go, że jest młody, że może, nie tracąc powagi opiekuna młodzieży, śmiać się i figlować jak dzieciak. Z trzepotliwym śmiechem zdmuchnęła mu serca troskę o przyszłość i pokazała piękno chwili obecnej.

Nie jeździł teraz do Olesi, bał się ironicznego uśmiechu Marianki, a poza tym, nie czuł już rozkoszy w ramionach dawnej kochanki. Wiedział, że nie jest jedynym, ale przedtem nie dbał o to, teraz budził się w nim wstręt. Wolał patrzeć na uroczą Manon, wolał żartować i dokazywać w gronie swoich, wolał brać udział w przedstawieniach, jakie urządzała Marianka dla wiejskich dzieci, które z nauczycielstwem tłumnie odwiedzały kolonię. Teraz znowu wszyscy koloniści gorączkowo pracowali nad urządzeniem Gwiazdki.

Czasem, gdy znalazł się z Marianką sam i spoglądał w jej wesołe oczy, doznawał uczucia nieokreślonego lęku. Serce w skurczu podchodziło do gardła i tamowało oddech. Marianka znała te symptomy choroby sercowej, ale w pamięci niby cierń bolesny tkwiło jej wspomnienie Eryka i wielu innych, którzy mówili o miłości. Więc choć nieraz cała jej natura gotowa była oddać się nowemu kochaniu, czekała... jeszcze czekała na chwilę, która spadnie w jej serce niby błyskawica...

Pewnego grudniowego dnia, kiedy cała zaśnieżona dolina lśniła w słońcu jak wielki brylant, przed dwór zajechało eleganckie auto. Wysiadł z niego wysoki, przystojny mężczyzna.

Mieszkańcy kolonii zasiedli właśnie do obiadu i na dziedzińcu nie było żywej duszy, ale Felek, wyjrzawszy przez okno, rzekł do Tomka:

- Oho! Znowu jakiś delegat albo ciekawski przyjechał oglądać kolonię.

Marianka spojrzała i zbladła jak płótno. Eryk! Tomek nie dostrzegł jej zmieszania, bo wyszedł właśnie przed ganek.

- Jestem kierownikiem kolonii, czym mogę panu służyć?

- Bardzo mi przyjemnie. Jestem Wilde. Czy tu mieszka pani Marianka Wilde?

Tomek uczył chłód na całym ciele, zacisnął dłonie.

- Owszem. Może pan pozwoli do kancelarii. Poproszę panią.

Szli szerokim korytarzem. Eryk rozglądał się ciekawie. Spoza bocznych drzwi dolatywał wesoły, zmieszany gwar. Nim weszli do kancelarii, drzwi te stuknęły lekko. Marianka szła w stronę mężczyzn. Jednocześnie weszli do pokoju.

- No, Maj, ale sobie wybrałaś odludzie - rzekł swobodnie Eryk, całując ją w rękę.

Tomek stał w drzwiach nieporuszony. Marianka uśmiechnęła się lekko.

- I na takie odludzie fatygował się pan, by mnie zobaczyć? - Nie tylko zobaczyć, chciałbym pomówić z tobą bez świadków - tu zwrócił się z uprzejmym uśmiechem w stronę Tomka. - Pan daruje, ale nie widziałem żony tyle czasu...

Tomek mrugnął nerwowo powiekami kilkakrotnie i otworzył drzwi, ale Marianka zawołała:

- Proszę zostać, panie Tomku, nie ma nic między nami, to jest mną a panem Wilde, co by wymagało tajemnicy.

- Ach tak! Nie pozostaje mi nic innego, jak ulec żądaniu kobiety, wątpię tylko, czy pana zabawi taka intymna rozmowa.

- Jest mi to najzupełniej obojętne, zostaję, bo pani Mariance widać na tym zależy.

- Po co pan przyjechał? - rzuciła krótko Marianka.
- Po ciebie, Maj. Chciałbym utopić w morzu niepamięci wszystko, co między nami zaszło. Byłaś moją żoną i chcę, byś nią była nadal. Może cię skrzywdziłem nieraz... trudno... zmieniłaś się bardzo na korzyść. Widywałem cię, słyszałem o tobie dużo przez te dwa lata i doszedłem do przekonania, że kocham cię, słyszysz, Maj? A zresztą, wyobraź sobie, że dyrektor „Wesołego Teatryku” ogromnie żałuje, żeś mu uciekła. Zapowiadałaś się na prawdziwą gwiazdę. Słuchaj, malutka, wróć do Warszawy, zaczniemy nowe życie.
- Ogromnie żałuję, że pan odbył taką długą i uciążliwą podróż, ale nie mam najmniejszej ochoty wracać w pana kochające ramiona, jest mi tu zupełnie dobrze.
- Jakże... tu... w tej dziurze, w tym dobrotczynnym zakładzie? Ty, Maj, pełna temperamentu... Nie, nigdy w to nie uwierzę, uważam ten gest za dyplomatyczny manewr.
- Nigdy nie byłam dyplomatką, pan wie najlepiej, jestem tylko szczerą. Zostaję, bo jest mi tu dobrze i nie ma o czym mówić.
- Maj, nie bądź głuptaskiem, nie drażnij mnie, wezmę cię stąd przemocą.
- O, za pozwoleniem! Nigdy bym na to nie pozwolił. Pani Marianka jest pod opieką mojej matki i moją.
- Ach tak, tu leży pies pogrzebany... Nowy przyjaciel -zaśmiał się Wilde.
- No właśnie, odgadł pan, nie widzę wobec tego celu dalszej rozmowy - rzekła Marianka spokojnie.
- Maj, nie wyjadę stąd bez ciebie, zawsze przeprowadzam to, co zamierzam. Słodka sielanka w górach dobiegła końca, nie pozwolę ci zmarnować talentu i młodości, powtarzam, kocham cię!

Marianka spokojnie przenosiła wzrok z twarzy Eryka na płonące rysy Tomka, wreszcie rzekła swobodnie:

- Panie Tomku, pan nie ma nic do powiedzenia?

- Owszem! Pani tu zostanie z nami!

- A to z jakiej racji, czy sielanka zaszła tak daleko, że pan posiada prawa do mojej żony?

- Pani Marianka nie jest już pana żoną. Pyta pan o prawa? Żaden uczciwy człowiek nie pozwoliłby jej rzucić się w ramiona złodzieja.

- Czy pan oszalał, cóż to za obelgi, pan mi za to odpowie!

- Owszem, odpowiem: „do widzenia panu”. Pani Marianka chyba dość jasno wyraziła swoją decyzję. Nie chce się sprzedawać tłumowi, nie chce ofiarowywać swej młodości panu, bo pan tego nie uszanuje. Gdyby nawet była żoną pana, nie ma takiego prawa, które by ją zmusiło wracać pod dach, gdzie obdarto ją ze złudzeń i handlowano moralnie jej wdziękami. Pan chciał ją nagiąć do swego sposobu życia, a gdy mu się to nie powiodło, zostawił na pastwę ludzkich języków. Teraz, gdy jest szczęśliwa, znowu ją pan napastuje. Jeśli pan chce zdążyć na pociąg, to radziłbym się spieszyć.

Wilde, który przez cały czas przemowy stał, gniotąc papierosa, rzucił go teraz na ziemię i skłonił się ironicznie.

- Wobec tego żegnam państwa, ale nie powiedziałem ostatniego słowa. Kiedy pani Manon sprzykrzy się romantyczny kochanek, wtedy zobaczymy...

Zawarczał motor, auto rozpląnęło się w olśniewająco białym strumieniu drogi, a Tomek i Marianka stali wciąż jeszcze naprzeciw siebie i nie mogli znaleźć żadnego słowa. Dopiero kiedy Marianka uśmiechnęła się i twarz jej opłynęła różowością, Tomek zapytał:

- Czemu pani mnie tu zatrzymała?

- Tak sobie. Chciałam widzieć was obu razem -podeszła blisko i obiema dłońmi pogłaskała twarz Tomka.

- Jest pan naprawdę kochany chłopiec.

I wtedy nie wytrzymał, objął uśmiechniętą, choć pobladłą kobietę, i pocałował mocno w usta. Wyrwała się i uciekła...

Uciekła, choć słyszała, jak wołał za nią drżącym głosem:

- Manon!

Od tego dnia unikała każdego sam na sam z chłopcem, choć nie zmieniała ani na jotę swego postępowania i usposobienia. Tomek jednak teraz naprawdę chodził jak pijany. Wiedział już, że kocha Mariankę ponad życie własne, że gotów jej oddać ostatnią kropelkę krwi. Niech będzie jaką chce, niech się z niego śmieje, on ją miłuje... miłuje... miłuje i jeśli jej tego nie opowie, udusi się.

Tylko właśnie absolutnie żadnej sposobności nie było, by mogli porozmawiać w cztery oczy. I dopiero po świętach Bożego Narodzenia odważył się na ryzykowny krok. Wieczorem, gdy cisza zaległa dwór, wszedł do pokoju matki. Obie robiły jakieś gospodarskie rachunki. Pocałował Gabrynię w rękę i rzekł tonem pełnym gorącej prośby:

- Matusiu, chciałbym chwilę porozmawiać z panią Manon, czy możesz zajrzeć do dzieci?

Marianka spłonęła i siedziała bez ruchu. Gabrysia chrząknęła i wyszła bez słowa.

- Jak pan mógł zrobić coś podobnego?

- Musiałem. Pani mi stale ucieka - przykląkł u jej nóg - a ja muszę powiedzieć, że kocham panią jak jeszcze nigdy nikogo.

Tęsknię do pani, choć jesteś tak blisko, Manon!

Położyła mu drżącą rękę na głowie schylonej kornie i milczała, a czar jakiś otulał ją mgłami, w których kołysała się dusza

Marianki jak motyl w sieci słonecznych blasków. I pra-

gnęła, żeby ta chwila trwała jak najdłużej, ta chwila, w której serce szło na zew drugiego serca, a drżące ciało pragnęło objęcia męskich, silnych ramion. Marianka w tej chwili była cała krzykiem zwycięskiej miłości... a jednak...

- To jest wszystko, co mi pan chciał powiedzieć?

- Tak, wszystko... chcę, by pani o tym pamiętała.

- I o nic nie myśli mnie pan prosić?

- Gdybym wiedział, że serce pani posiadam nie na chwilę przelotnego kaprysu, tylko stale i niepodzielnie, może bym miał o co prosić... a tak... to już wszystko...

- No to dobranoc, chłopcze.

Wstał, spojrzął na nią prawie surowo i wyszedł. A Marianka całą noc przepłakała i gdy ujrzał rano zmienioną twarzyczkę kobiety, podszedł zaniepokojony i, mimo obecności całej kolonii, chwycił ją za obie ręce.

- Manon! Pani Marianko, co się stało, na Boga, jak pani wygląda?

- Głupstwo, nie spałam całą noc.

- Może pani przemęcza się bieganiną, może za dużo tego nartowania i ślizgawki?

- Nie! Skądże znowu! Nic mi nie będzie. Po prostu jestem zakochana.

- Coo?

- Too! Niech pan sobie już idzie. Ja nie jestem najważniejszą osobą w kolonii, a nasi przyjaciele czekają na gimnastykę.

- Idę już... Jeżeli zrobiłem przykrość, proszę darować.

Spoglądała przez okno, jak szedł na czele rozśpiewanej gromady, wysoki, silny i jasny. Lekki wiatr czochrał mu włosy i Marianka pomyślała mimo woli: „Ty kochany dzieciaku...”

Po obiedzie starsze dziewczęta siedziały w pokoju Gabrysi, obrębiając samodzielne prześcieradła do Kazinej wypra-

wy. Marianka śpiewała im wesołe piosenki, ale myślą była bardzo daleko, wreszcie zwróciła się do Kazi:

- Chcę z panią porozmawiać, chodźmy pod piec. Usiadły obie z dala od dziewcząt.

- Czy pani bardzo się cieszy ze swego zamążpójścia? - spytała Marianka.

- O, naturalnie, będę przynajmniej miała swego chłopca na własność. Ja zawsze marzyłam o tym, żeby sobie mieszkać tak we dwoje, postawimy sobie swoją chałupę, ustroję ślicznie, zawsze tam będzie czyściutko i miło. Może jaki ogródek, może krówka...

- A nie boi się pani, że po jakimś czasie może męża znudzić pobyt na wsi i prapa na roli?

- Jakoś nie... On sam mówił, że chcąc teraz zdobyć posiadłość w mieście, trzeba mieć albo bardzo szerokie plecy, albo mocne pięści, zresztą, on przecież nic nie skończył, bo nie mógł, a cóż by go ciągnęło do miasta? Może tu więcej znajdzie przyjemności jak tam. Mój chłopiec nie lubi siedzieć przy biurku, tu wyżyjemy oboje. Ja po ślubie będę uczyła szycia w kolonii, dostanę za to kawałek ziemi na ogródek, a zresztą, wszystko sobie już obmyśliliśmy.

Marianka pokiwała głową w zadumie.

- Ja wiem, że człowiek sobie dużo układa, dużo projektuje, a potem... potem ma złamane życie - rzekła cicho i smutno.

- E, proszę pani, my się znamy, jak Bronek mnie chce, to już dobrze. On mówi, że mu się przylepiłam do serca, on mnie także, jeszcze jak... A oboje lubimy życie spokojne i dzieci i chcemy mieć swój własny dom, jak ptaki gniazdo, żadnych luksusów nam nie trzeba. Profesor mówił, że to ani zdrowo, ani szczęśliwie, bo wtedy stajemy się niewolnikami...

I znowu pokiwała Marianka głową.

- Tak, tak... tylko nie mówił pewno, że najcięższą niewolą jest niewola miłości.

- Ee! To takie książkowe, głupie hece. Ja się na tym nie rozumiem, ale myślę, że jak kocham, to nie potrzebuję zaraz gryźć własnego serca, kiedy mam chleb. Zresztą, za takiego durnia, co by mną chciał tyrać, to bym nie poszła.

- Strasznie miła z pani osóbką, panno Kaziu.

- E tam, to pani jest taka, wszystkie dziewczyny przepadają za panią.

Marianka roześmiała się.

- Tyle mojego, że mnie ludzie lubią. Wie pani, panno Kaziu, że i ja kiedyś marzyłam o swoim cichym, radosnym domku, ale cóż, nie wyszło!

- Pan profesor mówił, że zawsze warto jest próbować rozpocząć życie na nowo, może i pani...

- Nie wiem... nie wiem, czy potrafiłabym. Ja kiedyś bardzo kochałam, panno Kaziu, wszystko rozsypało się w proch. Pamiętam także doskonale słowa profesora: „Człowiek jest stworzony na to, by kochać i owocować. Ten, który owocować nie chce, staje się czymś wynaturzonym, dziwolągami i pasożytem”. Ja teraz już kochać nie umiem, bo przekonałam się, że nie warto.

- Ej, co pani mówi, jak to nie warto... Wszystko się kocha na świecie: i ptaki, i zwierzęta, i motyle, a my co, mamy być gorsi; tylko ja to znowu nawet kiedy kocham, nie zamykam oczu na wszystko, co się dzieje koło mnie. Chłopiec swoją drogą, a życie swoją. Jakby pani była tu z nami tak cały czas, to by zrozumiała, jak dobrze i wesoło jest żyć.

- Ja to rozumiem, Kaziu, tylko mi tak okropnie żal zmarnowanych lat - i ku przerażeniu Kazi, Marianka wybuchnęła płaczem, zakrywając oczy dłońmi.



Gabrysia przybiegła niespokojna, otuliła głowę kobiety drżącymi ramionami jak matka i szeptała:

- Co się stało, córuchno, nie płacz... ach, mój Boże, może Kazia zrobiła ci jakąś przykrość?

- Nie, nie, ciociu, pani sama...

- Idźcie, dziewczynki, do jadalni, niech się biedactwo uspokoi.

A kiedy wyszły, przycisnęła głowę Marianki do piersi:

- Powiedz, córuś, co ci jest, powiedz, ja wiem, jak to ciężko, gdy wszystko trzeba w sobie tłumić. I mnie nigdy nikt nie słuchał, bo... nie było czasu.

Marianka szeptała przerywanie, wycierając oczy i nos w Gabrysinę fartuch.

- Ciociu, czas upływa... ciągle nowi ludzie, nowe przeżycia. Dni lecą jak iskry z lokomotywy i gasną... a ja co dzień patrzę w lustro i szukam śladów lat... Na razie nie widzę nic groźnego... uśmiecham się, ale w duszy błagam czas o zmiłowanie... Chcę jeszcze wciąż, jak dotąd, umieć się wzruszać do łez pięknem przyrody, oblewać rumieńcem, kiedy całują mnie czyjeś gorące spojrzenia... chcę biegać i czuć młodość i siłę moich nóg jeszcze długo... długo, a tymczasem, ciociu... Przecież starość idzie, ja wiem, że idzie, i przyjdzie taki dzień, w którym pokona mnie... a ja nawet wspomnień pięknych nie będę miała, i umrę nikomu niepotrzebna, nie zostawię po sobie nic, tak zgasnę jak iskierka... A gdybym chciała ofiarować komuś swoje serce... ciociu... to nie jest już to samo radosne, niewinne serce jak kiedyś... są na nim brzydkie szramy, blizny... I kiedy patrzę tutaj na wszystkie nasze dziewczynki, na Kazię, jest mi strasznie... zazdroszczę!, a ja jeszcze sześć lat temu nie wiedziałam, co to zazdrość... Teraz... ciociu, one mają wszystko przed sobą. Kazia będzie brała ślub w welonie,

żebyś ty wiedziała, jak zawsze marzyłam o tym, ale Eryk nie pozwolił, mówił, że to głupi zwyczaj. I już nigdy... i me wróci się wiele, wiele rzeczy. Nigdy się nikomu nie zwierzałam, byłam zbyt dumna, zresztą, nie było nawet komu. Jeden pan Gustaw rozumiał moją mękę... ale teraz...

Gabrysia z tkliwością gładziła głowę młodej kobiety.

- Moja córuchno kochana, ty jeszcze wciąż stoisz na progu życia, sto razy przyjdzie do ciebie radość i miłość, na którą ja czekałam tyle, tyle lat, ale wierz mi, jak pragnę szczęścia mojego Tomka, nigdy nikomu nie zazdrościłam. Najpierw byłam potrzebna dziecku, potem profesorowi, teraz znowu dziecku, a tysiące nawet i takiego szczęścia nie znają. Jesteś młodziutka, ładna i dobra. Jeżeli cię ktoś pokocha, to pewno nie będzie pytał o to, co jest za tobą. Mnie też nikt nie pytał, ale i nie kochał nikt. Co tam, głupstwo... nie warto wspominać. Mam syna.

- Ja też chciałam mieć, ale Eryk nie pozwolił.

- Łajdus i tyle! Zobaczysz, córuchno, że sobie znajdziesz jeszcze chłopca jak malowanie i weźmiesz ślub w welonie i mirtowym wianuszk, i da Bóg, dzieciątko będziesz m.ąła...

- Tylko, ciociu, ja już nie mogę ofiarować kochanemu człowiekowi nic prócz serca, wszystko znam, wszystko przeżyłam. To rani męską ambicję; jeśli ten ktoś jest prawdziwym mężczyzną, będzie cierpiał.

- Czy ty, Manon, już masz kogoś takiego?

- Zdaje się, że tak, ciociu... Dawniej nie rozmyślałabym, nie maskowała uczuć, teraz... Ludzie wyśmiewali moją szczerość, więc co dziwnego, że inaczej myślę, a inaczej mówię?

- Tu nie potrzebujesz tak robić, to brzydko, Mananko! Marianka westchnęła przeciągle, wytarła całą twarz pogniecionym fartuchem Gabrysi i uśmiechnęła się.

- Ciociu, jestem wstrętna egoistka, zabieram ci czas i dobry humor.

- Nie szkodzi... Za to wydaje mi się, że jestem znowu młoda i mam takie serdeczne kłopoty jak ty, dziecko. Trzeba teraz pójść do spiżarni i kuchni szykować kolację. Tomek idzie dziś z Felkiem na noc do lasu, bo znowu ktoś drzewa kradnie i siano z karmnika wyciąga.

## ROZDZIAŁ IX

Moja mała, słodka Manon!

Jak się czujesz, ile ci przybyło ciała, a ile ubyło kłopotów, kogo przyprawiłaś o rozstrój nerwowy i bezsenność? Jednym słowem, co porabiasz, młoda kobieto z leśnej pustelni? A może nadgryzł cię jakiś brzydki bury miś? Zresztą, nie dziwię się zbytnio, ja sam, gdybym miał wszystkie zęby, schrupałbym cię z przyjemnością, raz dla zaspokojenia apetytu, a po drugie za karę, że tak długo zostawiasz swego przyjaciela bez wiadomości o sobie. Popraw się, Manon, bo dostaniesz w skórę przy najbliższej okazji, a mnie znowu spuchnie wątroba, czego ci z całego serca życzę, jeśli nadal będziesz taki raróg.

Wiesz, mała, nigdy nie byłem bohaterem, mnie z tą dźwięczną cnotą nie do twarzy, ale w tych dniach czuję się co najmniej Cezarem, Sobieskim i Metternichem w jednej osobie. Stoczyłem taką batalię, o jakiej mi się nawet nie śniło.

W tym miejscu wtrączę uwagę... Otóż, darowuję królowej

Tytanii, że szalała za osłem, ale nie mogę darować pewnej małej królowie, że kochała się w śmierdzącej hienie i całe cztery lata zносиła cierpliwie jej wycie.

Marianko, Marianko, przecież miałaś mnie pod ręką. Pomyśl, siedziałabyś teraz ze mną i piastowała na rękę nasze wnuczeta! Nie? No to gładziłabyś moją siwą brodę (specjalnie mógłbym ją zapuścić) i śpiewała *Aaa... kotki dwa\*

Także nie? No to czym ci dogodzić, kapryśne stworzenie?

Chyba... wiesz co? Zmaltretowałem szanownego pana Eryka w nielitościwy sposób i odebrałem mu głos, tudzież spiłowałem zęby. Jesteś zadowolona? A teraz posłuchaj całej historii...

Eryk był u was, wiem. Przypuszczam, że nie pojechał namawiać Gabryni na romans, w każdym razie coś mu tam „nie sztykowało”, bo przyjechał trochę kwaśny i trochę Byron, i trochę Sokrates, i zaczął na lewo i prawo po wszystkich kawiarniach opowiadać o kolonii takie świństwa, że włosy stanęły mi dęba. On czynił to bardzo zgrabnie; tu coś szepnął, tam rzucił słówko, a z tego wybuchnął skandal; w kołach towarzyskich o niczym nie mówiono, tylko właśnie o kolonii Martyna, i wszyscy doskonale się bawili puszczaniem dowcipuszków na ten temat.

Któregoś rana przychodzę wcześniej do redakcji (wątroba już mnie bolała), a redaktor pokazuje mi artykuł Wildego „Martynówka - kolonia cnoty”.

- Przeczytajcie, świetny artykuł i świetny temat. Można go będzie dłuższy czas wałkować, zrobić z tego drastyczną sensację. Ludzie rozdrapią.

Przeczytałem i czułem, że wściekłość mnie rozsadza, że za chwilę pęknę z wielkim hukiem. Musiałem bardzo pięknie wyglądać, gdyż redaktor dotknął mej dłoni.

- Herman, co wam jest, może szklanę wody?
- Nie, jeśli łaska, poproszę o rewolwer.
- Nie rozumiem!
- Szkoda! Redaktorze miły, nie możecie pozwolić, by ten nędzny paszkwil ujrzał światło dzienne.
- Wściekliście się czy co? Mam wyrzucać pieniądze, które mi kładą do kieszeni? Taki artykuł to jest kopalnia złota! Jeśli ja go nie przyjmę, przyjmie inne pismo...
- Nie uczyni tego żadne. To jest blaga! Świńska, łajdacka blaga, stek oszczerstw, ordynarna napaść, pospolite wycie cuchnącej hieny. Nie możesz, redaktorze, zapaskudzić swego pisma. Nie wolno ci tego uczynić choćby ze względu na pamięć profesora. Jestem pewien, że po kampanii prasowej rozpocząłby się proces w sądzie, a wtedy ja dużo miałbym do powiedzenia. Pochlebiam sobie, że trochę się ze mną liczą.

No i jeszcze dużo plotłem w tym sensie. Ostatecznie zabrałem artykuł i poszedłem do domu wziąć proszki na uspokojenie.

Moja droga, czego ten dureń nie naplótł... Oczywiście wymalował Tomka na czarno, żaden diabeł z wywieszonym ognistym językiem i ogonem nie może dorównać Tomkowi, który sieje rozpustę na lewo, prawo, przed siebie i za siebie. Cała kolonia jest gniazdem rozpusty. Śmierć profesora soczyście nakropiona sensacją i domysłami. W końcu ten parszywy literat wzywa miarodajne czynniki do zrobienia porządku w Martynówce.

Koło południa zjawilem się w mieszkaniu Eryka. I teraz wyobraź sobie, moja mała, taką scenę... Pan starszy:

- Przyszedłem zwrócić panu jego arcydzieło. Jest to plugawy, ordynarny paszkwil, który radzę w mej obecności spalić.

Pan młodszy, w wytwornej piżamie, zapala papierosa:

- I któż był łaskaw wydać taką miłą opinię o moim artykule?

Pan starszy, któremu znowu zaczyna dolegać wątroba:

- Ja znam Martynówkę i jej mieszkańców i stwierdzam kategorycznie, że pan łąze od początku do końca. Całe życie pana jest jednym obrzydliwym łgarstwem. Zabraniam drukować tego świństwa.

Pan młodszy ze słodyczą:

- Zabronić mi nikt niczego nie może. Niech pan będzie tak dobry i zamknie drzwi z tamtej strony. Ten artykuł ukaże się we wszystkich pismach, mam jego kopię.

Pan starszy dobitnie:

- A ja ci powiem, smarkaczu, że ten świstek nie ujrzy światła dziennego, potrafię bowiem odkryć twoje karty. Cała Warszawa dowie się, jak to młody i elegancki Eryczek chciał handlować wdziękami żony, kiedy występowała w „Wesołym Teatryku”, cała Warszawa dowie się, jak sobie przy kieliszku wyrabiał recenzje. A komisja policyjna wpadnie kiedyś wieczorem do jego rozkosznego mieszkanca i dopiero tu zobaczy rozpustę. A może jeszcze mam ogłosić listę pańskich wierzycieli? Chwalić Boga, mam także trochę znajomości, może nie wśród podobnych panu chłystków, i jeżeli rozpocznę walkę, by pana zgnieść, dokażę tego!

Pan młodszy przykłada do nosa perfumowaną chustkę:

- Ma pan kogo bronić, istotnie, wariatki, którą w chwili obłędu poślubiłem, i tego chama. Zachowuje się pan jak ostatni gbur i ordynus, mam tego dość, proszę wyjść!

Pan starszy:

- A więc dobrze, idę i rozpoczynam otwierać ludziom oczy, a przedtem unieszkodliwię pana - w tym miejscu

starszy pan wyjmując z kieszeni nabity rewolwer i mówi głosem przydeptanego węża dusiciela:

- Przestrzelimy te zgrabne kolanka... i lalusz będzie leżał sobie w łóżeczku.

Pan młody zbladł śmiertelnie i sięga do dzwonka.

- Ani kroku, zapytuję pana, czy te artykuły ukażą się w pismach, czy nie?

- Nie.

- Ponieważ wierzyć, niestety, nie mogę, ponieważ ploteczki, które pan rozpuścił, krążą po całej Warszawie, zrobimy tak: pod moim dyktandem napisze pan inny artykuł. Proszę usiąść.

Pan młodszy, wciąż blady i spocony, siada i rzucając okiem na miłą, czarną lufkę, pisze krótki, treściwy, bardzo pochlebny, choć bez sosu fantazji artykuł, kładzie na końcu swoje nazwisko i mówi ochryple.

- To jest wymuszenie.

Pan starszy chowa lewą ręką papier i w uprzejmym uśmiechu rozlewa Niagarę zjadliwości.

- Owszem, ale tego nikomu pan nie może rozpowiadać. Znają mnie ludzie dobrze i będą z pana rechotać. Najlepiej, żeby pan zamknął buzię na ten temat. Moje uszanowanie. Artykuł pójdzie jutro, a rewolwer... był nie nabity!

Pan młodszy pada z jękiem na fotel. Pan starszy biegnie kłusem do redakcji, oddaje artykuł redaktorowi, po czym, również kłusem, cwałuje do domu, kładzie się do łóżka, a pokojówka do wieczora robi mu gorące kompresy. Kurtyna spada.

A teraz, Manon, powiedz sama, czy mogłem uczynić inaczej? Może to nie było całkiem po rycersku, ale Warszawa już wrzała i różni różnie jęzory strzępili sobie na Martynówce.



Skutki mogłyby być opłakane dla kolonii i Tomka, i w ogóle. Nim cała sprawa nabrałaby przejrzystości kryształu, wasze ciche gniazdo niejeden by wstrząs przeżyło. I czy wyobrażasz sobie rozprawę sądową?

A Eryk jest pospolity śmierdziel i nic więcej, jak z takim walczyć. Kilka dni po ukazaniu się artykułu był znowu ruch bo przecież Wilde co innego mówił, a co innego napisał! Podobno wytłumaczył się w ten sposób, że chciał zobaczyć jakie rozmiary przybierze plotka. Jednym słowem, zyskał sobie teraz jeszcze sławę dowcipnisia. A ja wiem, że jest tchórzem i koniec, i cieszę się, że jesteś wolna.

Moja mała Manon, bardzo mi Ciebie brak.

Twój papcio

Marianka przeczytała list, zaciskając drobne palce, i myślała, że dobrze jest mieć takiego wiernego przyjaciela jak Herman.

Czuła, co właściwie skłoniło Gustawa do tej walki. Najbardziej chodziło mu o jej spokój. Zaraz też napisała gorący list, i kiedy go Herman czytał, zdało mu się, że spomiędzy literek mrugają doń wilgotne oczy koloru gencjany.

## ROZDZIAŁ X

Jeszcze przed śmiercią profesora Martyna okoliczni chłopci przyzwyczaili się, że gdy któremuś zabrakło mąki, kaszy, kartofli czy kapusty, należało przyjść do kolonii. Pan poratował zawsze. Z czasem jednak proszących było zbyt wielu.

Przychodzili bowiem i tacy, którym właściwie nie groził ani głód, ani nędza. Ot, po prostu, woleli dostać, niż kupić. Kiedy profesor zorientował się w sytuacji, zmienił taktykę. Kto brał, musiał oddawać produkty albo pracą, albo też płacił za nie.

Wprawdzie z tym odrabianiem długów miał profesor dość kłopotu, bo Huculi są ogromnie leniwi, w każdym razie powoli przyzwyczaił ich do tego, że jałmużny nie dostaną, chyba w wyjątkowych wypadkach. Ale i chłopci ze swej strony spostrzegli, że lepiej jest wziąć z kolonii kaszę czy mąkę, bo kosztuje taniej niż w sklepie u Jojny, i jest lepsza, a jeśli trzeba odrabiać, to też jakoś wypada lepiej. Kiedy płacili jajkami, Tomek oceniał sztukę po cztery grosze, a nie tak jak Jojne, po dwa.

W ciągu trzech czy czterech lat zdążyli się przyzwyczaić do

kupowania w Martynówce. Przychodzili z daleka, bo zawsze można było tu coś ciekawego zobaczyć, czegoś się nauczyć. Między dworem a okolicą zadzierzgnęły się nici sympatii, może nie w pełnym tego słowa znaczeniu, w każdym razie ludzie doszli do przekonania, że koloniści odnoszą się do nich przychylnie, służą zawsze radą i pomocą. Profesor znał się nawet na chorobach. Z początku podbierali chłopci drzewo z lasu i siano, Tomek przyłapał kilku z nich, zwymyślał. Nie odebrał siana, ale musieli za to swoimi końmi zwieźć kilka fur siana z połoniny do stodoły. Uczynili to, bojąc się sprawy o kradzież. Najgorzej na tej obopólnej harmonii między dworem a wioskami wyszedł Jojne. Ruch w sklepiku ogromnie mu się zmniejszył. Mizeracy z nędznych wiosek położonych wysoko woleli nadłożyć drogi, a kupić w kolonii niż u niego. Wszystkie wysiłki, wszystkie próby zasiania nienawiści spełzały na niczym.

Kiedyś jednemu z gospodarzy w Orawczyku spłonęła stodoła. Jojne puścił w ruch wiadomość, że to ktoś z kolonii podpalił dlatego, by zmusić chłopca do kupienia siana i owsa w Martynówce. Kowalik doniósł o tym profesorowi. Ten zwołał kilkunastu gospodarzy i oświadczył, że w tym roku nie sprzeda ani garsteczki siana, ni słomy właśnie dlatego, że uszu jego doszły haniebne plotki. Istotnie, postawił na swoim. Plan kupca wziął w łeb, a ludzie nadal mieli zaufanie do Martyna.

Po śmierci profesora Jojne myślał, że wszystko się rozleci, że odzyska znowu swoje wpływy, tymczasem Tomek trzymał mocno w garści to, co uzyskał Martyn, i mimo depresji nie dał sobie wydrzeć wpływów.

Tymczasem jednak ktoś znowu zaczął kraść drzewo i siano, a Tomek ani rusz nie mógł przyłapać złodzieja. Wiedział,

że z pomocą Kowalika może by mu się udało, ale jakoś stracił zaufanie do tego człowieka, który stale gdzieś znikał, stale był roztargniony lub chmurny. Przypuszczenie, że to rozpacz po śmierci profesora, było mało prawdopodobne. Raz i drugi Tomek poczuł od niego wódkę, ale znowu kiedy widział wlepione w Gabrynię oczy chłopca, mimo woli ulegał wzruszeniu. To było spojrzenie najwierniejszego psa. Tylko dlatego nie miał serca kazać chłopcu opuścić Marty nówki.

Aż któregoś dnia Kowalik sam podszedł do niego.

- Ja bym chciał poprosić pana o moją książeczkę PKO. Już muszę stąd odjechać, trafia mi się taksówka do spółki, dostałem list od brata z Warszawy.

- Dobrze.

Wręczył mu książeczkę, nagle Kowalik pocałował go w rękę.

- Zwariowałaś?

- Nie! Dziękuję panu za wszystko, proszę mi przebaczyć, jeśli nie byłem po pana myśli, odjadę jutro rano.

- Szczęść ci "Boże. Pożegnacie się ze wszystkimi? .

- A pewno.

Przy kolacji Tomek rzekł głośno:

- Matusiu, dziś powinnaś nam dać coś na deser, wyprawiamy ucztę pożegnalną Kowalikowi, jutro chce odjechać.

Wszyscy od razu umilkli i spojrzeli w stronę chłopca. Był blady i miał w oczach łzy.

- Ano trudno, kiedyś trzeba jechać, lepiej wcześniej, później byłoby ciężko - odezwał się głosem, któremu usiłował nadać swobodne brzmienie.

Halinka podskoczyła do niego i objęła go za szyję.

- To już mi nie zrobisz takiej małej maszyny do szycia?

Lepiej nie jedź...

- Przyślę ci maszynę, Halusiu.

Gdy żegnał się z Gabrysią, ucałował jej ręce i powiedział głucho:

- Ciociu, niech mnie ciocia nigdy źle nie wspomina, bo ja bym sypiać po nocach nie mógł.

Ucałowała go serdecznie, po macierzyńsku, i napakowała pełne pudełko żywności.

Raniutko Kowalik opuścił Martynówkę. A nazajutrz, zaraz nazajutrz stało się to nieszczęście. Niedaleko Martynówki gdzieś w lesie huknął wystrzał... Pobiegli wszyscy, prócz Tomka i Marianki, bo ich w tym czasie w domu nie było, i znaleźli Jojnego w kałuży krwi. Już zastygł:

Piorunem rozbiegła się wieść po okolicy, koło lasu krążyły tłumy. Zjechała policja, wywiadowcy, przetrząsano las od drzewa do drzewa. Ku ogólnemu przerażeniu jeden z wywiadowców znalazł karabinek Tomka.

Otoczono kolonię kordonem policji, mieszkańcom nie wolno było opuszczać sali jadalnej.

- Gdzie pan był podczas wypadku?

- Obchodziłem las, jak zwykle, bo w ostatnich czasach wciąż kradziono mi drzewo.

- To pana karabin?

- Tak jest.

- To już drugie tajemnicze zabójstwo w tym dworze. Od pańskiej kuli zginął Jojne, oto właśnie ta kula, pasuje, co?

- Wszystkie poszlaki są przeciwko mnie, nie uczyniłem tego jednak.

- Każdy morderca tak mówi.

Zajechało auto policyjne, Tomkowi nałożono kajdanki. Gabrysia zemdląca. Nagle z grupy dziewcząt wyskoczyła Marianka z dzikim krzykiem:

- Nie! Nie bierzcie go... nie wolno... To ja... ja zrobiłam... Ja schowałam jeszcze wczoraj karabin... Wszyscy mogą potwierdzić, że pan Tomek szukał broni i dziwił się, kto ją mógł zabrać, czyj to figiel... a ja sobie przygotowałam na dziś... Chciałam nauczyć się strzelać... nieumyślnie go postrzeliłam, tego Żyda... Zostawcie Tomka... zostawcie go!

Krzyczała, trzęsła rękami, rozburzone włosy spadły jej na wilgotną od łez twarz.

- A, wobec tego i pani jedzie z nami.

Tomek nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Trupioblady, utkwiał w Mariance nieprzytomne oczy.

Auto zniknęło za zakrętem. We dworze zostali przerażeni mieszkańcy pod opieką trzech policjantów i detektywa. Grudzki poszedł do Gabrysi, która leżała w łóżku, jęcząc głucho.

- Ciociu najdroższa, wszystko się wyjaśni, cała historia jest tak dziwnie chaotyczna, że mam wrażenie, że ani Tomek, ani pani Marianka nic nie zawinili. Mógłbym przysiąc. Niech ciocia wstanie. Nie możemy opuścić rąk właśnie teraz. Policja przesłuchuje wszystkich po kolei... Trzeba mówić prawdę. Jestem pewny, że najbliższe dni przyniosą wyjaśnienie zagadki. Odważnie, ciociu! - mówiąc to, całował ręce szlochającej kobiety, ale wyraz twarzy miał zupełnie pogodny.

- O, Jezu Drogi, taki wstyd, taka hańba. To go złamie raz na zawsze, i tę dziewczynę, to dziecko...

- Tomek nie da się złamać łatwo, a gdyby go nawet przytrzymali dłużej, ja tu zostałem... ja, który kiedyś chciałem uciec od życia. Muszę teraz spłacić dług profesorowi. No, cioteczko, proszę wstawać.

I Gabrynia, zachęcona rześkim głosem chłopaka, wstała i wzięła się do pracy.

Zeznania mieszkańców kolonii brzmiały wszystkie jedna-

ko. Ani pan Tomek, ani pani Marianka nie mieli żadnej z kupcem styczości, jeżeli trzeba było coś kupić, kupowano w ruskiej spółdzielni w miasteczku lub sprowadzano ze Stryja. Pani Marianka bała się każdej broni i nigdy nie chciała wziąć do ręki nawet nie nabitej fuzji. Pan Tomek nigdy nie strzelał do zwierzyny, raz zabił dzika, bo mu owies wyjadał. Zawsze był spokojny i dobry dla wszystkich.

To samo mówił ksiądz greckokatolicki. To samo mówili chłopci. Ale za to na jaw wyszły knowania zabitego, co znowu naprowadziło policję i sędziego śledczego na myśl, że zabójstwo było właśnie aktem zemsty ze strony Tomka.

Gdy sędzia przesłuchiwał go już w Stryju, młody człowiek był bardzo zgnębiony, ale spokojny.

- Istotnie, szukałem tej broni, gdyż zauważyłem, że nie wisi na swoim zwykłym miejscu, uważałem, że ktoś zrobił mi psotę.
- Na co panu potrzebna ta broń?
- Nie była potrzebna, rzuciłem okiem na ścianę i stwierdziłem jej brak.
- Czy oskarżona umie strzelać?
- Nigdy nie brała do ręki żadnej broni.
- Wprowadzić panią Wilde.

Na widok Marianki Tomek zatrzęsł się cały jakby oblano go strumieniem gorącej wody; nie zważając na obecność sędziego i policji, szepnął:

- Manon, maleńka, czemu kłamiesz? Podniosła hardo głowę.
- Nie kłamię. Wzięłam strzelbę po kryjomu i poszłam w las strzelać, nieszczęście chciało, że przechodził tamtędy ten Żyd; gdybym nie była winna, nie przyznałabym się. Nie mam zamiaru grać bohaterki i bronić pana, bo mi na tym nie zależy, co z panem zrobią.

W tej chwili sędzia wziął do ręki karabinek.

- Może pani zechce zobaczyć, czy ta broń jest nabita, czy nie?

Marianka zbladła, potem zaczerwieniła się mocno.

- Nie jestem usposobiona, panie sędzio...

- Aha! To znaczy: nie znam się na tym; dobrze, może pani odejść. Proszę wyprowadzić oskarżonych.

Już cały tydzień trwało śledztwo i cały tydzień Tomek i Marianka siedzieli w areszcie; nie wolno im było widywać się z nikim. Herman przyjechał zrozpaczony i po długiej konferencji z sędzią śledczym udał się do Martynówki pocieszać Gabrysię. Gdy nagle spadł piorun z jasnego nieba i oświetlił całą sprawę. Oto w kancelarii sędziego zjawił się blady i wynędzniały Kowalik i rzucił na stół zardzewiały pistolet.

- Proszę pana, to jest broń, którą zabito profesora, a tego Żyda cholere ja sam ukatrupiłem.

Sędzia skoczył jak tygrys.

- Co? Jeszcze jeden zabójca? Opowiadaj, nie łżyj!

- A to było tak, panie sędzio. Jak zabili mojego pana, to ja sobie pomyślałem, że tylko taki mógł to zrobić, co miał do niego złość. Pan dostał z tyłu, żeby widział, to by może powiedział, kto go zamordował, ale tak... Ja czułem, że tylko ten Jojne, co mnie kusił do wódki i kradzieży. Całe cztery miesiące chodziłem, szpiegowałem, pilnowałem go jak pies, ale on się dobrze strzegł. Aż raz, w nocy, patrzę, a ten wyłazi z domu i boczkiem, boczkiem do naszego lasu, a pod lasem koło potoku stoi wóz z koniem, pełny drzewa. To było nasze drzewo, kto tam naładował, nie wiem. Wziął lejce i jedzie... Ja sobie myślę: „A ty złodzieju cwany...” Tą drogą często jadą albo stoją chłopskie wozy z drzewem.



Przyniósł, zrzucił i poszedł spać. Mogłem powiedzieć, że złapałem złodzieja, ale co... wzięliby go do kozy, a ja chciałem się przekonać, czy dobrze zgadłem, że to ten drab zabił mi pana... Zacząłem do niego zachodzić niby na wódkę, żeby coś wyciągnąć, ale dobrze się trzymał. Kiedyś to mówię:

- Dobrze, że już nie ma naszego pana, przynajmniej pić mogę, ile chcę, a nie brać poczęstunku.

Przyniosłem mu jajka, które wypraszałem u gospodyni. Żyd się trochę zmienił na twarzy, a ja mówię dalej:

- Jojne, kupilibyście trochę drzewa?

- Oj, czemu nie... a od kogo?

- Ode mnie, oddam po pół normalnej ceny, tylko nikt o tym nie może wiedzieć.

- Żeby tylko nie było z tego jakiejś nieprzyjemności.

- Po co ma być? - mówię. - Już ja to zrobię.

Sprzedawałem mu nasze drzewo, żeby go do siebie ośmielić, i udawałem, że nie wiem, że mnie w zapłacie oszukuje. Raz kazałem mu na siebie czekać pod lasem, a wybrałem mroźny dzień. Żyd zmarł, ledwo się na nogach trzymał. To ja, dawaj, lać w niego gorzałę. Spił się tak, że musiałem go na wóz wsadzić. W domu położył się i zasnął.

Czekałem przy nim, aż się obudzi, i powiadam:

- Aleś się, Jojne, wlał... no, jeszcze pijanego Żyda nie widział, aż mi śmiesznie było, a głupstwa takie pletliście, no... Całe szczęście, że tu siedziałem, bo jakby kto usłyszał, to by cię powiesili.

- Oj, oj... co ja mogłem mówić?

- Ano, żeś ty profesora zastrzelił...

Żyd się porwał na nogi, aż się zielony zrobił.

- Co ty takie głupstwa mówisz, ty ośle, wynoś się, ja cię nauczę, łobuzie...

- Cicho, cicho... sam plotłeś... po pijanemu to różne świrki po głowie chodzą. Wiadomo, nie masz się o co złościć, przecież sam rozumiem, że to bujda, bo to który Żyd odważy się strzelać, umrze ze strachu.

Jakoś się udobruchał, ale ja już wiedziałem, że to on, widziałem w jego oczach. Od tego dnia jakoś bardzo ochłódł dla mnie, i widziałem, że się boi. I wtedy już nie mogłem ani spać, ani jeść... ciągle mi w oczach stał mój pan.

Wziąłem strzelbę pana Tomka i powiedziałem wszystkim, że wyjeżdżam, wróciłem piechotą ze stacji i przenocowałem w karmniku, w lesie, a raniutko, skoro świt, lecę do Żyda, wpadam z wielkim krzykiem i mówię:

- Na policji dowiedzieli się, że masz jakąś broń, będą robić rewizję, dawaj ją prędko, zaniosę ją do lasu.

Jojne zgłupiał, zaczął się kręcić tu i tam, wreszcie wyszedł na podwórko i przyniósł mi ten pistolet.

Pokazałem mu karabinek pana Tomka spod kapoty i mówię:

- Widzisz, ja i swoją idę schować. Będę na ciebie czekał tam, gdzie zawsze, pokażę ci, gdzie schowałem.

Za parę godzin patrzę, idzie...

- Żadnej rewizji nie było.

- Ale będzie, tym pistoletem zabiłeś mi pana? Zaczął coś

bełkotać, a ja nie wytrzymałem. Łup i po

wszystkim. Tylko się potem tak przeląknę, Jezus Maria, myślałem, że się wścieknę ze strachu, rzuciłem karabinek, pistolet był nie nabity, i sądu się bałem, ale jednak... mają niewinnych skazywać, to raz kozie śmierć - i opadł na krzesło jak szmata.

Kiedy sędzia śledczy obejrzał pistolet i kulę, która zabiła profesora, wszystko było jasne. Tomek i Marianka wrócili do

Martynówki. Kowalik w więzieniu czekał na rozprawę sądową. Pierwszego dnia po powrocie, gdy Gabrynia siedziała z Marianką w swoim pokoju, wszedł Tomek. Tym razem nie prosił matki, by zostawiła go samego z Marianką, ale zapytał wprost:

- Dlaczego pani wzięła na siebie winę, Manon, dlaczego skazała się na tyle dni udręki? Chcę wiedzieć, muszę wiedzieć!

- Taki miałam kaprys. Pan jest głową kolonii, trudno, o głowę trzeba dbać zawsze, nie chcę więcej mówić na ten temat.

- Do diabła z całą kolonią! Jeden włoszek pani ma dla mnie więcej wartości, niech mnie pani nie dręczy dłużej, bo oszaleję!

- Radzę wobec tego zawczasu przygotować sobie kaftan bezpieczeństwa, a zresztą, nie będę pana dłużej dręczyła, bo właśnie mówiłam cioci, że jutro chcę wyjechać do Warszawy. Jestem tam przecież atrakcją dnia.

- Nigdzie pani nie pojedzie beze mnie.

- Taak?! Pan także się tam wybiera?

- Gdy będzie potrzeba, pojedę.

- Przykro mi, że nie mogę czekać, aż zajdzie ta potrzeba, ja postanowienia nie zmienię.

- Ja także nie. Pani nie wolno teraz, pani nie może stanąć na oczach ciekawych tłumów, które hędą natrętnymi spojrzeniami sięgać aż do dna duszy. Nie ścierpiałbym tego. Mam ochotę porwać panią i wywieźć na jeszcze większe odludzie, i tam nauczyć kochać - wybuchnął.

Gabrynia zdretniała.

- Ależ, Tomku! Tomku... Marianka uśmiechnęła się.

- Więc pan uważa, że nie umiem kochać?

- Ja nic nie uważam, ja nic nie wiem, prócz tego, że

wrosła mi pani w serce tak głęboko, że żadna siła stamtąd jej nie wyrwie. Nie mogę żyć dłużej w niepewności, niech pani powie mi prosto i szczerze, chce pani zostać moją żoną czy nie?

- Kochanką tak, żoną nie!

- Dlaczego?

- Bo się już raz sparzyłam.

- Czy pani nie widzi żadnej różnicy między mną a tamtym?

- Owszem, widzę, ale skąd mogę wiedzieć, że to nie są tylko pozory?

- Ach tak... No to trudno... pani daruje, ale łaskawej oferty nie przyjmę. Konie są do dyspozycji, jestem naprawdę dureń, że się łudziłem.

- Bardzo mi przykro.

Tomek wyszedł, Gabrynia zbielełymi ustami wyszeptała:

- Czy ty zwariowałaś, Marianko?

- Wcale nie, jak mnie ktoś chce, niech mnie zdobywa.

- Jakże cię może zdobyć, kiedy wyrzuciłaś go po prostu za drzwi?

- To już nie moja sprawa.

- Ale, Marianko, to mój ukochany syn. Jakże mogę ścierpieć, by go ktoś dręczył, nikogo na całym świecie nie mam prócz niego.

- A ciocia myśli, że ja go nie kocham?

- No, to już teraz nic nie rozumiem.

- Oj, ciociu, gdybyś tylko miała czas pomyśleć, może byś zrozumiała, ale o jedno proszę: nie myśl o mnie źle, nie mam już przecież nikogo na świecie od ciebie bliższego.

O świcie na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, a gwiazdy stały w obłokach nad górami tak, jakby wyrastały na czub-

kach świerków; w pokoju Gabrysi zapłonęła lampa. Zegar wskazywał czwartą, Marianka pakowała walizkę i tłumaczyła płaczącej Gabrysi:

- Nie płacz, ciociu, tak musi być właśnie dla dobra Tomka. Wart jest lepszej dziewczyny, a jeżeli kocha mnie tak, jak mówi, to sobie drogę znajdzie.

Odjazd raniutko przy świetle ma w sobie coś dziwnie gorączkowego, powietrze przesycone jest tajemniczym zapachem, wydaje się, że cały zaśnieżony las wchodzi do pokoju, choćby nawet okna były zamknięte. W ciemniejszych kątach przykuca żal z tęsknotą i grają na swoich harfach najpiękniejsze, ale i najsmutniejsze melodie świata. Dzień właściwie już się zaczął, ale stoi jakby za drzwiami i słucha. Wtedy nawet z obojętnych serc wyrywa się krzyk bolesny i oczy wilgotnieją, wtedy wśród potrącanych, rozstawionych sprzętów, błąka się nie wypowiedziane słowo: „na zawsze”, choćby to wcale nie był odjazd na zawsze.

Marianka boleśnie odczuwała ten nastrój i łzy kapały z jej lśniących oczu do otwartej walizki.

„Nie wrócę tu nigdy. Nie mogę tu wrócić, żegnaj; mały pokoiku, żegnajcie, gasnące gwiazdy, żegnaj, najmilszy kominku, przy którym można było zagrzać serce; wszyscy śpią i nie trzeba będzie głośno płakać, przechodząc z ramion w ramiona. I mała Halinka, pieścizka, śpi, przyślę jej lalkę. I Kazia, i Andzia, i Helenka, i Janka będą się Gabrysi pytały, czemu wyjechałam bez pożegnania, a chłopcy... na razie pożałują, a potem będą lepić bałwana i walić w niego kulami, i zapomną. A to chyba jest najprzykrzejsze: być zapomnianą. Czy i Tomek zapomni? Zapewne będzie jeździł szukać pociechy u Olesi. Ta na pewno podobałaby się Etykowi. A dziś na pewno dzień przyjdzie słoneczny, wszyscy będą dokazywać na nartach, a ja

w pociągu... A wieczorem, przy harmonii Felka, będą śpiewać piosenki, może nawet te, których ja nauczyłam, będą śpiewać beze mnie, i jutro też życie popłynie zwykłym trybem, ale beze mnie. Powoli wszyscy zapomną. Och, czyż mają tu czas na pamiętanie? W tym ciągłym, radosnym ruchu i pracy, gdy każda godzina przynosi nowe wrażenia?"

Takie myśli krążą po głowie Marianki, podczas gdy drżące ręce usiłują zamknąć walizkę. Marianka ma ochotę usiąść na podłodze i krzyknąć: „Nie możecie o mnie zapomnieć, bo ja was wszystkich Kocham!... Nie możecie zapomnieć! Tak mi tu strasznie dobrze, jakbym w upalny dzień pluskała się w czystym strumyku..."

Mimo to mówi spokojnym głosem do Gabrysi:

- No, jestem gotowa...

Łyka gorącą kawę i parzy sobie usta. W korytarzu słyhać czyjeś przyciszone kroki. Mariance zaczyna się kręcić w głowie. „Co ja teraz będę robiła w mieście? Trzeba będzie wyjechać za granicę. Herman mi pomoże".

Na dziedzińcu słyhać parskanie koni. Twarz kobiety barwy różowego koralu przypomina teraz śniegowy płatek. Nawet usta bledną. W tej chwili ktoś puka, wchodzi Tomek, bierze walizkę i mówi:

- Konie już czekają.

Marianka narzuca futerko, ale nie może sobie dać rady z zapięciem kołnierza, Gabrysia drżącymi palcami zapina i chowa roztrzęsione, puszyste, ciemne loki pod czapkę.

- Mgła opada, zmokną ci włoski - potem porywa Mariankę w ramiona i, szlochając, całuje bladą twarzyczkę.

Marianka zapomina nawet, że trzeba pocałować Gabrysię w rękę, rozgląda się po pokoju, za oknem widać, jak w ciemność spływają szare tumany.

- Ciociu, tego świętego Antoniego to sobie wezmę -i ze staroświeckiej komody bierze maleńką figurkę, którą rzeźbił Duda, i chowa do torebki.

Za chwilę obie kobiety idą przez korytarz. Boty Marianki trochę skrzypią. Zauważyła to dopiero dzisiaj. Sanki stoją zaprzęgnięte we dwa konie, a na koźle siedzi sztywno Felek i ma okropnie czerwony nos.

Marianka wsiadła i wyciągnęła rękę do Tomka.

- Do widzenia, dziękuję za wszystko.

- Nie ma za co - odparł spokojnie i zwrócił się do Felka:

- Jedź szybko, żeby pani nie zmarzła.

Ale kiedy pochylił się do jej nóg, by lepiej zawinąć je pledem, Marianka wzięła głowę chłopca w obie dłonie i pocałowała w oczy, potem krzyknęła:

- Jedź, Felek!

Konie z miejsca ruszyły ostro, zadźwięczały dzwoneczki i jeszcze w dali słyhać było ich coraz cichszy śpiew. Wreszcie wszystko umilkło. Tomek stał nieruchomo na środku dziedzińca, rozejrzał się wokoło, chwilę spoglądał na szlochającą matkę, zatrzymał potem wzrok na otwartej stajni, po czym wolno wszedł na ganek i biorąc Gabrynię pod rękę, powiedział:

- Chodź, matulu, bo zmarzniesz, trzeba się jeszcze przespać.

Wprowadził ją do pokoju; panował tu trochę nieład. Na stole leżała chusteczka Marianki. Tomek stał chwilę ze zmarszczonymi brwiami, nagle zawrócił na pięcie i wybiegł na korytarz. Szybkie kroki zadudniły po schodach prowadzących na górę. Raz, drugi raz trzasnęły drzwi od sieni i ganku.

Gabrynia podeszła do okna i ze zdumieniem patrzyła na Tomka, który wyprowadzał właśnie konia ze stajni i siodłał go

pospiesznie. Pobiegła przez korytarz, chcąc zawołać, by ubrał się ciepiej, ale nim dopadła sieni, Tomek już wyjechał za bramę. Zmartwiona wróciła do siebie.

A Tomek gnał przez mlecznie białą drogę. Śnieg pryskał spod kopyt konia, wiatr szumiał mu w uszach. Kiedy wreszcie ujrzał budynek stacji, zwolnił trochę, bo trudno było przez ulice zapchaną pojazdami cwałować jak na wyścigach, Tego dnia wracała do Lwowa jakaś wycieczka i na stację trudno się było przepchać. Poszukał wzrokiem Felka. Jest, odjechał na bok z saniami, poprawia coś przy uprząży. Huknął na niego z całej siły, ku wielkiemu zdumieniu publiczności.

- Felek, chodź tu prędko, trzymaj konia. Felek puścił się klusem i za chwilę odbierał konia.

- Pani w pociągu?

- Tak, w drugiej klasie, trzeci wagon od końca. Biegiem puścił się Tomek przez salę na peron. Bileter chciał go zatrzymać, ale widząc niepokój na twarzy młodego człowieka i jego zdecydowaną postawę, machnął ręką. Do odjazdu brakowało tylko minuty.

Marianka z przerażeniem ujrzała w drzwiach przedziału Tomka. Spytał ostro:

- Która walizka jest pani?

Wskazała palcem; w tej samej chwili pociąg wolno ruszył, walizka wyfrunęła na peron, za nią skoczył Tomek, trzymając Mariankę wpół. Nie puszczając ani na chwilę jej ramienia, podniósł walizkę i ruszył do wyjścia.

Felek stał przy swoich sankach, trzymając konia i patrzył z zadowoloną miną, jak pan niósł panienkę w ramionach i wsadził do sanek, zajmując miejsce obok.

- Okryj pani nogi, Felek, przywiąż Norę z tyłu do sanek i gnoj do domu!



Palce jego wciąż z jednaką siłą cisnęły ramię kobiety. Wszystko odbyło się tak szybko, tak nieoczekiwanie, że Marianka odzyskała mowę dopiero, gdy znaleźli się już poza miastem.

- Niech mi pan nie gniecie ręki, to boli.

- Nie szkodzi - odpowiedział nie patrząc w jej stronę, ale z wolna rozluźnił chwyt palców. Opuścił ramię wzdłuż ciała.

- Po co pan zrobił z siebie wariata?

- Bo mi się tak podobało, proszę nie rozmawiać. Jest wiatr i zaziębi pani sobie gardło.

- Mała szkoda.

- Jak dla kogo. Czy mam zawinąć pani usta szalikiem? - spytał ostro.

Całą drogę nie padło już ani jedno słowo. Kiedy zajechali na dziedziniec, słońce krzeszło już setki iskier na białych drzewach, jakby na powitanie Marianki cały las i cały dwór przybrano pochodniami. We dworze panował zwykły ruch i bieganina.

Halinka i najmłodszy z chłopców, Kazik, szli do szkoły. Z obory dolatywał śpiew Andzi. W jadalni przy długim stole siedzieli starsi chłopcy z Grudzkim przy lekcji. Duda palił w piecach.

Janka, w długi przybrana kozuch, zamiatała podwórze.

Tomek wyskoczył z sanek pierwszy, wziął Mariankę na ręce i przeniósłszy przez korytarz, postawił ją dopiero przed Gabrysią.

- Niech matusia dopilnuje, by Marianka zjadła śniadanie i przespała się ze dwie godziny.

- Ja nie chcę, co pan wyprawia ze mną, pieszo pójdę do Lwowa!

- krzyknęła Marianka z pełnymi łez oczyma.

- Nigdzie nie pójdziesz stąd, Manon, zostaniesz z nami,

nie próbuj robić awantur, bo do niczego one nie doprowadzą mówiąc to, pomógł zdjąć kobiecie futro i boty, potem wyszedł uśmiechnięty.

Marianka chwilę patrzyła w osłupieniu na Gabiysię, której oczy śmiały się poprzez mgłę wilgoci, załamała ręce i krzyknęła:

- No widzi ciocia, co ten gałgan wyprawia ze mną?

- Ja myślę... ja myślę, że właśnie bardzo dobrze zrobił. Z tobą inaczej nie można, jesteś uparta, jak mały diabeł, moje dzieciątko.

I nagle obydwie wybuchnęły śmiechem.

Luty znowu skuł ziemię w mroźne białe kajdany. Potoki zamieniły się w kryształowe, fantastyczne grotty. Od przejmującej bieli śniegów bolały oczy.

Kowalik siedział w więzieniu i gryzł palce z tęsknoty za wolnością. Przypominał sobie dzień po dniu wszystkie lata spędzone w Martynówce; zapach piłowanego drzewa, z którego budowali ten wspaniały kurnik, to znów czuł wyraźnie woń świeżego siana lub pieczonych w polu kartofli. Śnieg pada. Jeżdżą na nartach. Z góiy, z góry białe tumany zasypują oczy, człowiek ma ochotę zakopać się w chłodnym puchu. Zrywał się z pryczy i biegał jak szalony po małej celce, i jęczał głucho. Czuł ból we wszystkich mięśniach i kościach.

Pole, pole szerokie, szare; trzeba orać, chodzić wolno za pługiem. Halinka biegnie ku niemu, wiatr rozwiewa jej złote włosięta. Porwie ją na ręce, zanieśie wysoko na połoninkę i natnie jej ostów, które tak lubi.

- Pokaż mi capka, pokaż mi capka.

Siedzą cichutko na zrębie godzinę, dwie. Rączki dziewczynki oplatają mu szyję. Słyszą cienki, zabawny pisk. Bieg-

nie w podskokach sarenka, za nią capek; sarenka nagle zatrzymuje się, zwraca główkę w stronę capa, czeka, a gdy ten w podskokach dopędza zalotnicę, już znowu zaczyna krążyć po zrębie, wreszcie znika w cieniach lasu.

Pewno znowu popsuła się maszynka do mięsa, kto zreperuje, kto o nim pamięta? Kowalik rzuca się na pryczę i zaczyna szlochać głośno, rozpaczliwie.

Czasem znowu modli się:

- Daj Boże, żebym ja jeszcze raz mógł tak poganiać na słońcu, żebym się jeszcze mógł tak spocić przy robocie, żebym jeszcze z Halinką po górach za capkiem pochodził, aby jeszcze raz, o Jezu... aby jeszcze raz. Z chłopakami pośpiewał, maszynę Halusi, maszynę Halusi... Okulary ciotce zreperować, bo złamane. Na grób pana, o Jezu!

Poprosił o papier i ołówek. Rysuje dwór i wszystkie zabudowania, i krowy, i konie, rysuje Gabrysię i Mariankę. Halinka jest wszędzie i zawsze ma skrzydełka. Tomek uśmiechnięty.

Chłopcy piłujący drzewo, a tu on, Kowalik, pasie krowy, tu znowu on sam czyści konie albo reperuje pług, albo kosi.

Kowalik lubi kosić, powietrze pachnie, ptaki śpiewają, woda huczy w rzece... raz, raz, raz... kładzie się żyto albo owies.

Albo rysuje grób i na nim krzyżyk, i swoje nazwisko na tabliczce, a nad grobem Halinka jako aniołek.

Kilka razy odwiedził go Tomek, raz Gabrynia.

- Nie martw się, chłopcze. Będziesz miał najlepszych adwokatów - mówi Tomek.

Przyniósł mu piękne książki, ale cóż, najpiękniejsze książki nie świergocą jak jaskółki nad jego domem. Bo Kowalik ma, tak jak i pozostali mieszkańcy Martynówki, pewność, że to jest jego, jego rodzony dom.

A tymczasem we dworze życie płynęło normalnie szero-

kim strumieniem. Ślub Kazi na razie odłożono do czerwca. Tomek był spokojny i pogodny, ale na Mariankę nie zwracał zupełnie uwagi. Tak jakby jej nie było. Rozmawiał ze wszystkimi dziewczętami, z nią nigdy, chyba gdy trzeba było omawiać sprawy gospodarstwa, ale wtedy zawsze był Grudzki albo Gabrynia. Uważał, żeby podczas dalekich, wspólnych spacerów nie przemarzła lub nie zmęczyła się zanadto, ale wtedy uwagi kierował do wszystkich dziewcząt.

I zmieniły się role. Dawniej Marianka unikała Tomka, teraz on unikał Marianki. A młoda kobieta czuła to, widział, a serce gryzła jej zazdrość, kiedy Tomek uśmiechnął się do dziewcząt lub żartował z Kazią, lub tańczył z inną. Teraz naprawdę całą duszą zapragnęła uciec stąd, ale i to wiedziała, że jest dobrze pilnowana.

Któregoś dnia powiedziała do Gabrysi:

- Ciociu, ja bym chciała odwiedzić Kowalika. Zawiozę mu parę kwiatów z naszej cieplarni.

Cieplarnia była jeszcze maleńka, założyła ją Marianka w miesiąc po śmierci profesora. I teraz ulubione jej zajęcie stanowiło wertowanie podręczników ogrodniczych. „Jeżeli stąd kiedykolwiek wyjadę - myślała - pójdę do kwiaciarni”. Tylko nie wiedziała, co Tomek w ogóle zamierza, dlaczego ją tu więzi, co to wszystko ma znaczyć.

Gabrysia podreptała do gabinetu i wróciła za chwilę.

- Tomek pojedzie z tobą, Manon!

- To nie jadę wcale, dość mam tego, jak on mnie traktuje, czy jestem jego niewolnicą? Zamknął mnie jak w więzieniu, nie chcę, nie mogę żyć tak dłużej, raczej się zabiję, i taki człowiek, taki niegodziwiec mówił, że mnie kocha. Kłamczuch, egoista obrzydliwy, taki sam jak tamten, jeszcze gorszy. Nienawidzę go! Dla wszystkich ma dobre słowo, dla wszy-

stkich przyjacielski uśmiech, tylko mnie jednej nie widzi. Jeżeli teraz nie puści mnie dobrowolnie do Warszawy, to zrobię skandal, jeszcze mam, dzięki Bogu, kogoś, kto o mnie będzie pamiętał - wołała, drżąc na całym ciele z oburzenia. Twarz jej płonęła, nie spostrzegła nawet, jak w drzwiach stanął Tomek, oparł się plecami o framugę i złożywszy ręce na piersiach, milczał, ale w jego oczach migotały blaski.

- Marianko! - szepnęła przerażona Gabrynia.

- Niech mnie ciocia nie mityguje, ja nie będę taka niedołęga, jak ciocia całe życie; zatrzymał mnie, bo jestem wam potrzebna, zatrzymał mnie dla dobra kolonii, och, ja mu to wszystko teraz powiem...

Skoczyła do drzwi i... znalazła się w silnych męskich ramionach; oszołomiona, drżąca i bezwolna, oparła głowę na piersiach Tomka i szlochała cicho. Gabrynia zamknęła za sobą drzwi.

Tomkowi zdawało się, że niebo przyciska do piersi. Marianka powoli przestała płakać, ale nie odsuwała się od chłopca.

Wspomnienia wsiąkły w przestrzeń, zapomniała o wszystkim. Zdało się jej, że jest znowu młodziutką, świeżą dziewczynką, oddającą pierwszy raz usta kochankowi. Wszystkie uczucia, które teraz krzyczały w jej sercu, były nowe i przejmowały ją dreszczem słodkiego lęku.

- Och, Tomek, och, Tomek, czemu byłeś dla mnie niedobry, tyle dni - wyszeptała.

- Powiem ci to kiedyś, Manon, moja najdroższa, maleńka żoneczko - i kiedy uniósł lekko jej główkę i przycisnął usta do jej zamkniętych oczu, zadrżała.

- To tylko dług, Manon, to zwrot tamtego pocałunku w sankach - rzekł zdławionym głosem, patrząc na rozchylone usta kobiety, i kiedy je pocałował, doznał wrażenia, że świat

cały wiruje koło niego, a w kolorowej, zawrotnej mgłę jest tylko wyraźna blada twarz kobiety, której pragnął tak długo i boleśnie... - Manon... Manon... Manon - szeptał - teraz już wszystko będzie dobrze. Słuchaj, jeśli zechcesz, wyjedziemy stąd oboje, gdzie będziesz chciała. Znajdę sobie pracę, wpierw myślałem, że nie wolno mi założyć rodziny, że muszę być tutaj, zawsze sam, dla wszystkich, ale teraz wiem, już wiem, że mógłbym być najszczęśliwszym z ludzi, nawet na tym stanowisku, gdybyś chciała, gdybyś tylko chciała, Manon.

- Ja przecież wcale nie mam ochoty stąd wyjeżdżać, tylko chcę wiedzieć, że naprawdę jesteś mój.

- Ty maleńki uparciuchu, dawno już mogłoby tak być jak teraz, tak bym cię trzymał przy piersi i całował.

I znowu jednocześnie poczuli dreszcz, który przesiąkał każdą cząsteczkę ciała i pcha! ich ku sobie przemożnym nakazem, ale stali już naprzeciwko siebie i tylko oczy krzyczały bezgłośnie najgorętsze słowa, najgorętsze pieszczoty. Zapatrzyli się w siebie, zatonęli w sobie. Spłynęło na nich upojenie tak wielkie, że niemal bolesne.

Marianka wiedziała, że bladość opływająca twarz ukochanego nie jest tylko wyrazem żądy, ale ogromnej, czystej miłości i nieludzkiego szczęścia. To, co w tej chwili przeżywała, było zupełnie nowe. Ten ból, ten lęk, ta szalona, zawrotna radość, o, czyż była kiedykolwiek czyjąś żoną? Nieprawda, to zły sen.

Jedno jest tylko istotne: ta chwila rozkoszy, w której teraz tonie Marianka, tonie i uśmiecha się leciutko, nie ma już nic, oddała wszystko Tomkowi, i ginie z radości. Nowe życie, inne niż dotąd. Wszystko się przecież dopiero zaczyna, a jaka młoda jest Marianka. Na progu życia, na progu życia i już nie sama przekroczy ten próg.

Sekundy i minuty płynęły. Zastukała i weszła Gabrysia z

trochę niezdecydowanym, trochę zaleknionym uśmiechem.

- Bo jakbyście mieli jechać do Kowalika, to kazałam zaprzęgnąć.

- No to jedziemy, prawda," Tomku? - spytała Marianka.

- Jedziemy - podszedł do matki i szepnął do ucha - Będziesz kochała synową?

Marianka wybiegła z pokoju. Ogarnęło ją zawstydzenie. Sama się sobie dziwiła, ale fakt pozostawał faktem. W korytarzu spotkała Kazię dźwigającą naręczce świeżo uprasowanych koszul, otoczyła szyję dziewczyny ramionami i ucałowała serdecznie w oba policzki. Koszule upadły na podłogę.

- A ta nasza panienka! - krzyknęła Kazia ze złością i zaczęła zbierać koszule, właśnie podniosła ostatnią, gdy naprzeciwko wyrósł pan Tomek i chciał ją wyminąć, ale taki był roztargniony, że potracił, i koszule po raz drugi zasłały podłogą. Kazia stanęła jak Niobe i szeptała:

- No... no... no, powariowali...

Nagle zawróciła w miejscu, dopędziła Tomka już na piętrze i krzyknęła ostro:

- Niech pan schodzi i składa koszule. Bronek także się kocha, a takich hec nie robi.

- Kaziuniu, przebacz i nie zawracaj głowy, nie mam czasu.

Na szczęście zjawiała się Gabrynia.

Kiedy Marianka ujrzała Kowalika, przełękła się po prostu, tak strasznie wyglądał. Podała mu kwiaty i szeptała:

- Mój kochany, mój kochany, to od Halinki, nie martw się, niedługo wrócisz do domu, zobaczysz, no zobaczysz.

Tomek zaś poszedł do kancelarii, prosząc, by Kowalika zbadał doktor.

- Mam wrażenie, że ten chłopak jest poważnie chory. Trzeba się starać, by go zwolnili za kaucją - rzekł do Marianki.

Zaraz nazajutrz wyjechał do Lwowa i wrócił dopiero po upływie trzech dni. Marianka przez ten cały czas chodziła jak we śnie.

Więc to już jest jej dom, tu będzie mieszkać z Tomkiem. Tu razem, zawsze razem, nie miała żadnych wątpliwości, żadnych skrupułów. Czowała się szczęśliwą młodą narzeczoną. Uśmiechy i wesołe, żartobliwe przycinki dziewcząt nie sprawiały jej przykrości, wprost przeciwnie. A kiedy Grudzki, całując ją w rękę, powiedział:

- Zdaje się, że mogę złożyć życzenia. Jestem bardzo szczęśliwy i wiem, że szczęśliwi będą wszyscy w tym domu...

Zarumieniła się i szepnęła:

- Myślę, że tak. W każdym razie pragnę tego gorąco.

Wieczorami zamykała się w gabinecie i pisała, pisała... Tomek przyjechał w niedzielę rano. Mieszkańcy kolonii,

wszyscy prócz Gabryni, byli w cerkwi (kościół tu nie było).

Przyzwyczajali ich do tego profesor, świąteczny dzień zawsze rozpoczynali w kościele.

Czekał więc cierpliwie na ganku i gdy ujrzał wracającą gromadkę, pobiegł naprzeciw, machając czapką. Dopadł Marianki, uniósł wysoko i krzyknął:

- Wszystko dobrze, Manon, wszystko dobrze!

Postawił ją potem na ziemi i otoczywszy drobną kibić lewym ramieniem, witał się ze wszystkimi.

- Kowalika zwolnią za kaucją, pożyczylem pieniędzy, za parę dni tu będzie, ale jest bardzo chory - odpowiadał na pytania, rozmawiał, ale cały czas Marianka czuła jego uścisk i widziała jego rozradowane oczy.



Po obiedzie weszła cicho do gabinetu i położyła przed Tomkiem zeszyt:

- Tomku... ja bym chciała, żebyś to przeczytał, jeśli potem powiesz mi, że chcesz mnie wziąć, to... to... - oczy jej zapełniły się łzami.

- Manon, ja bym wolał spalić te papierki.

- Nie, nie... musisz... nie miałabym spokoju.

- Dobrze, kochanie, ale teraz pomóż mi zestawić rachunki, zaraz przyjdzie Grudzki. Widziałem się z naszymi chłopcami, marzą o wakacjach, trzeba im posłać trochę pieniędzy, gospodarzą jak mogą, ale widzę, że ciężko. Przygotujesz, Manon, jutro dwie paczki żywnościowe, pošlemy tym zuchom. Targuj się z matulą, żeby nie żałowała miodu i szynki. Niedługo i tak będziemy bić dwa wieprze, starczy nam mięsa - ale gdy mówił, oczy jego, wpatrzone w zaróżowioną twarz Mananki, szeptały do serca kobiety zupełnie inne, przedziwnej urody słowa.

Przyszedł Grudzki i trzy głowy pochyliły się nad biurkiem. Trzy młode dusze i umysły ogarniał swymi błogosławionymi dłońmi zapal twórczy. Niby wodzowie na polu bitwy ogarniali wszystkie możliwości i w tej chwili zapominali o sobie.

Cały wysiłek skierowany był w stronę zwiększenia zasięgu wpływów zakładu. Halinka miała już osiem lat. Dwaj chłopcy na uniwersytecie szli częściowo o własnych siłach. Można było pomyśleć o wprowadzeniu nowych małych gości pod słoneczny dach Martynówki. Kazi należało dać jaką taką wyprawę Grudzki projektował budowę młyna.

- Uważasz, Tomek - kreślił na mapie - tędy można by odprowadzić boczkiem wodę z rzeki, a tu stanąłby młyn... o, masz... a tu znowu woda wróci do rzeki, ale przedtem ruszy nam kamyczki, zmiele zboże, ha!

- Musisz mi przygotować kosztorys.
- Dobrze, za parę dni będziesz go miał.
- Słyszałem we Lwowie, że w czerwcu wybiera się do nas jakaś wycieczka z Warszawy, jacyś nauczyciele czy coś podobnego.
- A, do diabła!
- Chcą zwiedzić zakład.
- No to w czerwcu młyn już będzie, pękłbym, gdyby go nie było.
- Będzie, będzie - roześmiała się Marianka - ale teraz nie jestem już wam potrzebna, mogę odejść - i nie czekając odpowiedzi, wyszła.

W jadalni Felek siedział na stole i perorował.

- Weźmiemy gałązek i poubieramy cały dom i stajnię, i oborę, i kurnik, boja wam mówię, że się pan Tomek przeprosił z panią i będzie wesele.

- No to ubierzemy na wesele.

- Nie, teraz także, będą się dłużej cieszyć, trzeba to zrobić dziś wieczorem, żeby się już od rana radowali.

Ale na to weszła Marianka, Felek zeskoczył ze stołu i rozmowa ucichła.

- Czemu nie słuchacie radia, koledzy? - spytała Manon.

- Ee... taka dziwaczna muzyka, niby do tańca, ale chyba diabły tańczą przy niej, to już wolimy harmonię Felka, a pani niech nam zaśpiewa - zdecydowała Andzia.

- No to bierz, Felek, harmonię.

Jeszcze nigdy tak pięknie Marianka nie śpiewała, jeszcze nigdy głos jej nie drżał tak miękko i aksamitnie; gdy w pewnej chwili umilkła, by odpocząć, podeszła do niej Janinka, zawsze cicha i nieśmiała, i rzekła:

- Proszę pani, ja dla pani ułożę piosenkę o jaskółce, to pani nam ją zaśpiewa, dobrze?

- Doskonale! Wiesz, będziemy sobie do tych melodii same dobierać słowa. - I Marianka ze zdziwieniem poczuła, że doskonale pasuje do tego młodego towarzystwa.

O godzinie siódmej, jak zwykle, była kolacja, po kolacji Halinka odczytała plan zajęć na dzień następny, grano jeszcze trochę w ping-ponga, i wszyscy rozeszli się spać.

Tómek siedział w swoim gabinecie i patrzył uparcie na leżący zeszytek. Nie chciał go otworzyć, nie chciał w żaden sposób zeszpeci ć czar u, który od kilku dni spowinął go w tę czowe zawoje. A jeśli tam jest pod czystą, błękitną okładką coś strasznego? Jeżeli to „coś” odbierze mu Mariankę?

Drzwi od sieni skrzypiały, po korytarzu człapały cichutko drobne stopy, ktoś szeptał, ktoś zachichotał, ktoś stuknął delikatnie gdzieś młotkiem. Tomek nie zwracał na to uwagi, wciąż patrzył na błękitny zeszytek.

W pokoju Gabrysi leżała już w nocnej koszulce Marianka i liczyła z biciem serca minuty. Gabrysia spała. Marianka zdmuchnęła lampę, tylko przy jej nocnym stoliczku maleńka, osłonięta różowym klosikiem lampeczka oświeślała tarczę zegarka.

W kancelarii Tomek przykręcił trochę światło i zadumany przebiegał myślą wszystkie chwile od dnia przybycia Marianki. Szedł ku miłości jak pod stromą, wysoką górę, ale na samym szczycie ujrzał niebo radosne i błękitne, świat piękny jak sen. Zdecydowanym ruchem sięgnął po zeszyt.

„Mój miły, mój najdroższy chłopcze, chcesz, bym została twoją żoną, i wiesz, jak bardzo cię kocham, i wiesz, z jaką radością przyjąłam twoje serce. Ale właśnie dlatego musisz wiedzieć o mnie wszystko, nie mam prawa ukrywać mojej

bolesnej przeszłości, bo mógłby przyjść dzień, w którym rzu-  
ciłbyś na mnie tą przeszłością jak kamieniem.

Ja się tego boję, Tomku, nie chcę dożyć takiego dnia, lepiej  
teraz, od razu, powiedz, czy sądzisz, że będziesz mógł ze  
spokojnym sercem nazwać mnie żoną. Ja wciąż jeszcze tę nazwę  
traktuję jak coś świętego. Jest w niej największa pieśczo-  
ta, największa słodycz i powaga.

Kiedy wychodziłam za Eryka, byłam młodą, naiwną dzie-  
wczyną, lubiłam śpiew, taniec, muzykę, kochałam kwiaty i  
dzieci. Mogłam całymi godzinami biegać po lesie lub łące,  
potrafiłam razem z dziećmi fikać kozły i grać w berka. Wszy-  
stko wydawało mi się piękne i radosne. Myślałam, że świat jest  
mój! Na ogół byłam lubiana, choć nazywano mnie małym  
głuptaskiem.

Wiesz czemu? Oto nie znosiłam knajp. Nie mogłam pić. Bibki,  
w których brały udział moje koleżanki, przyprawiały mnie o  
mdłości, ale ja wolałam iść przed siebie szeroką drogą za  
miastem i słuchać muzyki gwiazd, tak jak mnie uczył profesor.  
Ty pewno wiesz, jak pięknie gwiazdy grają. Tańczyć lubiłam  
bardzo, ale dla samej przyjemności tańca, a nie dla znalezienia  
sposobności wtulania się w męskie, nie zawsze miłe ramiona.  
Nie umiałam kłamać, bo kochałam swoją młodość, a profesor  
uczył mnie, że kłamstwo zabija młodość i urodę. Zawsze byłam  
wesoła i zawsze miałam humor, a chłopcy mówili o mnie  
„dziewczyna z temperamentem”.

Poznałam Eryka w chwili, gdy do mojego serca zaczęły pukać  
marzenia o miłości. Która młoda dziewczyna nie marzy? Byłam  
więc jedną z wielu, ale moje marzenia miały wszystkie barwy  
tęczy. Śniłam o miłości jak o czymś wspaniałym, mocnym i  
świętym. Zdawało mi się, że gdy pokocham, gdy zostanę żoną,  
wtedy drogę życia mojemu miłemu uścielę ró-

żami. Swój własny domek, dzieciątko, szereg dni spędzonych ramie przy ramieniu, czyjeś dobre, wierne oczy, słowa gorące, wspólne tajemnice, wspólne smutki i radości. Praca!

W taki czas poznałam Eryka. Zaimponował mi wiedzą, elegancją, oszołomił tysiącem pieśzcotliwych nazw i pocałunków. Mówił, że jestem inna od wszystkich, że wniosłam w jego życie słoneczny blask i zapach jaśminów. Tak pięknie mówił, że godzinami mogłam słuchać, to było jak muzyka. Sama nie wiem, kiedy go pokochałam.

Ślub, potem my sami we dwoje, och, ale to nie było zupełnie tak, jak sobie wyobrażałam, myślałam jednak, że Eryk jest mądrzejszy ode mnie, więc musi być tak, jak on chce.

Potem... no cóż, Eryk chciał ze mnie zrobić jakąś piękną lwicę salonów, jakąś madame Pompadour, ciągał mnie po knajpach i dancingach, noc w noc, musiałam śmiać się, tańczyć i śpiewać, musiałam być czarującą dla tych jego kolegów, których nie cierpiałam, dla jakichś starych, wstrętnych satyrów, co mi obśliniali ręce i nazywali polnym kwiatkiem, i klepali Eryka po ramieniu. Dla tych pań, co w mojej obecności zarzucały mu ręce na szyję i plotły świństwa, od których dostawałam gęsiej skórki z obrzydzenia. Kiedy czasem przytuliłam się do Eryka w towarzystwie, robił mi w domu awantury.

- Czyś ty oszalała! Co to za afiszowanie uczuć przy ludziach, to dobre w domu, idiotko; pomyślą sobie, że jesteśmy przedpotopową parą, stróżka zawsze z ciebie wyłazi.

Nie pozwolił mi hodować innych kwiatów jak kaktusy, kupił jakieś dziwaczne, pokręcone meble, jakieś ohydne obrazki.

Kiedy mu powiedziałam, że spodziewam się maleństwa, wpadł w furję, musiałam iść na operację. Kiedy kilka razy zrobiłam mu ostrą uwagę, że nie zniosę, aby w mojej obecności całował inne kobiety, nazwał mnie gęsią.

- Rób to samo, co ja... czy ci bronię? Jesteś nudna jak olej rycynowy.

Ale ja go przecież kochałam. On był moim pierwszym mężczyzną. Wreszcie kiedyś oznajmił:

- Moja droga, mam dość tej sielanki, myślałem, że dasz mi nowe wrażenia, ale ty zawsze byłaś kuchcią i zostaniesz nią do śmierci, idźże sobie swoją drogą. Wolałbym poślubić córkę mamuta, chcę żyć pełną piersią, a ty jesteś mi kulą u nogi. Zabieraj manatki i wynoś się.

Wtedy coś się we mnie rozdarło. Czułam, że ogarnia mnie szaleństwo. Krzyczałam z rozpacz, mówiłam, że zrobię wszystko, co mi każe, ale to go nie wzruszyło.

Ból mnie oślepił. Godzinami leżałam w łóżku, gryząc poduszki. Tęskniłam do niego. Och, jak strasznie tęskniłam. Ubierałam się w te suknie, które lubił, w których byłam półnaga, i chodziłam z Hermanem do teatru, na dancingi, do kawiarni, by go choć z daleka ujrzeć. Kłaniał się uprzejmie, uśmiechał się, raz nawet, gdy byłam w towarzystwie kilku panów i udawałam lekko wstawioną, podszedł, przywitał się, zapytał o zdrowie i wrócił do swego stolika, do Luli.

I wtedy wstąpiłam do „Wesołego Teatryku”, i wtedy spróbowałam żyć jak wiele innych. Zaczęłam się afiszować z pewnym eleganckim oficerem, myślałam, że może zapomnę, może znajdę inne nowe szczęście. Ten nie sprawił mi cukierkowych komplementów, ale powiedział wprost:

- Pani jest moim typem, ja nie mam zwyczaju błagować o szalonej miłości. Lubię pasjami pani głos, pani figurę, działa pani na mnie jak wino i chcę panią mieć.

Odwlekałam ten moment jak mogłam, spotykałam się z nim tylko w publicznych lokalach, ale spostrzegłam, że zaczyna go to nudzić. Zostałam jego kochanką, ale nie powiedzia-

łam mu nigdy, że go kocham, nie mogłam, rozumiesz, nie mogłam.

Byłam już zmęczona bólem i tęsknotą, przypuszczałam, że w jego ramionach zapomnę, ale czy tak łatwo można zapomnieć o rozbitym życiu?

I nie wiem, co mu się stało, ale powiedział mi raz:

- Wiesz? Wpadłem! Uważam, że jestem w tobie zakochany.

- No to co? - odparłam, ale zdjął mnie niewytłumaczony lęk.

- Nic! Najchętniej wziąłbym cię z teatru do siebie na zawsze.

Ale ja przecież nie kochałam go, Tomku... lubiłam tylko, bardzo lubiłam. Czarowały mnie jego pieszczoty, ale wciąż jeszcze łudziłam się, że może Eryk... może... Pod wrażeniem chwili chciałam powiedzieć: dobrze, ale przypomniałam sobie, że nie chcę być dobrą i uczciwą. Może wtedy znudziłabym się i jemu.

Nie, lepiej być „nie zdobytą”, więc powiedziałam:

- Mój chłopcze, przykro mi, ale nic z tego nie będzie.

- Dlaczego? - spytał zdumiony.

- Bo nie chcę.

Ale brak mi było siły woli, by powstrzymać łzy. Klęknął przy mnie.

- Ależ dziecko, ja ciebie naprawdę kocham.

- Wszyscy tak mówicie... nie... zostaw mnie w spokoju.

I więcej do niego nie poszłam. On także czuł się głęboko dotknięty i nie prosił o spotkanie.

Potem przyszedł pewien młody malarz. Ten był zawsze cichy, smutny, subtelny. Nie wiodło mu się w życiu. Nie umiał malować modnie. Kiedy rysował kobietę, każdy poznał, że ma na płótnie kobietę, kiedy kwiat, to kwiat. Dlatego obrazy jego

nie były *en vogue*. Był biedny, prosty, samotny, ja także. Przyłgnęliśmy do siebie. Zamieszkałam u niego, pozowałam do całego szeregu obrazów. Sama sprzątałam małe mieszkanie, sama gotowałam i mogłam hodować kwiaty w doniczkach i wieszac firanki. Miałam złudzenie, że jestem w swoim domu szczęśliwą młodą mężatką. Wieczorami w teatrzyku śpiewałam, tańczyłam i zdobywałam sławę „rozkosznej kobietki”. A przed bramą czekał Janusz i maszerowaliśmy do naszego mieszkania. Tymczasem w mieście krążyła ploteczka, że jestem kochanką całego korpusu oficerów i całej malarii. Eryk zaczął przychodzić do teatru i przysyłać mi kwiaty. Trzy moje dość ekscentryczne portrety zwróciły uwagę ogółu na Janusza. Zaczął mieć szalone powodzenie wśród pięknych pań. Wtedy... wtedy... odeszłam od niego.

Byłam już sławna. Moja garderoba nie mieściła gości. Otrzymywałam listy i kwiaty. Pisano specjalnie dla mnie piosenki. Z ust do ust biegła opinia, że zmieniam kochanków jak chusteczki do nosa. Dyrektor teatru zacierał ręce. Manon stała się ogromną atrakcją.

A we mnie naprawdę wstąpił jakiś diabeł. Szalałam. Przyjmowałam zaproszenia na wszystkie biby. Kiedyś podczas wariackiej zabawy ściągnęłam na ziemię obrus z całą zastawą i podeptałam nogami. I wiesz? To tylko zwiększyło moją popularność. Kiedyś na dancingu zaczęłam strzelać do luster. Na zajutrz otrzymałam od Eryka kwiaty i bilecik: „Jesteś zachwycająca”.

W tym czasie przyplątał się do mnie jakiś młody, ale szalenie bogaty inżynier. Przedstawił mi go... mój rodzony mąż.

Powiedział przy tym:

- No, jeżeli uda ci się zawojować i skruszyć tę marmurową kolumnę, będziesz geniuszem, Manon.



Ogarnęła mnie wściekłość. Więc tylko tyle miał mi do powiedzenia? Zaczęłam bałamucić inżyniera. Muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie. Był bardzo piękny i taki chłopięcy. Zapalony sportowiec i myśliwy. Nie chciał nigdy spotykać się ze mną w lokalach, tylko na powietrzu, a ja to przecież lubiłam, tęskniłam do powietrza. Wyjeżdżaliśmy jego autem daleko, daleko. Ale jaka byłam szczęśliwa. Kiedyś powiedział:

- Zupełnie nie mogę zrozumieć, co pani robi wśród tej zgrai snobów, przecież pani jest zupełnie inna.

- A skąd pan o tym może wiedzieć?

- Widzę i czuję. Diabli mnie biorą, jak pani, taka słodka i wiośniana, przechodzi z ramion w ramiona, szafuje uśmiechami i pocałunkami.

Zaczął bywać u mnie prawie codziennie i przywiązałam się do niego. Było mi z nim dobrze. Mieliśmy wspólne zainteresowania i poglądy. W jego towarzystwie nie potrzebowałam grać roli demona, bo zaraz się śmiał.

- Maleństwo, nie małpuj. Bądź sobą.

Zaczęłam jakoś lżej oddychać. Wreszcie przyszedł dzień, w którym zostałam jego narzeczoną. Prosił, bym rzuciła scenę. I ja już miałam jej dość, zaczęłam myśleć o lepszej przyszłości.

Obiecywał, że po ślubie wyjedziemy na wieś do jego majątku.

Widziałam, że kocha mnie szczerze i serdecznie. Kiedy przytuleni do siebie w moim małym, pełnym kwieciami pokoiku snuliśmy projekty na przyszłość, znikła pamięć pomnych dni, byłam niemal zupełnie szczęśliwa, zwłaszcza gdy zabronił mi występować.

- Jesteś moja i nikt nie ma prawa oglądać twoich wdzięków i słuchać twego słodkiego głosu. Będiesz śpiewała dla mnie.

O, czy to nie było piękne, Tomku?

Uchodziliśmy za oficjalną parę narzeczonych, tak jak było w istocie. Warszawa osłupiała. Eryk jakoś przestał odbierać mi spokojny sen. Powiedziałam sobie: „Trudno... Przepadło! Muszę temu drugiemu ofiarować wszystko, co mam najlepszego”. Aż któregoś dnia zjawiała się u mnie jakaś elegancka, starsza dama.

- Pani jest kochanką mego syna? - zapytała prosto z mostu.

- Kochanką? Nie. Jestem jego narzeczoną.

- Proszę sobie wybić z głowy podobne bzdury. Ten chłopiec ma wielką karierę przed sobą. Nie możemy pozwolić, by poślubił osobę nie z towarzystwa. Gdyby ośmielił się wprowadzić panią pod nasz dach, zostanie pani wyszczuta psami. Przypuszczam, że to zerwanie zbytnio nie zakrwawi pani serca. Takie osoby łatwo zmieniają pieniądze i kochanków. Oświadczam też, że niech pani nie próbuje żądać odszkodowania, bo może się to smutno skończyć. Zresztą, chyba dość stracił na panią pieniędzy. I powtarzam, psami wyszczuję.

- Tymczasem proszę opuścić moje mieszkanie, i to jak najprędzej. Nie mam wprawdzie psów, ale wystarczy zimna woda - mówiąc to, chwyciłam dzbanek z wodą. Uciekła trzaskając drzwiami. Witold nie odwiedził mnie tego dnia. Czekałam do późnego wieczoru. Wreszcie pojechałam do mojego pierwszego kochanka. Okazało się, że czcigodna mama wywiozła swego jedynaka za granicę, a on nie miał siły walczyć z rodziną.

Kiedy wróciłam wtedy rano do siebie, po nocy spędzonej u pocieszyciela, upiłam się do nieprzytomności i chorowałam parę dni. Nie znoszę alkoholu, zawsze miałam do niego wstręt.

Gustaw siadywał przy mnie całymi godzinami.

- Może już masz dosyć tych głupstw, Manon?
- Chciałabym umrzeć.
- Na to zawsze będzie czas.
- Chciałabym przekonać Eiyka, że umiem żyć tak, jak on lubi.
- To nie dla ciebie, Manon. Ale cóż będę sobie język strzepił na próżno. Miłość jest ślepa.

I znowu wróciłam do teatryku, i co dzień widywałam Eryka, i myślałam chwilami, że porwie mnie ze sceny i zanieśie do domu, tak jak ty, Tomku, z pociągu, ale on tylko patrzył z daleka i uśmiechał się.

A mnie było tak podle, jakby ktoś mi stale szarpał serce, chwilami myślałam, że oszaleję z dziwnej, nie nazwanej tęsknoty. To znowu płakałam godzinami za moją utraconą młodością, bo w oczach swoich i w sercu widziałam starość. Szukałam rozpaczliwie nowej miłości i nie mogłam znaleźć! Eryk wciąż tkwił w głębi duszy. On i pamięć upokorzenia.

Wreszcie przyjechałam tutaj, do tego pałacu wśród gór, i nagle ujrzałam tu moją nową miłość, wielką i potężną, i piękną jak góry i niebo ponad nimi. Ale przelękałam się, że nie mam ci co dać, ukochany, że nie mam prawa przyjąć twego serca. I jeszcze trochę bałam się, że może będziesz taki jak inni.

Ale nie potrafię żyć bez ciebie, najmilszy chłopcze. Dla ciebie tu rozkwitłam, odzyskałam swój uśmiech. I młodość swoją przywołałam z dalekiej drogi. I rumieńce wstydu i wzruszenia. Obmyłam się we łzach cierpienia. Jestem czysta, Tomku, i chciałabym wziąć na siebie wszystkie twoje smutki i kłopoty, chciałabym zawsze być dla ciebie uśmiechnięta, i nie opuszczać tego domu nigdy, ale razem z tobą otwierać szeroko jego podwoje dla małych i większych smutnych dzieci, tęskniących do słońca, które mnie uzdrowiło. I razem z tobą odwie-

dzać grób profesora, i mówić mu: „wszystko dobrze, staruszk".  
I razem z tobą kochać naszą Gabrysię.

Kiedy podchodzisz do mnie, serce ogarnia mi takie słodkie  
wzruszenie, że chce mi się płakać, i taki płomień, że boję się  
uścisku twych ramion. I marzę jak szesnastoletnia dziewczynka  
o twoim pocałunku. A gdy słyszę twoje kroki, mam ochotę  
uciekać.

I co ci jeszcze mogę powiedzieć, mój jedyny... Chyba przepiszę  
słowa piosenki:

*Gdybym swą miłość mogła zmienić w złoto, Byłbyś wśród  
królów najbogatszy w świecie. Lecz choć swe serce oddam ci z  
ochotą. Tego nie zdołam. A ty sam wiesz przecie, Żeś jest mym  
królem. W moich marzeń kraju Chodzisz jak władca w złocie i  
purpurze, Jak orzeł jesteś szybujący w górze, Jesteś jak wichur,  
co przed sobą żenię Małe serduszko w szczęście i płomienie...*

I teraz czekam, co mi powiesz... Twoja, Twoja  
Manon "

Tomek zamknął zeszytik, potem, jakby sobie coś przypomniał,  
otworzył go znowu, wydarł ostatnią stronicę i schował do  
portfela. Wstał, rozgarnął jeszcze tlejące węgle w piecu, włożył  
zeszytik i przytknął zapalnik. Poczekał, aż papier spłonie,  
zamknął piec i wyszedł na korytarz. Tu było ciemno, ale uderzył  
go zapach świeżej zieleni. Z jadalni dobiegały cichutkie szepty,  
ale już nie zwracał na nie uwagi, szedł prosto do

pokoju matki. Zajrzał przez dziurkę od klucza, migocze słabe światełko.

Zapukał leciutko.

- Proszę - cichy, drżący głos.

Marianka leżała na białej poduszce, sama biała jak lilia, tylko rzęsy ciemniały na twarzy jak dwa czarne, uśpione motyle.

Tomek klęknął przy łóżku i wzięwszy dłonie Marianki w swoje ciemne, twarde ręce, powiedział zdławionym głosem:

- Manon! Moje maleńkie słoneczko, czy nie chcesz mi nic powiedzieć na dobranoc?

Teraz jej twarzyczka zakwitła rumieńcem, uśmiechnęła się i nie otwierając oczu, szepnęła:

- Teraz chciałabym umrzeć...

Gabrysia, zbudzona dziwnymi szmerami, otworzyła oczy, przetarła je i ujrzała Tomka, siedzącego na przeciwległym łóżku. Przyciskał do piersi główkę Marianki, która szlochała głośno.

- Co się stało? Znowuście sobie nawymyślali? - krzyknęła zmartwiona.

- Nie, nie, matusiu, to tylko twoja synowa oplakuje mój wolny kawalerski stan.

Ułożył ją wygodnie, otulił kołdrą i szepnął do różowego uszka:

- Niedługo sam ukołyszę cię do snu, moje maleństwo. Z rana jadalnia przedstawiała niezwykle widok. Ściany przybrane zielenią, stół zastawiony odświętnie. Wszyscy, staranniej niż zwykle ubrani, stali wokoło z poważnymi minami. Felek przy drzwiach z harmonią.

Tomek od samego rana czatował na Mariankę:

- Manon, nie mogę się ciebie doczekać. Pójdziemy ra-

zem. Grudzki mi powiedział, że dzieciarnia coś uknuła. Wziął ją pod rękę i wprowadził do jadalni. W tej samej chwili Felek zaczął na harmonii *Sto lat*, a wszystkie młode gardła odśpiewały cantatę z wielkim zapałem. Po czym wystąpił Duda. - Dowiedzieliśmy się, że panicz chce zabrać naszą panienkę... Cieszymy się bardzo i niech wam Bóg błogosławi. Obydwoje młodzi ucałowali chłopaka, który uległ tak gwałtownemu wzruszeniu, że zwiął z sali i chodził po korytarzu wielkimi krokami.

Śniadanie przeszło w uroczystym, radosnym nastroju. Potem Marianka podeszła do Kazi i objąwszy ją wpół, rzekła:

- Musisz, koleżanko, szyc dwie białe ślubne sukienki. Bardzo bym chciała, żeby były jednakowe.

Od tego dnia szczęście opłynęło Mariankę. Spadła na nią ulewa blasków, barw i woni. Stapała niby po czarodziejskim kobiercu, powietrze dokoła niej pełne było szeptów tajemniczej muzyki. Serce kobiety rosło i śmiało się niby krzew, osypany różami, do słońca. Dokonywało się w tej młodej duszy przedziwne misterium. Kobieta zakwitła niby młode drzewo i pora nastawała, aby z kwiecica rodził się owoc.

O pewnej szarej godzinie siedziała wraz z Tomkiem w pokoju Gabrysi przed kominkiem. Za oknami, wśród wschodzących gwiazd, spacerowała cisza. We mgle klękały góry. Młodzi patrzyli sobie uparcie w oczy. Pierś Marianki pracowała silniej, ale oddychała z trudnością. Razem z uśmiechem gasł rumieniec, oblewający dotąd jej słodką twarz. W końcach palców uczuła jakby tysiące szpileczek. Szepnęła z wysiłkiem:

- Tomek... nie patrz na mnie.

- Czemu? - odszepnął wstając. Pochylił się nad kobietą, otoczył ramieniem.

- Nie powinniśmy zostawać sami. Tak dziwnie, tak dziwnie... Nie znałam tego uczucia. Tomku! I boję się go nazwać.

- Czy nie jest piękne, Manon?

Ale i Tomek dopiero teraz uświadomił sobie, że pragnie Marianki całą siłą swego młodego, zdrowego organizmu,

- Zagryzłbym cię na śmierć, zadusił. Czuję lęk przed samym sobą, Manon. Czy ty wiesz, czy ty rozumiesz, co to jest pragnienie?

- Teraz już rozumiem! Tak, i dlatego puść mnie... Nie chcę...

- Chcesz!

- Tomek, zlituj się, już niedługo! Nie umiem ci wytłumaczyć, ale niech mam złudzenie, że... och, to tak trudno mówić, mój kochany, mój kochany, zrozum... - prosiła drżącym głosem. Jej drobne, białe ręce trzepotały rozpaczliwie.

Wrócił na swoje miejsce, ale nie spuszczał wzroku z białej twarzy.

- Będę się musiał mocno trzymać, Manon. Chwilami budzisz we mnie zwierzaka.

- Powiem ci coś na ucho, ale siedź spokojnie. Podeszła, otoczyła ramionami złotą głowę chłopca i szeptała cichutko:

- Teraz już wiem, co to znaczy pragnąć. Nie nauczył mnie ani Eryk, ani nikt, tylko właśnie ty.

Uciekła z pokoju. Tomek został na miejscu, pogrążony w morzu płomiennego szczęścia.

Pod koniec marca, pewnego popołudnia, przed dwór zajechało auto; dwóch policjantów wyprowadziło bladozielonego wynędzniałego człowieka, w którym trudno było poznać dawnego zucha Kowalika. Kiedy stanął na progu domu, zemdlał.

Naprzeciw chłopca pierwsza wybiegła Gabrynia. Z pomocą policjantów podniosła biedaka, posadziła na ławce i nacierała skronie octem. Odzyskał przytomność.

- O, mój Boże, jestem w domu.

- Jesteś, synku, jesteś.

- Nie na długo, ciociu, na dwa tygodnie tylko. Potem znowu do klatki.

- Nie myśl o tym, dziecko. Chodź, przywitasz się ze wszystkimi. Naumyślnie nie pozwoliłam, by od razu gwałt robili.

Tymczasem drzwi od jadalni skrzypnęły leciutko i Kowalik pomyślał: „Aha, trzeba będzie naoliwić”. Nie miał jednak siły powstać z ławki. Dobrze było siedzieć w pachnącym, jasnym korytarzu obok tej dobrej kobiety, która zastępowała mu matkę. Nagle ujrzał Halinkę, idącą na paluszkach wzdłuż ściany w jego stronę.

- Halusia! - zerwał się i wyciągnął ręce.

Z dzikim krzykiem Halinka skoczyła ku Gabrysi i ukryła głowę w jej kolanach.

- Niech on mnie nie rusza, boję się... boję się! Kowalikowi opadły ręce. Poczzerwieniał, drżącymi wargami wyszeptał:

- Ona się mnie boi... ona, Halusia.

Ten szept był taki przejmujący, że dziecko podniosło głowę.

- Czemuś zabił Żyda? To źle!

Zakrył twarz dłońmi. Usłyszał głos Tomka.

- Halinko, pamiętasz, jak zbiłaś pieska za to, że cię ugryzł?

Piesek był maleńki i głupi, nie wiedział, jak bawić się z taką dużą osobą. Było ci potem wstyd i żal. Za karę nie poszłaś na spacer, a potem znów wszystko naprawiło się,



zapomnieliśmy o twoim brzydkim postępku. Nasz przyjaciel także pokutuje za swój grzech i trzeba, byśmy go kochali jak dawniej. Chodźcie, Kowalik, czekają już na was.

Wziął go pod rękę i wprowadził do jadalni. Obecni podawali mu dłonie i witali spokojnie, ani słowem nie wspominając o więzieniu.

Wieczorem, gdy udawano się na spoczynek, Halinka podeszła do niego i wyciągnęła rączkę.

- Ja się ciebie już nie boję, Szymuś, i będę cię kochać jak poprzednio. Tylko prędzej bądź dobry i zrób tę swoją pokutę, tak jak ja, i potem to się zapomni. Jak ja coś przeskrobie,' wiesz, to bardzo mi smutno, bo myślę, że wszyscy mnie nie' lubią, ale jak się poprawiam w kącie albo sama jedna w domu, to już jest dobrze. Raz za karę nie poszłam do owsa, wszyscy poszli do owsa, pamiętasz? Tylko mnie nie wolno było nic robić, płakałam i płakałam, a potem Tomek mnie ucałował i znowu kochał. No już, rozumiesz?

- Rozumiem - pocałował jej małe, śmieszne łapięta. Dwa tygodnie odpoczywał Kowalik po męce zamknięcia.

Przez ten czas dwoił się i troił. Chciał pracować za wszystkich. Chciał robotę całych tygodni zrobić jednego dnia. Ale któregoś wieczoru zapukał do kancelarii. Było już po szóstej.

- No, co tam nowego, Szymek?

- Proszę pana, jutro mają po mnie przyjechać. Ja bym chciał już dziś po cichu to załatwić. Niech już przed tym domem nie kręci się policja i niech pan się nie stara, by mnie uwolnili. Muszę odpokutować, inaczej nie wolno mi tu wrócić. Ja też mam honor, źle zrobiłem, wiem. Może mi Bóg przebaczy, gdy pokutę odbędę, i Halusia!

Marianka podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Wszyscy będziemy na pana czekać i modlić się o jego

spokój. Cierpienie oczyszcza. Gdy pan znowu do nas wróci, przyjmiemy go tak-jak dobrego przyjaciela. Każde z nas na pewno przeszło w życiu jakieś piekło, jesteśmy tylko ludźmi. Niech pan pamięta, że nigdy nie jest za późno zacząć inne życie, skoro to za nami było złe i męczące.

- Będę o tym pamiętał. Zostańcie państwo z Bogiem.

- Jeszcze chciałabym, żeby pan co dzień rano i wieczór odmawiał tę dziecinną modlitwę, którą my tu śpiewamy: *Święta Maryjo Królowo, Błogosław dzieciom na ziemi. Zapal nam słońce nad głową, Módl się za nami gnesznymi. Za wszystkie zgasłe uśmiechy, Za serca, co giną w mroku, Za wszystkie łzy, smutki i gizechy, Módl się, Królowo Obłoków.*

Kowalik wpatrywał się w jasną twarz kobiety jak w obraz święty, poruszał wargami, ale nie słychać było nawet szeptu. Wreszcie skłonił się głęboko, głęboko i wyszedł. Za jakieś pół godziny cicho drgnęły dzwonki u upręży. Szymek odjechał. Kwiecień już był, a śnieg wciąż leżał na górach. W dole za to nogi grzęzły po kostki w błocie. Ale od świtu do mroku godzin było wiele, a w każdej grało już tchnienie wiosny. Kolonia wrzała jak ul, rozpoczęły się roboty w polu i ogrodzie. Dzień cały młodzież spędzała pod gołym niebem, słońce złociło twarze, brunatniały drobne, pracowite ręce. Od gór zaczęło dmuchać szeroką wonią, która przyprawiała krew o żywsze krążenie. Zagrały dzwonki; tu i tam cienki głosik pasterki

przeszywał ostro powietrze, a słońce powoli, ale stale wypijało śnieg, i nagle tak wiosna wybuchła, jak złoty i pachnący płomień, jak lawa z gór wyrzucona rozlała się po zboczach i dolinach, zasypała kwieciami łąki i zręby, zazieleniła lasy, z nieprzebytych gęstwiny powypędzała zwierzynę na słońce. Powietrze drżało jak struny harty, uśmiechnięci aniołowie kładli na nich palce i dlatego w ciszy poranków i wieczorów szła doliną jakaś przedziwna muzyka, od której czaru omdlewały serca. Na każdym drzewie, na każdym listeczku siedziała roześmiana radość, po zrębach wśród młodziutkich i miękkich traw razem z zającami uganiały się młode marzenia. Zdawało się ludzkim oczom, że Dobry Bóg zebrał wszystkie barwy, blaski, wonie, zadumy i uśmiechnięte tęsknice, że obrabował wszystkie pałace bajkowych królów i sypanął z góry tym bogactwem, i skromny kącik świata przemienił w młodziutki raj. A radość owa w młodych sercach zmieniała się w moc i krzepę. Prężyła mięśnie, zagrzewała krew i w błogosławieństwo zamieniała pracę.

Tomek czuł skrzydła u ramion, sam pracował niezmordowanie, ale i od wszystkich tego wymagał. Budowano młyn! Ze Lwowa zgłosił się jakiś młody bezrobotny, prosząc o pracę na czas wiosny i lata. Bo na jesień ma iść do wojska. Tomek go przyjął jako robotnika, gdyż mieszkańcy kolonii byli przeciążeni pracą. Ale nikt nie narzekał. Przeciwnie, z jakąś zajadłą pasją dopadali każdej roboty. Marianka wirowała jak motyl, zawsze roześmiana i śpiewająca.

- Moje dziecko - dziwiła się Gabrysia - skąd bierzesz tyle siły, przecież i na dobry humor trzeba mieć siłę.

- To świat jest w dobrym humorze, ciociu, a ja przecież jestem jego cząsteczką.

- Moje dziecko, świat się nigdy nie zmienia, tylko my

inaczej na niego patrzymy, zależnie od stanu duszy.

Ponieważ w tym okresie zawsze było najwięcej pracy, bo to i w polu, i w ogrodzie, i przy ulach, i przy drobiu, więc Tomek widywał Mariankę czasem tylko raz dziennie, przy kolacji, obiad noszono mu w pole, by nie tracić czasu.

Jedynie w niedzielę lub inny dzień świąteczny znajdowali godziny dla siebie. Wędrowali wtedy gdzieś daleko, w młode wiosenne słońce, i radowali się jak dzieci każdym kwiatem, każdym motylem. Świat, gdzie oczami sięgnęli, był ich, do nich należało uśmiechnięte niebo.

Tomek nie myślał o przyszłości, zapomniał o romansie z Olesią, a właściwie pamiętać nie chciał. Jego życie rozpoczęło się z chwilą przyjazdu Marianki. Miał ją w każdej kropli krwi. Znał każdy uśmiech, każdy włos, każdy ruch, a wciąż wydawała mu się nowa, coraz piękniejsza, coraz bardziej upragniona.

Teraz już wiedział, czemu dotąd, do chwili cudownego rozkwitu serca, obowiązek wydawał mu się ciężarem i męką. Oto był samotny wewnątrz i ciemny jak dzień we mgłach. Potem przyszła Marianka. Poczuł siłę swoich mięśni, poznał swoją moc. Zobaczył drogę przed sobą, a jednocześnie pierwszy raz w życiu zakosztował słodczy marzenia.

Na początku maja starsi mieszkańcy kolonii zostali zaproszeni do jednego z leśniczych wielkich lasów sąsiedniego majątku na imieniny. Nie było powodu do odmowy. Całe towarzystwo załadowało się na wóz i pojechało dziesięć kilometrów.

Obszerna leśniczówka rozbrzmiewała wesołymi okrzykami. Zjechało dużo urzędników, kilku nauczycieli z żonami lub bez. Młodzi tańczyli na ogromnej werandzie przy dźwiękach ochrypłego patefonu. Z pobliskiej gajówki dobiegał chóralny, piskliwy i zawodzący śpiew dziewcząt. Dzień był mglisty, ale ciepły. Marianka tańczyła z leśniczym i mówiła:

- Bardzo się cieszę, że pan nas zaprosił. Jak przyjemnie tańczyć na świeżym powietrzu, bardzo to lubię.

- Widać, że pani dobrze się bawi. Buzia jak różyczka i oczy jak gwiazdy.

Te komplementy nie sprawiły Mariance przykrości. Były szczerze. zaproponowała potem „ślepą babkę”. Sama biegała i krzyczała najwięcej jak mała dziewczynka. Rozhasało się towarzystwo niby wypuszczone ze szkoły łobuziaki.

Tomek rozgorzałymi oczyma śledził narzeczoną i przypominał sobie słowa profesora: „Ona jest jak kwiat”. I wszyscy byli, widać, tego zdania, bo spoglądali na kobietę z zachwytem, ale nie tylko na nią. I Kazia, i Andzia, i Janinka uzyskały ogólną sympatię, wszystkie miały w sobie wdzięk i prostotę, wszystkie były szczerze i serdeczne po koleżeńsku, ale bila z nich godność i duma kobieca, takie dziś rzadkie zjawisko.

Nagle po dziedzińcu zadudnił motocykl. Jeszcze nowi goście. Młody buchalter z żoną Olesią. Wydobyła się z kosza i poczęła rozglądać dokoła. Podskoczyła w stronę chłopców z wesołym, trochę gardłowym śmiechem.

- Serwus, panowie, jak się macie, chłopaki kochane. Obstało ją grono mężczyzn, promieniała, klepała ich po ramionach, pociągała za włosy, obejmowała za szyję, wreszcie podskoczyła do Tomka.

- Jak się masz, dziedzic, daj pyska, dawno cię nie widziałam, w kogo teraz wsiąkłeś?

Marianka, siedząc na balustradzie ganku, zbladła mocno.

Dziewczęta z kolonii spoglądały na siebie z zakłopotaniem, ale nie wiedziała żadna, jak mocno bije w tej chwili serce Marianki, jaki ostry ból przenika na wskroś ciało kobiety. „To jest ta, która całowała Tomka, która go nauczyła całować, czemu nie ja, czemu nie ja? Czemu nie mogę być dla niego

pierwsza, i on mój jedyny, tylko on, nikt przed mm". Jak jasirzębie spadały te myśli błyskawicznie na serce Marianki. Nie patrzyła więcej na Tomka, ale usłyszała jego spokojny głos:

- Pani daruje, nie miałem czasu na wizyty, jestem tu z narzeczoną.

Olesia roześmiała się głośno i skoczyła do dziewcząt.

- Jesteśmy stare znajome... no, która z was odziedziczyła Tomka? Pani zapewne jest nowym nabytkiem przybytku cnoty? Marianka uścisnęła lekko podaną jej z kolei dłoń Olesi.

- Nie jestem nabytkiem, nazywam się Marianka Turów-na i...

- To właśnie moja pani - wtrącił Tomek, biorąc ją pod rękę - moja mała, kochana pani!

Olesia spaşowiała, oczy jej zamigotały złośliwie, , ale w. głębi duszy, pustej, bezmyślnej duszy dźwięknął cichutko żal pytania: „Dlaczego nigdy mnie tak nie nazywał? Czy nie ja nauczyłam go miłości?" Gdyby Tomek usłyszał to pytanie, mógłby śmiało odpowiedzieć: „Nauczyłaś mnie tylko pocałunków, nauczyłaś zaspokajać głód zmysłów".

- No, winszuję pani, będzie pani miała z niego pociechę, jest bardzo namiętny.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem i pociągnęli Olesię do swego grona, ale Mariankę świerzbił język, podeszła ku nim i z wesołym uśmiechem rzekła:

- Miła pani, jeśli pani będzie z podobnym zapalem sprawdzała zdolność wszystkich męskich znajomych, to wkrótce zabraknie pani siły, no i urody. A wtedy pozostanie pani jedyne wyjście: egzaminować ślepych albo bardzo starych.

To jej ulżyło, zwróciła się do Tomka:

- Czy nie masz ochoty zatańczyć ze mną jeszcze jednego walczyka?

Właściwie z rozkoszą wróciłaby do Martynówki, ale powstrzymywała ją obawa, że Olesia może pomyśleć: „A jednak boi się o Tomka”. Nie, właśnie wcale się nie boi, czuje wprawdzie ból, ale obawa? Wszystkie obawy są już poza nią.

Taki ból czuje każda kochająca kobieta, gdy myśli o przeszłości swego wybranego i pastwi się nad swoim sercem domysłami: „Ile było przede mną, jakie słowa pieszczotliwe słyszały, jakimi były pocałunki i chwile rozkoszy?”

Z uśmiechem wirowała, zamknięta w ciasnej obręczy Tomkowych ramion, słuchała szeptu:

- Moja najdroższa, moja jedyna, mój zuchu, nie ma przeszłości, jesteś tylko ty i życie przed nami jak góra. A kiedy przejdziemy kawał drogi i spojrzymy za siebie, to zobaczymy samo piękno, nie można z wysokości dojrzeć brudnego kamienia, leżącego w pyle drogi. Zasłaniają go drzewa. Jesteś ty, jesteś moim sercem. Jak pięknie tańczysz, Marianko!

Kazia, przytulona do boku Bronka, mówiła z przejęciem:

- Dobrze, że ta wydra nie kusiła ciebie, bo bym jej z miejsca ślipie wydrapała, a dziś poprawiła.

Grudzki ucałował czerwoną rączkę.

- Zawsze myślałem o tobie, Kaziu.

I to jej wystarczyło, nie wypytywała o nic więcej, a Grudzki nie widział potrzeby opowiadać o pewnej nocy na stogu siana.

Kochał swoją zapalczywą kobietkę o czerwonych, pracowitych łapkach.

Przy kolacji zaczęły krążyć kieliszki. Marianka, mimo usilnych nalegań nie chciała pić.

- Darujcie, nie znoszę alkoholu, choruję potem. Olesia wlewała dzielnie, dotrzymując kroku mężczyznom.

- Biedny Tomuś, jeszcze cię żona do klasztoru zagna, radzę pani z całego serca chwycić częściej kieliszek, bo taka cnotliwa, że nie zaostre apetytu, jeszcze Tomek gotów panią puścić kantem.

- Ja właśnie czuję wstręt do pijanych kobiet, pani Olesiu - rzekł Tomek - i proszę bardzo, niech się pani zajmie kim innym, dobrze?

- Phi... moim chłopcom nie zaimponuje taka „lelija”, prawda, chłopcy? Jestem czy nie jestem waszą królową? -krzyczała ochrypniętym głosem.

- Olesiu, daj spokój, Olesiu - ciągnął ją za rękę nieszczęsny małżonek.

- Cicho bądź, chodźcie dzieci do drugiego pokoju.

Za chwilę zaczęły stamtąd dobiegać piski, krzyki i chichoty. Biedny leśniczy nie wiedział, co robić. Marianka czuła się nad wyraz nieszczęśliwie, rozglądała się po ścianach zawieszonych rogami. Nagle wzrok jej padł na mandolinę.

- Nastrojona? - spytała leśniczego.

- Tak, grywam na niej często.

- O, to cudownie.

Zdjęła mandolinę, usiadła na oknie, przegarnęła palcami struny i zaczęła śpiewać:

*Już noc, już noc i zamek śpi*

*I wszystkie śpią już kwiaty,*

*Cicho... to ja! Królowo, ty?*

*Skrzypnęły drzwi komnaty...* I wychyliły się z ciemnego pokoju kolejno męskie postacie oczarowane miękkim głosem kobiety.

Olesia została sama i z zaciśniętymi ustami słuchała grzmotu oklasków. Była w tej chwili upokorzona, zła i pełna nienawiści do przybłędy, którą otaczano szacunkiem i uwielbieniem, jak zdołała spostrzec.



W jej sercu drżała gryząca zazdrość, już nie tylko o samców, o coś zgoła innego, ale Olesia nie potrafiła nazwać tego „czegoś”.

- A teraz dobranoc państwu. Jutro wcześniej trzeba stanąć do pracy - rzekła Marianka, skończywszy balladę.

W kwadrans potem Martynówka odjechała, a pozostali mieli wrażenie, że jednocześnie w cieniach nocy rozpląnęło się coś bardzo pięknego i zostało tylko wspomnienie; blade, pachnące wspomnienie czaru, jak woń subtelnych perfum.

I jeszcze parę dni rozpląnęło się niby echo po dolinach przeszłości. Tomkowi było coraz trudniej hamować pragnienie. Miał już dość walki, dość oczekiwania, przebywał z ukochaną pod jednym dachem, a myśli jego krążyły wciąż koło niej, natrętne jak muchy. Krótkie spojrzenia, przypadkowe dotknięcie ręki, ukradziony pocałunek, jakiś rumieniec, jakieś przymknięcie powiek spostrzeżone u Marianki, budziło w duszy chłopaka płomień, ogarniający z wolna, lecz stale rozum i zmysły, i wszystkie napięte jak struna nerwy.-A do czerwca było jeszcze daleko...

Marianka liczyła dni z tęsknotą. Teraz wciąż musiała uciekać od narzeczonego. Bo cóż... każdy słoneczny dzień, każde tchnienie wiatru, każda noc ciemna, chłodna, a żarem dysząca, czy też seledynowo i srebrzyście jasna, były pokusami.

Kiedyś przyłapał Tomek Mariankę w spiżarni.

- Manon, nie chcę dłużej czekać. Ślub za dziesięć dni. Pchnąłem Bronka, by załatwił formalności. Tęsknię do ciebie. Odbierasz mi sen, wciąż mi się zdaje, że mogę oię stracić. Żeby cię ujrzeć w południe, biegnę jak wariat parę kilometrów.

- Och, przecież ja wiem, ale to wy sami projektowaliście ślub na czerwiec, sama nic nie mówiłam - tłumaczyła niemal przerażona wybuchem mężczyzny.

- Bo widzisz, kochanie, to, co zdobyłem, lubię trzymać

mocno tak, w tych silnych palcach, nie gniewasz się?

- Nie, ale w myśli polecam duszę Bogu - wybuchnęła śmiechem i uciekła do kuchni.

Papciu mój, kochany, śliczny Hermanku!

Musisz znowu przyjechać. Trudno. Stało się. Wychodzę za mąż.

Mam białą suknię i welon. Prawdziwy, delikatny jak chmurka.

Leży w pudle, posypałam go narcyzami. Będzie ślicznie pachniał. Nie miałam czasu napisać wcześniej, okropnie dużo roboty. Jestem taka szczęśliwa. Na razie mamy jeden pokój we dworze, potem będzie zrobiona przybudówka. Ale nie opuścimy Martynówki, o nie, mój drogi przyjacielu, jeszcze dużo, dużo dzieci nauczy się tu kochać ziemię i słońce. Jeszcze dużo dzieci nauczy się naprawdę modlić.

Mam wrażenie, że jestem królową pszczół... och... ale pszczoły tak krótko żyją, no i brak im króla. Nie, nie chcę być królową pszczół. Papciu, wymyśl coś dla mnie, czym jestem? Przyjechali już ze Lwowa nasi studenci, zrobili sobie wcześniej wakacje. Mówią, że nie mogą opuszczać takich uroczystych dni. Halinka będzie druhną Kazi, a moją Janka, ta mała poetka. I ją należy kształcić wyżej. Na razie Bronek przechodzi z nią kurs czwartej klasy. Nie, nie mogę pisać o wszystkim, bo czuję, że wyjdzie okropny bigos. Profesor będzie miał pomnik. Od dawnego właściciela Martynówki dostaliśmy dwa piękne konie. Przyjedź prędko, bo to już za pięć dni. W sobotę.

Twoja Manon

Na ten list Marianka otrzymała telegram: „Jesteś zawsze małym głuptasem. Przyjeżdżam z różgą w ślubnym prezencie.

Herman".

Obie młode pary postanowiły nie urządzać żadnego przyjęcia. Uroczysty wieczór najmilej będzie spędzić w swoim kółku, wśród tych najbliższych serc, które wiele lat dzielą się dołą i niedołą. I za dwa tygodnie obie jednakowo ubrane kobiety jechały do kościoła w miasteczku. W domu została tylko Gabrynia i Felek. Gdy wracali, słońce rzucało ostatnie purpurowe kwiaty na drogę i haftowało złotem i rubinami białe welony.

Tymczasem zupełnie nieoczekiwanie do Martynówki zjechał cały tłum znajomych z okolicy, a nawet ze Lwowa. Bądź co bądź sensacja była godna nawet długiej drogi. Pierwsze ptaki, opuszczające parami słynną kolonię. Gabrynia zupełnie straciła głowę. Felek sadowił gości gdzie i jak mógł. Nagle zaturkotały bryczki. Gabrynia wybiegła z chlebem i solą, a panowie skoczyli do pojazdów i na rękach wnieśli młode pary do domu.

Dziś dopiero Andzia, „duża Andzia”, pokazała, co potrafi. W przeciągu jednej godziny stół był nakryty i zastawiony niewybrednie, ale zdrowo i smacznie. Inna rzecz, że w spiżarni zrobiło się znacznie przestronniej, jak twierdziła.

Korzystając z zamieszania, Marianka umknęła do swego pokoju. Siadła w szeroko otwartym oknie. Przed gankiem grała cygańska, wędrowna orkiestra. Spoza góry powoli, powoli wypływał srebrny sierp i cichutko ucałował obrączkę, nową obrączkę Marianki.

- Boże miry... Boże miły, dziękuję Ci! - szeptała drżącymi ustami kobieta.

Ktoś poruszył klamką i wszedł do pokoju, pogrążonego w mroku. Tylko na oknie wiatr lekko kołysał białą mgłą welonu Marianki.

- Manon, jesteś?

Przez chwilę miała wrażenie, że umiera, a duszę jej niesie księżycowy promień. Usłyszała, jak głośno bije serce Tomka, który stał już obok.

- Manon, uciekamy stąd, chcesz?

- Dokąd?

- Zobaczysz, ale musimy wyjść przez okno, w korytarzu tłok.

Wyskoczył pierwszy i pomógł wydostać się Marianne. Narzucił na nią ciepłą chustkę, chciała zostawić welon, ale nie pozwolił.

- Ja go sam zdejmę, poczekaj, jeszcze nie tutaj. Trzymając mocno ramię kobiety, prowadził ją drogą przez

zrąb wiodącą. Świat wyglądał jak zaczarowany, pogrążony w kryształowym srebrze, dał spowita w przejrzyste błękitne welony uśmiechała się sennie. Miliony opali i pereł drgało na trawach i liściach. Każdy świerk był bladym, omglonym świecznikiem. Tu i tam zrywały się przejmujące dźwięki, cykały świerszcze, ale Marianka myślała, że to gra jej księżyc.

Skręcili teraz nad potok. Olśniewająca lawina blasku pędziła w dół, a drzewa ponad nią rosnące biegły razem. Czeremcha stała się pachnącym obłokiem srebrnobłękitnyfi. Polne róże na zboczu nad potokiem wśród szmaragdowej zieleni lśniły jak aksamitne, różowe gwiazdy.

Jeszcze kawałek drogi pod górę przez las i uśmiechnęła się do Marianki maleńka polaneczka, jak ciemne jeziorko; nie było widać tu księżycy, ale blask od nieba całował i pieścił powierzchnię jeziorka tajemniczym, przyćmionym światłem, które hamowało oddech.

Mniej więcej na środku polanki widniał niewielki szałas. U wejścia wisiał ciemny pled niby kotara, a z zewnątrz przebłyskiwało przez gałęzie światło.

Tomek uchylił kotarę.

- Wejdz, maleńka - i wszedł za nią.

Wnętrze oświetlała elektryczna, u sufitu wisząca, latarka. Ściany utkane młodymi liśćmi i kwiatami. Przy jednej miękkie posłanie z gałązek i siana, przykryte samodziałowym płótnem, zasypnym macierzanką i bzami. Ziemia też całkowicie pokryta gałązkami świerków i jodły.

Tomek usiadł obok żony i spytał cicho:

- Dobrze tu, maleńka?

- Och! To jest pałac marzeń!

Księżyc zgasł. Zaległa cisza wśród gór. A w lesie, niedaleko szałas, siedział Felek na pieńku i grał na harmonii. Uśmiechały się dobrotliwie zielone olbrzymy i tańczyły na paluszkach gwiazdy ponad szałasem. O wschodzie słońca młodzi wracali do domu, a opadające mgły tuliły ich w swoich miękkich zwojach, niby w fałdach welonu wstającego dnia.

- Teraz już wszystkie dni i noce są nasze, Manon!

- O, jak piękne jest życie! I wiesz, Tomku? Dziś i jutro, i pojutrze, jeśli deszcz nie spadnie, będziemy... będziemy...

- ...nocowali w szałasie, naturalnie.

Upłynął rok, akurat właśnie rok od dnia ślubu dwóch par. Ale dziś od rana szalała burza, wichur tłuł drzewa o siebie i rozdzierał im czoła, i zrzucal gniazda ptaków na ziemię. Błyskawice były jak ogniste batogi wirujące w dłoniach gór. Od jednej do drugiej przelatywały straszliwe ciosy, tnąc niebo na kawałki. Grzmoty potężne wstrząsały, zda się, posadami ziemi. Dudniły w wąskich dolinkach jak przerażające wozy napełnione skałami gruchoczącymi o siebie, a echo daleko, daleko szalało między górami. Chmury opadały z pluskiem, a wody niosły w gwałtownych podskokach duże i małe kamienie.

A potem nagle rozdarły się ciemne zasłony na niebie, góry strzelały kłębami białej mgły, z którą szamotał się wicher i gnał wszystko ku zachodniej stronie. Radośnie jęły kwilić jaskółki. Spoza różowego obłoku wyrzało słońce, obejmując złotymi palcami zmęczone drzewa i zioła.

Zachód był ciepły i przejmująco wonny. Wiatr ustał, na wypogodzonym lazurze błękitno jaśniał wschodzący księżyc. Mieszkańcy kolonii obsiedli schodki ganku. Spoza ściany dobiegał miarowy stukot kołyseczki, w której usypiał synek Marianki.

Ona sama, przytulona do męża, uśmiechniętymi oczyma obejmuje zasypiający świat, wiedząc, że jutro znowu wstanie taki sam piękny dzień, choćby nawet burzliwy, dzień miłości i pracy. Kołysząc głową w takt stukotu kołyski, śpiewa piosenkę Janinki, a wszyscy wtórują cichuteńko, by nic nie stracić z czarownego głosu młodej pani:

*Szkarłatna brama zachodu Cicho się słońcu otwiera, Czarna jaskółka nad wodą Ostatnie promyczki zbiera.*

*Radosna i tiszepotliwa Nad domem wiruje w kółko, Jak bardzo jesteś szczęśliwa, Mała siostrzyczko jaskółko!*

*Codziennie palnę z zachwytem, Jak łowisz dla dzieci muchy, Wiem, gdzie masz gniazdo ukryte, Twój domek jest ciepły i suchy.*

*Wkrótce już piskląt gromadka Z tobą na słońce wyleci. Nie  
będziesz, jak ludzka matka, Żebrać dla głodnych dzieci.  
Bez końca ciągną się drogi, Szare, posepne jak nędza, Pod obce  
i zimne progi Los ludzką matkę przepędza.  
TU grosz, a tam nic nie dają... Od świtu do nocy na dworze, A  
dzieci w domu czekają Głodne są... głodne!... mój Boże!  
Więc gdy tak nad wodą w kółko Mkniesz, goniąc słońca ostatki,  
Pomódl się, mała jaskółko, Za ludzkie, za smutne matki.*